25 lat

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 10 (1301) 5 MARCA 1983 ROKU

CENA 15 ZŁ

W NUMERZE PISZĄ:

- Henryk Sroczyński o wyborach w RFN
- Jerzy Kwieciński o książce Artura Sandauera
- Włodzimierz Pitkiewicz o sprawie gen. Włodzimierza Zagórskiego

W NUMERACH NASTĘPNYCH:

- Dyskusja redakcyjna „Jak wyjść z kryzysu i nie dopuścić do następnego"
- Dariusz Dorożyński rozmawia z „cinkciarzem"

Nowe zasady, czyli ile pieniędzy dostaną emeryci i renciści

14 grudnia 1982 roku Sejm przyjął nową ustawę o rentach i emeryturach. Czym różni się ona od dotychczasowych uregulowań prawnych w tym zakresie? Jak przebiegać będzie rewaloryzacja rent i emerytur tzw. „starego portfela"? Co stwarza największe problemy przy wprowadzaniu ustawy w życie? Z tymi i innymi pytaniami zwróciliśmy się do łódzkiego Zakładu Ubezpieczeń Społecznych.

ILE! KOMU! ZA CO!

HALINA ROSIAK, z-ca dyrektora naczelnego ZUS w Łodzi:

— Jedną z największych zmian, jakie przyniosła nowa ustawa jest **rozszerzenie kręgu osób uprawnionych do otrzymywania świadczeń emerytalnych i rent.** Dotyczy to m. in. uczniów szkół ponadpodstawowych, studentów i uczestników studiów doktoranckich oraz osób pobierających stypendia sportowe. Tym ostatnim przysługuje prawo do renty inwalidzkiej, jeżeli ich inwalidztwo powstało w okresie wyczynowego uprawiania sportu, przy czym wcale niekoniecznie w jego wyniku. Pozostali z wyżej wymienionych mogą mieć przyznaną rentę, jeśli stali się inwalidami I lub II grupy w okresie nauki w szkole, studiów wyższych i doktoranckich. Związek powstałego inwalidztwa z nauką nie jest również konieczny. Poza tym trzeba dodać, że członkom rodzin tych osób przysługuje renta rodzinna oraz że chociaż wymienione świadczenia obowiązują dopiero od 1.1.1983 r. bierze się pod uwagę także trwałe uszkodzenie zdrowia powstałe przed 1983 rokiem.

Istotnym novum jest również przepis mówiący, iż **do przyznania renty rodzinnej nie jest wymagany**, jak uprzednio, warunek pozostawania dziecka lub współmałżonka osoby zmarłej w stanie wolnym.

Zgodnie z nową ustawą **dzieci otrzymują renty rodzinne do chwili ukończenia 25 roku życia, a je-**

3

Foto: M. Zajdler

Dziadek na wsi jest dobry na wszystko

RYSZARD BINKOWSKI

Kiedy w sklepach z żywnością pustki, każdy patrzy na wieś. Jedni się wściekają, że chłopi nabijają kabzy, a mięsa, mleka i jaj wciąż mało, drudzy starają się ich bronić. Jedni mają w głowie tylko pękatą chłopską kieszeń, samochody i wille, drudzy martwią się o paszę, węgiel, nawozy, maszyny, kosy i widły, żeby było co jeść. A któż się zastanawia, w jakich warunkach żyje 40 proc. społeczeństwa polskiego, które produkuje żywność dla całego narodu? Nieliczni, gdyż większość uważa, iż chłopi cieszą się byczym zdrowiem, lepszym niż inne grupy zawodowe, ponieważ jedzą świeże mięso i pracują na świeżym powietrzu.

W czasie ogólnego zacietrzewienia i rosnącego antagonizmu między miastem i wsią, które zrodził kryzys, najcenniejsze są głosy trzeźwe, wyważone. Na wsi mieszka 15 mln ludzi, z których 6,5 mln jest ściśle związanych z rolnictwem. Są to jednak w większości ludzie starsi. Ponad milion właścicieli gospodarstw stanowią ludzie w wieku emerytalnym albo poemerytalnym, często zniedołężniali, ciężko schorowani. Tak, tak, polska wieś jest scherlałą staruszką.

Ci, co na wsi widzą tylko bogactwo, a w mieście jedynie puste półki sklepowe, powiedzą, że to niemożliwe. I poniekąd mają rację. No, bo od 10 lat wieś objęta jest powszechnym ubezpieczeniem zdrowotnym, ma do dyspozycji 3200 wiejskich ośrodków zdrowia, a więc więcej niż jest gmin w kraju. To czemu wobec tego ludność wiejska pięciokrotnie rzadziej odwiedza lekarzy niż ludność miasta? Ciemnota, zacofanie i twardość chłopska? Jak śmierć zajrzy w oczy, chłop da się zabrać do szpitala, ale z oporami, bo najpiękniej umierać we własnym łóżku, godnie, pośród swoich, a nie w upokorzeniu, w bezsilności, na łasce i nielasce obcych. Tak, w tym jest część prawdy. Prawdą jest także, iż chłop nie biega tak często do doktora, jak miastowi po zwolnienia na trzy dni, bo po co mu zwolnienie? Nikt mu nie wypłaci chorobowego. Nie ma kiedy leżeć, bo czeka robota. Jak chłop zlegnie, musi płacić tysiąc złotych dniówki wynajętemu robotnikowi.

Ale nie chłopska mentalność sprawia, iż wieś jest schorowana. Przyczyn jest wiele, i to znacznie głębszych. Warto więc sięgnąć do korzeni i popatrzeć, jak to na wsi wyrastają owe legendarne

MŁODE, ZDROWE KONIE

Faktem jest, że coraz mniej dzieci rodzi się w domu, w antysanitarnych warunkach, bez opieki położnych i lekarzy. Na wsi jest 20 izb porodowych oraz 950 punktów położniczych, a w aglomeracjach kobiety wiejskie rodzą po prostu w miejskich szpitalach. Czemu więc około 15 proc. wiejskich dzieci wymaga stałej opieki lekarskiej? Dlaczego na wsi wyższa jest umieralność niemowląt? Skąd się bierze u dzieci wiejskich niedobór wagi i niedokrwistość, choć rosną szybko i wysoko?

To się zaczyna już od ciąży. Matki odżywiają się nieracjonalnie, harują ciężko, dźwigają dziesiątki wiader wody dziennie, wyrzucają obornik, spadają z fur siana lub słomy, a niekiedy zastępują mężów na traktorze, który tak je wytrzęsie, że albo ronią, albo rodzą wcześniaki. Z braku czasu lub braku ginekologa nie poddają się okresowym badaniom. A w punktach położniczych nie ma inkubatorów dla wcześniaków.

Położnica po kilku dniach jest wypisywana z porodówki. Na niemowlę nie czeka ani żłobek, ani pie-

4

W Bonn przed wyborami

HENRYK SROCZYŃSKI

Nikt nie jest w stanie przewidzieć wyników wyborów w RFN. Nawet specjaliści od prognozowania odłożyli swe kryształowe kule i zadowalają się co najwyżej rozważaniem różnych wariantów układów sił w Bundestagu po 6 marca.

Między dwiema wielkimi partiami: blokiem Unii Chrześcijańsko - Demokratycznej, CDU/CSU, a socjaldemokracją, SPD, istnieje wyraźna sytuacja patowa. Rzec można — władza jest do wzięcia. Dwie natomiast małe partie, wolni demokraci, FDP i partia tzw. „zielonych", będą walczyć o uzyskanie co najmniej minimum głosów (5 proc.) niezbędnych dla uzyskania miejsca w Bundestagu. Szanse ich wcale jednak nie są pewne.

Te fakty, jak i to, że socjaldemokraci utracili władzę, w dramatycznych okolicznościach, sprawiają iż o ecna, dziesiąta już w historii RFN kampania przedwyborcza, ma charakter ostry, a czasem nawet gwałtowny. . . Obydwie strony zdjęły „białe rękawiczki" — piszą obserwatorzy w Bonn.

Kilka miesięcy temu Helmut Schmidt został zmuszony do ustąpienia na rzecz swojego rywala, Helmuta Kohla. Pozycję socjaldemokratów podkopali wolni demokraci, którzy opuścili koalicję rządową i przeszli na stronę CDU/CSU. Ten desperacki akt FDP miał uratować jej żywot. Czy uratował? Pokażą to obecne wybory.

Gdy FDP opuściła socjaldemokratów, Helmut Schmidt proponował natychmiastowe rozpisanie wyborów. Chadecja przejąwszy rządy, wolała wpierw umocnić swą władzę; stąd jej decyzja, że dopiero teraz odbędzie się powszechne głosowanie. Czy jednak umocniła swą władzę? — oto drugie pytanie. W grudniu ub. roku odbywały się wybory do landu w Hamburgu — blok CDU/CSU wyszedł z nich mocno poturbowany. Z pewnością Hamburg nie jest dostatecznym miernikiem nastrojów, stąd bowiem pochodzi Helmut Schmidt, ale skala klęski CDU/CSU ma swą wymowę.

Partie nowej koalicji, CDU/CSU i FDP, które określają się „koalicją środka" postawiły na totalną konfrontację z rywalami — SPD i partią tzw. zielonych, które Willy Brandt nazywa „większością na lewo od CDU/CSU". Ta ostra konfrontacja przypomina kampanię przedwyborczą z 1972 r.: nie zmieniła się stawka, zmieniły się tylko warunki, a zatem i cele programowe. Dziś istnieje duża zbieżność w poglądach na zasadnicze sprawy związane z polityką zagraniczną, a zwłaszcza na kwestie bezpieczeństwa, różnice zaś istnieją w sposobie patrzenia na stosunki Republiki Federalnej z krajami Europy Wschodniej oraz na takie problemy

6

Przegląd prasy

AWANTURA O CENY

Na ogół nie omawiam artykułów z prasy codziennej, ale tym razem czuję się w obowiązku odstąpić od tej zasady i ustosunkować się do dwóch artykułów które ukazały się w „DZIENNIKU ŁÓDZKIM". Pierwszy z nich ukazał się 22 lutego 1983 roku i omawiał ankietę Zakładu Badania Cen opublikowaną przez „Kurier Polski". Obie te publikacje — i w „Kurierze Polskim" i w „Dzienniku Łódzkim" — wywołały wiele nieporozumień, obaw i zdenerwowania.

Występując później w DTv prof. Zdzisław Krasiński tłumaczył cierpliwie, że to tylko sonda, że przedstawione propozycje wzięto z 600 listów, jakie do niego dotarły po emisji telewizyjnego spotkania z przedstawicielami załogi warszawskich zakładów „Wedla" i że uczestnicy ankiety w „Kurierze Polskim" mają wybrać taki wariant, jaki ich zdaniem uzyska społeczną akceptację. Ale ludzie i tak w to nie uwierzyli — przynajmniej w jakiejś części — bo z niedobrych doświadczeń wiedzą, że co innego wynikało z konsultacji, a o czym innym mówiły konkretne decyzje. — A poza tym — powiedział mi pewien mój znajomy — jak już w gazetach piszą, to znaczy, że się coś szykuje.

Prof. Zdzisław Krasiński nie ukrywa, że podwyżki cen muszą nastąpić. I ludzie z tym jakby się godzili, ale kiedy przychodzi do konkretów, do odpowiedzi na pytanie: na jakie artykuły i usługi podnieść ceny, to wówczas zaczyna się różnica w poglądach. Każdy chciałby, aby podrożało co innego, akurat to, czego on nie używa, albo co jemu nie jest potrzebne. Niezmotoryzowani powiadają — benzyna, niepijący — alkohol, niepalący — papierosy, herbaciarze — kawa, kawiarze — herbata. Wszystkim jednocześnie dogodzić nie można.

Mnie w tym wszystkim interesuje inna sprawa. Ciągle nie potrafię odpowiedzieć na pytanie: czy w grudniu 1982 roku musiała wypłynąć ze skarbu państwa i dotrzeć do ludzi taka masa pieniędzy? Przecież dobre wyniki ekonomiczne wielu przedsiębiorstw wynikały nie ze wzrostu wydajności pracy i zwiększonej produkcji, ale z podwyżki cen. Pieniądze, które zostały ściągnięte z rynku wróciły na ten rynek. Czy tak być musiało? Teraz te pieniądze trzeba ponownie ściągnąć, a to zawsze jest operacja bolesna. Ludzie nie lubią, jak im się najpierw daje, a później odbiera.

A poza wszystkim propozycje omówione w artykule „Dziennika Łódzkiego" pt. „Ceny do oceny", choć wariantowo przedstawione, są szokujące. Mimo świadomości, że wzrost cen to nas i tak czeka. Ale powinien być rozłożony w czasie. I musi być poprzedzony systematycznym wzrostem wydajności pracy i produkcji. Myślę, że błąd we wszelkich dyskusjach o cenach polega na tym, że odrywa się ceny od produkcji, że nie ukazuje się wzajemnych zależności i powiązań. W ten sposób rodzi się błędne przekonanie, że jedynym skutkiem reformy gospodarczej są ciągłe podwyżki cen, że tylko poprzez ruch cen chce się uratować naszą gospodarkę. A to jest niemożliwe.

Drugim artykułem z „Dziennika Łódzkiego" (25 luty 1983 r.) jest

FELIETON, KTÓREGO NIE POWINIEN BYŁ NAPISAĆ EDMUND TULKO

Sam się zresztą do tego przyznaje. Otóż jego zdaniem felieton ten powinni byli napisać i to nie raz już medycy, jeśli pisać potrafią. Ale skoro oni milczą, to E. Tulko postanowił ich wyręczyć i choć amator w sprawach medycyny, to przecież wziął ją w obronę w „Zapiskach współczesnych". A pretekstem do tego stał się opublikowany 14 lutego 1983 r. w „Rzeczypospolitej" komunikat Sekretariatu Naukowego Wydziału VI Nauk Medycznych PAN oraz Prezydium Rady Naukowej przy ministrze zdrowia i opieki społecznej. Komunikat ten przestrzega chorych przed zarzucaniem leczenia medycznego i oddawaniem się wyłącznie na łaskę i niełaskę różnego rodzaju uzdrawiaczy. Edmund Tulko przyznaje się, że przejrzał dzienniki warszawskie i łódzkie i nie znalazł w nich tego komunikatu.

Zwracam uwagę na ten felieton z dwu powodów. Po pierwsze — byłoby nieuczciwością z naszej strony, gdybyśmy tylko pisali o uzdrawiaczach, a nie dali prawa zabrania głosu również sceptykom czy wręcz ich przeciwnikom. Po drugie — takich głosów sceptycyzmu jest akurat mało, a uważam, że są one potrzebne, gdyż rzeczywiście bezkrytyczne uleganie fascynacji zjawiskami paramedycznymi może wyrządzić więcej szkody niż pożytku. E. Tulko zastrzega się, że nie wolno mylić dwu postaw wobec zjawisk paramedycznych: negacji i sceptycyzmu, bo są to postawy różne.

Stosunek do tego rodzaju zjawisk nie jest czymś społecznie obojętnym. Byłem kiedyś świadkiem sporu dwu znanych lekarzy, którzy zajmowali diametralnie różne stanowisko wobec zjawisk paramedycznych. I obaj mieli rację — niestety. Otóż jeden z nich uważał, że nie wolno godzić się na wydawanie pacjentowi skierowania do uzdrowiciela, a uzdrowiciele często takiego skierowania żądają. A nie wolno godzić się na to dlatego, że akceptuje się w ten sposób paramedycynę, daje się jej niejako formę oficjalności, a przecież ona też nie jest absolutnie skuteczna. Drugi natomiast stał na stanowisku, że skoro pacjent wierzy, że taki uzdrowiciel mu pomoże, to nie wolno mu tej nadziei i wiary odbierać, bo byłoby to działanie na szkodę chorego, a tego lekarzowi nie wolno czynić pod żadnym pozorem. Sporu nie rozstrzygnięto, obaj rozeszli się pozostając przy swoich poglądach, ale jednocześnie ukazali społeczne rozmiary zjawiska. Dlatego uważam, że odrobina sceptycyzmu jest w tych sprawach niezbędna, bowiem poparcia godna jest taka postawa, że chory szuka pomocy u uzdrowiciela, ale leczenia u oficjalnych lekarzy nie przerywa.

Pamiętać o tym powinni przede wszystkim ludzie popularyzujący działalność (E. Tulko pisze, że reklamujący!) wszelkiego rodzaju uzdrowicieli. Są to zjawiska interesujące, budzące nawet sensację, ale wymagające umiaru, obiektywności i zdrowego rozsądku.

Spokoju i zdrowego rozsądku potrzeba do dylematu, jakim jest

SPRAWA PODSIERADZKIEJ MĘKI

Prezentuje ją w „NAD WARTĄ" (nr 8 z 24 lutego 1983 r.) Wojciech Chmura w artykule pt. „Popiół czy diament?". Oj, popiół, chciałoby się odpowiedzieć na tytułowe pytanie po przeczytaniu artykułu. A stanowi on przegląd historii wysypiska żużlu i popiołu z łódzkich elektrociepłowni powstającego w Męce aż od samego początku, czyli od 1966 roku, kiedy to *„ktoś wskazał palcem na mapie podsieradzkie wyrobisko pożwirowe i zlokalizował tam wysypisko odpadów przemysłowych dla odległej o 60 km elektrociepłowni"*. Zgodę na to wysypisko wydała zresztą ówczesna Powiatowa Rada Narodowa w Sieradzu, potwierdziła ją WRN w Łodzi. Ale prezydent Sieradza uważa, że *„podjęcie tej fatalnej w skutkach decyzji nie było poprzedzone badaniami środowiskowymi i hydrologicznymi"*.

Wojciech Chmura zadał sobie niemało trudu, prześledził obfite dokumenty, w jakie obrosła już sprawa wysypiska, w Męce i wykazał przy okazji, że władze sieradzkie, już po powstaniu tam województwa, wcale nie są takie bez winy. Że to nie spisek „imperialistycznej" Łodzi, która chciałaby zagarnąć sieradzkie województwo, lokując najpierw „swoją bazę" w podsieradzkiej Męce. Na przykład dopiero w grudniu 1978 r. Zespół Roboczy Dokumentacji Hydrologicznej przy Centralnym Urzędzie Geologii doszedł do wniosku, że ulokowanie wysypiska w Męce *„może wpłynąć na pogarszanie się jakości eksploatowanych wód dla zaopatrzenia"* Sieradza i Zduńskiej Woli. I sieradzkim specjalistom, którzy do tej pory nie mieli żadnych zastrzeżeń, „zrobiło się łyso" — jak mawiają młodzi ludzie.

Powinno im się również „zrobić łyso", kiedy pojechaliby do Męki i zobaczyli, w jakim miejscu usytuowane jest wysypisko. Oddajmy głos W. Chmurze:

„Za siatką wydzielającą dzierżawiony teren stoi budynek Szkoły Podstawowej nr 6 w Sieradzu. Wymierzone odległości specjalnie dla potrzeb niniejszego materiału wynoszą: krawędź szkoły — ogrodzenie 14 m, krawędź szkoły — krawędź budynku ZEC 34 m, krawędź szkoły — najbliższa szyna toru kolejowego 67 m. W granicach 500-metrowej strefy wokół ewentualnego wysypiska znajduje się 56 zabudowań mieszkalnych".

Sprawa wygląda jednak ponuro. W Sieradzu wreszcie się obudzono i zaczęto odkręcać decyzje dawno zapadłe. Przed samym Nowym Rokiem nadeszła do Sieradza decyzja ministra T. Hupałowskiego utrzymująca w mocy decyzję Powiatowej Rady Narodowej w Sieradzu z 1966 roku, *„zalecając jedynie dodatkowe warunki do uzgodnienia przez obie strony"*. Ale — jak pisze Wojciech Chmura — *„konsultacji nie było"*. I dalej: *„Nie podejmie prac również komisja specjalna, która zgodnie ze zdaniem posła ziemi sieradzkiej, wicepremiera M. F. Rakowskiego, miała przebadać gruntownie wszystkie aspekty uruchomienia wysypiska w Męce"*. W tej sytuacji w Sieradzu nie widziano innego wyjścia i *„sprawa została skierowana do Naczelnego Sądu Administracyjnego w Warszawie"*. Kiedy „Nad Wartą" opublikuje wyrok sądu nie omieszkam poinformować o tym Czytelników „Odgłosów".

Nim to się stanie chciałbym pokazać jak

JOTGEER KRYTYKUJE W BYDGOSKICH „FAKTACH"

(nr 8 z 26 lutego 1983 r.). Jotgeer — to stały felietonista „Faktów". Tym razem dobrał się do ekonomistów w Bydgoszczy, którzy nie zważając na kryzys, jakby ciągle żyli w „drugiej Polsce", wystawili sobie Dom Ekonomisty, w którym są *„boazerie, marmury, witraże, mosiężne klamki..."*. Dobrał się on też do bydgoskiej gastronomii, która wystawiła sobie Karczmę Słupską oraz wyremontowała kawiarnię „Cristal". I znów: *„lustra, boazerie mahoniowe, dyskretne oświetlenie"*. Jotgeer nie jest temu w ogóle przeciwny. Pisze on zupełnie słusznie:

„Potrzebne są ładne kawiarnie, przytulne bary, sympatyczne bistra, kulturalne kluby, karczmy bez pijaków i karaluchów, ale wydaje mi się, że aby wystrój wnetrz był elegancki niekoniecznie musi być kosztowny..." (Podkreślenia autora).

I jeszcze:

„Ostatecznie karczma winna słynąć kuchnią, a nie witrażami lub strojami kelnerek..."

Powiada on też słusznie, że *„skromniej i oszczędniej — wcale nie oznacza brzydziej"*. I uwagę tę adresuje do budowniczych *„tego rodzaju zabytków"*. Ale też i różnym bydgoskim dyrektorom wytyka palmy, dywany i inne luksusy w dyrektorskich gabinetach.

W Bydgoszczy — powiada Jotgeer — było 7 wieżowców, w których było 7 zjednoczeń. Teraz jest 7 wieżowców, w których jest 7 zrzeszeń, a biblioteka wojewódzka *„rozparcelowana została na wiele pomieszczeń i w istocie przestała spełniać funkcję książnicy"*, a poza tym *„niszczeją bezcenne białe kruki, starodruki, pamiątki kultury narodowej"*.

W Bydgoszczy — pisze dalej Jotgeer — wybudowano 7 kościołów i bardzo dobrze. Teraz mają budować ósmy, *„który winien był stanąć nie w czasie kryzysu, po 37 latach, lecz tuż po wojnie"*, gdyż był to świadek martyrologii bydgoszczan. Kościółek ten, który stał na Starym Rynku zniszczyli hitlerowcy. I Jotgeer nie jest przeciw budowie tego kościoła. On uważa, że powinno się jednocześnie budować i kościół i bibliotekę. „Fakty" — zdradza tajemnicę — mają zamiar powołać Społeczny Komitet Budowy Biblioteki Wojewódzkiej w Bydgoszczy.

W Post scriptum Jotgeer boleje nad tym, że Jerzemu Urbanowi nie udał się eksperyment, co uważa jednocześnie za krach *„bardzo istotnego fragmentu naszej demokracji"*. W pełni się z nim zgadzam.

Tymczasem na łamach „TU I TERAZ" (nr 8 z 23 lutego 1983)

POJAWIŁ SIĘ JAN REM

jako dzierżawca i autor „Samosądów". Już chciałem napisać — nowy człowiek — kiedy przypomniałem sobie, że jest to postać już znana. Czytywałem kiedyś teksty Jana Rema, bodajże jako autora pisującego w „Agencji Robotniczej". Postać tę przypomniała również „POLITYKA" (nr 9 z 26 lutego 1983 r.).

„Nie jest to postać w publicystyce naszej nie znana. W czasach, które młodsi czytelnicy muszą jednak uważać za odległe, pewien bardzo zdolny dziennikarz, który na skutek szykan nie mógł występować pod swym własnym nazwiskiem, pisywał pod tym pseudonimem w piśmie red. Główczyka — „Życiu Gospodarczym", a także w „Polityce"...

Sądząc z różnicy epok, dziś piszący Jan Rem jest zapewne synem tamtego. W dodatku zdolniejszy — a mówi się, że nie mamy obiecującej młodzieży".

Nowemu-staremu felietoniście życzę wszelkiej pomyślności.

Nie zachowała rozsądku Alina Gogol w „TYGODNIKU PIOTRKOWSKIM" (nr 8 z 23 lutego 1983 r.) w artykule pt. „Brojler abdykował...". W związku z lekturą tego artykułu nasunęło mi się pytanie:

CZY O KURCZĄTKACH NIE MOŻNA PISAĆ PO POLSKU

Z tekstu wynika, że nie. No, bo proszę zobaczyć. Oto cytaty: *„W Tomaszowie wyłężono 45 tys. sztuk piskląt ogólnoużytkowych"*. *„Kaczkę „Barbarie" sprowadziliśmy z Francji. Obecnie możemy ją sprzedawać w postaci niewielkich gniazd hodowlanych"*. Nie sądziłem, że kaczkę można sprzedawać w postaci gniazda. Ale już zupełnym zaskoczeniem było dla mnie odkrycie Aliny Gogol następującej treści: *„W sposobie sprzedaży ptaków zbyt dużo jest jednak folkloru"*. Czytam i oczom nie wierzę. Otóż ten folklor ma polegać na tym, że po pisklęta przyjeżdża się *„z koszykiem lub brudnym pudełkiem po butach"*.

Pierwszy z brzegu (powinien być w każdej bibliotece) słownik wyrazów obcych wyjaśni nam, że folklor to *„twórczość ludowa, artystyczna obejmująca literaturę (baśnie, podania, przysłowia), muzykę (pieśni i tańce), sztukę, zdobnictwo itp."*. Z pudełkiem po butach i w dodatku brudnym kojarzy się zupełnie co innego.

LUCJAN BOGUSZ

Z okazji 8 Marca wszystkim paniom, pannom i dziewczętom dużo wytrwałości, spokoju, zdrowia i uśmiechu

życzy zespół Odgłosów

Czego chcą literaci?

25 lutego br. odbyła się w Komitecie Centralnym PZPR narada pisarzy partyjnych. Powodem, dla którego ją zwołano, jest sytuacja zawieszonego 13.XII.1981 Związku Literatów Polskich. Gdy to piszę, stan ten trwa już 15 miesięcy i na dobrą sprawę nikt nie wie, co z tym problemem począć. Najprościej byłoby przywrócić ZLP działalność statutową, lub — w najgorszym razie — rozwiązać go i powołać nowy na innych zasadach.

W ubiegłym roku w sprawie przyszłości ZLP odbyła się nawet dyskusja. Na łamach prasy zabrało głos sporo pisarzy prezentując — czasem kontrowersyjne — własne wizje przyszłej organizacji i jej funkcji społecznej.

Dobrze, powie ktoś, ale skoro istnieje Związek, są jego statutowo wybrane władze, po co więc urządzać dyskusje i polemiki, po co poszukiwać nadzwyczajnych rozwiązań?

Mamy za sobą trudne lata. Był to czas próby, kiedy każdy musiał się określić, stanąć po jednej ze stron: udzielić poparcia rządowi lub przejść do opozycji. Rozdarcie nie ominęło i ZLP. Nastąpił ostry, wyraźny podział wśród pisarzy. Zdecydowana polaryzacja postaw i działań dokonała się podczas XXI Walnego Zjazdu Delegatów, który odbył się w grudniu 1980 roku w Warszawie. W trakcie jego trwania, na skutek manipulacji i niedopuszczalnych poczynań, doszło do wyborów Zarządu Głównego niemal w całości składającego się z pisarzy pozostających w opozycji. Usunięto także ze swego składu prezesów oddziałów terenowych, którzy mogliby stanowić zagrożenie dla przyszłej, zdecydowanie antysocjalistycznej działalności władz związkowych. Jednocześnie rozpoczął się romans z „Solidarnością".

Tylko ludzie krótkowzroczni mogli nie dostrzegać istoty rozgrywki politycznej i brać za dobrą monetę deklaratywne oświadczenia. Zjazd przypieczętował rozłam w szeregach literatów, a partia w ZLP poniosła klęskę, gdyż nie potrafiła temu procesowi się przeciwstawić. Zresztą był to czas ogólnego rozchwiania politycznego, dezorientacji i chaosu. Zabrakło człowieka o autorytecie Iwaszkiewicza, który potrafiłby poskromić ów żywioł.

Romans z wrogimi Polsce zachodnimi ośrodkami propagandy, kokietowanie KSS KOR i „Solidarności" miało uzmysłowić narodowi, że w ciągu minionych trzydziestu kilku lat w Polsce istniały właściwie dwie literatury: ta oficjalna, i ta z „drugiego obiegu". Pierwsza — była i jest produktem konformizmu, druga — kontynuacją wielowiekowych tradycji, a zatem autentyczna, prawdziwa w swej wymowie artystycznej i społecznej. Wkrótce przedstawiciel „Solidarności" na naradzie pisarzy nakreślił wizję polskich bibliotek, w których oprócz Biblii będą jedynie książki pisarzy związanych z „Solidarnością", a wydanych w nielegalnej oficynie „Nowa". Pogwałcono także statut ZLP, przyjmując do Związku osobę, która swoją książkę wydała w paryskiej „Kulturze", a nie w oficjalnej oficynie wydawniczej w kraju. Wkrótce też kilku członków ZG ZLP znalazło się na statach tejże „Kultury", a kilku innych zaczęło głośno wołać, że partyjni członkowie ZLP to zwyrodniała tkanka na ciele Związku, którą trzeba usunąć, bodaj operacyjnie. Wreszcie sięgnięto po broń bez precedensu. Przedłożono Ministerstwu Oświaty nową listę lektur szkolnych, usuwając z poprzedniej m.in. Nałkowską, Dąbrowską, Borowskiego, a w to miejsce proponując książki aktualnych członków Zarządu Głównego ZLP. I ciągle międlono o dialogu, porozumieniu, kulturze i posłannictwie pisarza.

Od Walnego Zjazdu Delegatów minęło dwa lata i dwa miesiące. Na dobrą sprawę w środowisku pisarskim niewiele się zmieniło. Od wprowadzenia stanu wojennego sprawami literatów zajęły się organizacje partyjne, te ogniwa Związku, które przez ZG zostały skazane na zagładę. I jest to, jak dotąd, jedyny czynnik integrujący członków zawieszonego Związku. Stąd też zrodziła się potrzeba zwołania forum pisarzy partyjnych, na którym można byłoby przedyskutować sprawę przyszłości literatury polskiej i odpowiedzieć na pytanie, jakiego Związku chcemy.

Narada w KC była wydarzeniem wyjątkowym. W przeszłości nie zawsze głos pisarzy partyjnych brany był pod uwagę. Teraz głos ten rozległ się donośnie. Stało się jasne, że życie kulturalne nie może się odbywać bez udziału pisarzy partyjnych.

Dyskusja była gorąca, padały oskarżenia pod adresem Zarządu Głównego i jego prezesa, domagano się ich dymisji, żądano bezwarunkowego reaktywowania ZLP na zasadach partnerskich. Związek, mówiono, musi uczestniczyć w kreowaniu i realizacji polityki kulturalnej państwa, przestrzegać tolerancji innych, niż marksistowski światopoglądów, natomiast zdecydowanie przeciwstawiać się i odrzucać postawy skierowane przeciwko Polsce i socjalizmowi. Niech będzie wiele światopoglądów i poetyk, ale w ramach realizmu i racjonalizmu, niech będzie jedność w wielości. Tolerancja — to nie słabość, lecz głęboki humanizm. Państwo roztaczało i będzie w dalszym ciągu roztaczać mecenat nad twórcami. Jednakże nie można sprowadzić tego do roli zasobnego kasjera. Mecenat nie może być bezinteresowny. Było i tak, że za państwowe pieniądze uprawiano działalność antysocjalistyczną, skierowaną przeciwko władzy ludowej. Dziś żądamy partnerstwa pomiędzy Związkiem Literatów Polskich a państwem.

Pisarze partyjni stanowią 20 proc. ogółu członków ZLP, lecz i wśród nich nie ma jednolitych postaw i jednomyślności. Tym niemniej, dziś głos pisarzy partyjnych jest decydujący o przyszłości Związku, a tym samym, o drogach rozwoju i kierunkach literatury. Trzeba zdecydowanie przeciwstawić się próbom wyprowadzania literatury z kraju. Na Zachodzie powstały nawet wydawnictwa, które chętnie będą drukować książki pisarzy polskich, chętnie rozreklamują największą szmirę jako dzieło wybitne, a z grafomana uczynią geniusza. Nasz przeciwnik ma nie tylko świetną poligrafię i gwarantuje przekłady na inne języki, ale ma także ogromne środki finansowe, które po dziś dzień płyną do kieszeni niektórych członków ZLP.

Były także głosy w obronie Zarządu Głównego. Dwaj jego członkowie, pisarze partyjni, usiłowali dowieść, że obecny Zarząd Główny ZLP jest nie tylko chętny do dialogu, ale nie prowadził i nie prowadzi żadnej działalności antysocjalistycznej. A to, że ZLP podpisał w przeszłości umowę z „Solidarnością" było wynikiem szerokich planów zmierzających do współpracy ze wszystkimi, istniejącymi ówcześnie związkami zawodowymi w kraju. Według ich słów, jedynym rozwiązaniem jest odwieszenie Związku Literatów Polskich, później ewentualne zwołanie ogólnopolskiego Zjazdu i wybranie nowych władz. Innego wyjścia nie widzą.

Riposty były zdecydowane, argumentacja miażdżąca. Jak to — pytano — przez te wszystkie trudne miesiące nie mówiono o dialogu, o porozumieniu, a teraz, kiedy pisarze partyjni chcą w swoje ręce przejąć losy ZLP, dowiadujemy się, że obecnemu ZG o nic innego nie chodzi, jak właśnie o porozumienie i dobro polskiej literatury. Niestety, dziś te głosy są spóźnione. Przecież właśnie działalność obecnego ZG stała się tubą przez którą kształtuje się światopogląd polskiej inteligencji, to właśnie poczynania tegoż Zarządu Głównego są przyczyną ideowego rozhuśtania wśród tej inteligencji. ZG milczał przed 13 grudnia 1981, a także i po nim. Nie zabrał głosu potępiającego wciąganie młodzieży do rozgrywek politycznych, nie starał się powstrzymać jej przed wystąpieniami ulicznymi, nie przeciwstawiał się siłom antysocjalistycznym. Wybrany w grudniu 1980 roku Zarząd Główny ZLP stał się koniem trojańskim naszej literatury. Dlatego też ten Zarząd musi odejść, innej alternatywy nie ma. Dziś nikt nie uwierzy, że w którymś tam momencie nastąpiło pomieszanie języków, jak podczas budowy biblijnej Wieży Babel, natomiast prawda jest taka, że nastąpił wyraźny podział polityczny wśród członków ZLP.

Na zakończenie chcę przytoczyć niektóre tezy wystąpienia członka Biura Politycznego, sekretarza KC PZPR, *Kazimierza Barcikowskiego*. Prawo państwowe — powiedział — jest ponad statutem ZLP, i dlatego statut nie może chronić Związku przed działaniem prawa. Głos pisarzy partyjnych stwarza obecnie nową sytuację. Jest to głos ważki i ważny, sprawy podniesione w trakcie dyskusji będą wnikliwie rozpatrzone przez kierownictwo partii. „Jesteśmy — powiedział członek Biura Politycznego — za utrzymaniem ZLP, ale przy jednoczesnym dokonaniu zmian. Niech nikt nie myśli, że taką próbę, jaką przeszliśmy niedawno, można powtórzyć. Co do tego nie może być złudzeń. Przecież nie tylko partia ponosi odpowiedzialność za to, co się stało w kraju. ZLP także, jako siła moralna, winien poczuwać się do winy. Jeśli dziś są zapędy do wyprowadzenia literatury z kraju, to jest to zwyczajny szantaż. Ale literatura i tak pozostanie w kraju. Owszem, nie ma u nas miejsca dla literatury antysocjalistycznej. To prawda. Taka literatura może z kraju wyjść i wyjdzie. Jednocześnie opowiadamy się za Związkiem Literatów Polskich, ale za takim, z którym władza nie będzie toczyła bojów. Kraj, jak nigdy, potrzebuje spokoju i równowagi. ZLP jest potrzebny, lecz nie ten sprzed 13 grudnia 1981 roku, a pisarze partyjni muszą utożsamiać się z partią, która wzięła na siebie odpowiedzialność za losy kraju i narodu.

Uczestnicy narady byli zgodni co do jednego: ZLP musi istnieć. Dlatego też opracowano i uchwalono akt końcowy — „Oświadczenie" — które należy traktować jako program dla każdego pisarza szanującego podstawowe pryncypia ustrojowe Polski.

Pierwszy krok na drodze normalizacji organizacji związkowej literatów został zatem uczyniony.

EUGENIUSZ IWANICKI

Dokończenie ze strony 1

żeli następuje to na ostatnim roku studiów — do końca trwania tego roku. **Wdowa ma prawo do renty** rodzinnej w czasie wychowywania dziecka uprawnionego do tej renty, do chwili ukończenia przez nie 18 lat, jeżeli uczy się ono w szkole, albo jest inwalidą I lub II grupy. Ponadto prawo do renty rodzinnej zagwarantowane jest dla wdów, które osiągnęły wiek 50 lat lub też stały się inwalidkami nie później jednak niż w ciągu 5 lat po śmierci męża lub od zaprzestania wychowywania dzieci uprawnionych do renty. Nie jest przy tym wymagany co najmniej 3-letni okres małżeństwa, zawartego z rencistą lub emerytem.

Zmianom uległy też **zasady obliczania wysokości rent i emerytur.** I tak wspomnianą już rentę rodzinną obliczamy teraz w ten sposób, że bierzemy 85 proc. podstawy wymiaru świadczenia od sumy do 3 tys. złotych i 50 proc. podstawy powyżej 3 tys. złotych. To dla jednej osoby; dla każdej następnej uprawnionej do renty rodzinnej dodajemy 5 proc. wysokości podstawy jej wymiaru. Do tego dochodzi jeszcze dodatek stażowy, który obecnie ustalony został na poziomie 1 proc. wysokości podstawy wymiaru każdej renty i emerytury za każdy rok pracy ponad 20 lat zatrudnienia w Polsce Ludowej.

Dla jasności warto dodać, że **pod pojęciem podstawy wymiaru renty czy emerytury** rozumieć należy średnie wynagrodzenie pracownika w czasie ostatnich 12 miesięcy pracy lub też w czasie dowolnych 24 miesięcy nieprzerwanej pracy, wybranych z okresu ostatnich 12 lat zatrudnienia.

Obecnie emerytura wynosi 100 proc. podstawy jej wymiaru do sumy 3 tys. złotych plus 55 proc. sumy ponad 3 tysiące złotych. Rentę inwalidzką I i II grupy obliczamy w ten sam sposób, zaś III grupy — tak samo jak rentę rodzinną.

Nowa ustawa daje możliwość przejścia na emeryturę — w **niepełnym wymiarze** Emerytura taka równa się 90 proc. podstawy jej wymiaru do 3 tys. złotych i 50 proc. od nadwyżki ponad tę kwotę. Mogą na nią przechodzić kobiety, które osiągnęły 60 lat życia i mają 15 lat pracy, i mężczyźni po ukończeniu 65 lat, mający 20-letni staż pracy.

Znacznemu ograniczeniu uległa wysokość świadczeń emerytalnych **dla osób zatrudnionych w więcej niż jednym miejscu pracy.** Dodatkowa praca musi trwać nieprzerwanie przynajmniej 5 lat, by wynagrodzenie za nią (nie więcej jednak niż połowę wynagrodzenia w podstawowym miejscu pracy) zostało wliczone do podstawy wymiaru emerytury.

Jeżeli pracownik osiągnął prawo do emerytury, ale nadal kontynuuje pracę, to za podstawę wyliczenia mu emerytury można przyjąć średnią zarobków z ostatnich 12 faktycznie przepracowanych miesięcy, nie zaś z 12 miesięcy poprzedzających nabycie praw emerytalnych. Emeryt może też w każdej chwili powrócić do pracy zawodowej, zawieszając tym samym oczywiście wypłacanie mu emerytury, i po przepracowaniu co najmniej 2 lat zażądać ponownego wyliczenia mu wysokości świadczenia na podstawie zarobków z ostatnich 12 miesięcy ponownie podjętej pracy, albo — 24 miesięcy z okresu ostatnich 12 lat pracy.

Inaczej niż poprzednio przedstawia się teraz sprawa tzw. **dodatku pielęgnacyjnego.** Przysługuje on rencistom i emerytom powyżej 75 roku życia lub inwalidom I grupy. Przedtem dodatek ten wynosił w każdym przypadku 1000 zł. Obecnie zaś 30 proc. najniższej emerytury, co oznacza, że **będzie on automatycznie wzrastał** wraz z podnoszeniem się wartości najniższych świadczeń. Zmiana będzie odczuwalna od razu, gdyż w tym roku najniższa emerytura wynosi 5 tys. złotych i jak łatwo obliczyć, dodatek pielęgnacyjny będzie wyższy niż 1000 złotych. **Inwalidzi wojenni** otrzymują go w jeszcze większym wymiarze — 45 proc. najniższej emerytury.

W nowej ustawie odmiennie **uregulowano także problem dodatku za odznaczenia.** Wynosi on teraz 20 proc. podstawy wymiaru świadczenia, ale nie może być większy niż 3 tys. złotych. Do odznaczeń uprawniających do dodatku włączono Order Krzyża Walecznych — również w przypadku, gdy został nadany przez władze niepolskie do dnia 13 lutego 1946 roku.

Od 1.I.1983 roku wprowadzono ponadto **dodatek kombatancki** dla osób nie posiadających odznaczeń — w wysokości takiej, jak dodatek za odznaczenia. Tym sposobem wszyscy kombatanci będą mieć wypłacany dodatek — ale tylko jeden, nawet jeśli przysługuje im prawo do dwóch.

Zasiłek pogrzebowy płacony po śmierci rencisty lub emeryta zrównany został z zasiłkiem po zgonie członka jego rodziny i wynosi on obecnie 6-krotną wartość najniższej emerytury, co w bieżącym roku stanowi sumę 30 tys. złotych.

Absolutną nowością jest też zasada, że nie zmieniając terminów wypłacania świadczeń, **ZUS płaci teraz nie za okres od np. 5 lutego do 4 marca, ale za miesiąc kalendarzowy.** Innymi słowy: renta lub emerytura wypłacona obojętnie którego dnia miesiąca jest za tenże miesiąc.

Bardzo ważne, że nowa ustawa zawiera także rozdział poświęcony obowiązkom zakładów pracy w zakresie spraw emerytalno-rentowych.

CZY EMERYTURA PO REWALORYZACJI MOŻE BYĆ MNIEJSZA?

HENRYKA JERZMANOWSKA, kierownik wydziału ruchu emerytur i rent:

— Jak powszechnie wiadomo, nowa ustawa o zaopatrzeniu emerytalnym pracowników wprowadziła rewaloryzację świadczeń już pobieranych, przyznanych do końca 1982 roku. Przypomnę zasady rewaloryzacji:

Podstawę wymiaru świadczenia zwiększa się o określony procent w zależności od daty przyznania emerytury czy renty. Dla przykładu: podstawę wymiaru emerytury przyznanej w 1971 roku zwiększa się o 257 proc., w 1975 — o 123 proc. Ponadto do podstawy wymiaru świadczenia **włączona zostaje rekompensata** otrzymywana w grudniu 1982 roku. Po zrewaloryzowaniu świadczenia rekompensata z tytułu podwyżek cen wypłacana nie będzie. Przy okazji warto dodać, że choć np. procent, o jaki zwiększymy emeryturę czy rentę przyznaną w roku powiedzmy 1971, wynosi 257, to jednak różnica nie może być mniejsza niż 3050 złotych, ani większa niż 6100 złotych. Podobnie w przypadku innych lat. Do podstawy wymiaru włączamy też tylko rekompensatę osoby otrzymującej świadczenia, a nie rekompensaty członków rodziny.

Zdarza się często, że rentę inwalidzką zamienia się na emeryturę i wówczas za rok, od którego dokonywać się będzie rewaloryzacji, uważamy rok przyznania renty inwalidzkiej, a nie emerytury, co jest korzystniejsze dla rencisty. Podobnie w przypadku renty rodzinnej. Jeżeli jest to renta po pracowniku to rewaloryzujemy ją od daty przyznania, czyli śmierci pracownika, ale jeśli jest to renta po emerycie — od roku przyznania emerytury, nie zaś śmierci emeryta.

Co dzieje się dalej? Rewaloryzowaną rentę lub emeryturę **porównujemy z wysokością tego świadczenia z grudnia 1982 roku.** Różnica, jaką w ten sposób obliczamy, wypłacana będzie etapowo. I tak od razu zwiększone świadczenia otrzymywać będą jedynie osoby, które już ukończyły bądź do końca tego roku ukończą 75 lat oraz inwalidzi I grupy. Ci, którzy mają renty lub emerytury przyznane w czasie od **początku 1979 roku do końca roku 1981, w tym roku otrzymywać będą nadal świadczenie w takiej samej wysokości jak obecnie,** a podwyżka wypłacana będzie w dwóch ratach. Pierwsza rata — od stycznia 1984 roku, druga — od stycznia 1985. Pozostali dostawać będą renty lub emerytury zwiększane co roku. Pierwsza podwyżka w wysokości jednej trzeciej przewidzianej sumy obejmie okres od 1 stycznia bieżącego roku, druga — roku następnego, trzecia — roku 1985.

Najlepiej wyjaśnić to na przykładzie. Weźmy emeryturę przyznaną w 1975 roku po przepracowaniu 24 lat w Polsce Ludowej. Podstawą emerytury była średnia płaca z ostatnich 12 miesięcy zatrudnienia — 5160 złotych. W grudniu 1982 roku emerytura ta wraz z rekompensatą wynosiła 5496 złotych. Po zrewaloryzowaniu, czyli wyliczeniu 123 proc. (bo tyle jest dla 1975 roku) od 5160 złotych, podstawa wymiaru nowej emerytury zwiększy się o 4600 złotych. Nie, nie ma tu błędu, bo wprawdzie 123 proc. od 5160 równa się 6346, ale jak już mówiłam istnieją ograniczenia. Dla roku 1975 maksymalny wzrost podstawy świadczenia ustalono właśnie na 4600 złotych i dlatego nowa podstawa wymiaru wzrośnie o owe 4600 plus rekompensaty otrzymywane w grudniu 1982, czyli 1610 złotych. Razem daje to 11 370 złotych, od której to sumy obliczamy wysokość nowej emerytury. I tak 100 proc. od 3 tys. złotych, to 3 tys., a 55 proc. od reszty, czyli od 8370, to 4603,50. Do tego dodajemy jeszcze 5 proc. dodatku stażowego, mimo że osoba ta przepracowała tylko 4 lata ponad 20, a to dlatego, że ustawa gwarantuje wszystkim, którzy do końca 1975 roku nabyli prawa emerytalne, co najmniej 5-procentowy dodatek za staż. Te 5 proc. równe jest 568 złotych. W sumie więc tak przeliczona emerytura wynosić będzie 8172 złote, czyli wzrośnie o 2676 złotych w stosunku do wysokości świadczeń wypłacanych w grudniu 1982 roku.

Ponieważ zakładamy, że osoba, o której mówimy, nie ukończyła jeszcze 75 lat, podwyżkę wypłacać będziemy w trzech ratach. I tak w roku bieżącym otrzymywać ona będzie emeryturę większą o 892 złote, w roku następnym — o 1784 złote, a od 1985 roku pełną zrewaloryzowaną emeryturę w wysokości 8172 złote.

Często pada pytanie, czy przeliczona renta lub emerytura może **być równa lub niższa od dotychczasowej. Tak, będą takie przypadki,** że z wyliczeń wysokość świadczenia wypadnie mniejsza od dotychczasowej, chciałabym jednak wszystkich uspokoić, że mimo to **nie otrzymają mniej niż w grudniu 1982 roku.** Jest to zagwarantowane w nowej ustawie.

POZWÓLCIE NAM SPOKOJNIE PRACOWAĆ

ANIELA GRODZKA, dyrektor naczelny ZUS w Łodzi:

— Od dziś, czyli 11 lutego 1983 r. przystępujemy do rewaloryzacji rent i emerytur. Jak ogromna czeka nas praca, niech świadczy fakt, że w chwili obecnej łódzki ZUS wypłaca świadczenia dla **250 tys. osób,** a zrewaloryzowanie każdej renty czy emerytury trwa około 50 minut. W akcji tej, która — jak zakładamy — potrwa do końca czerwca, zaangażowanych jest 300 osób. W tym czasie nasi pracownicy — w większości kobiety — będą pracować nie po kilka, ale po kilkanaście godzin dziennie.

Wcześniej nie mogliśmy przystąpić do rewaloryzacji, ponieważ bardzo długo nie dostawaliśmy przepisów wykonawczych.

Codziennie przychodzi do nas wielu rencistów i emerytów, aby dowiedzieć się, kiedy dokonamy przeliczenia ich świadczeń. Nie wszyscy rozumieją, że po prostu **nie mamy czasu każdemu z osobna udzielić odpowiedzi,** zwłaszcza, że sami nie wiemy jeszcze, kiedy poszczególne grupy osób otrzymają wyrównanie za okres od 1 stycznia wraz z przeliczonymi już rentami i emeryturami.

Chciałabym też powiedzieć, że **nie będziemy odpowiadać na listy w sprawie rewaloryzacji,** ale będziemy je uważnie czytać, grupować pytania i odpowiadać na nie za pośrednictwem środków masowego przekazu.

Notował:
P. TOMASZEWSKI

Wykarmiłam ich własną piersią

EDWARD BRYL

Kiedy przed zabudowaniami gospodarskimi Stanisława Sęczkowskiego, zamieszkałego w Śladkowie Górnym, gmina Zgierz, zahamował radiowóz, z domu żwawo wyskoczyła kobieta. Szybko zawarła bramę i zatarasowała furtkę.

— *Stasiek, matkę wiozą!* — darła się opętana. Drobna staruszka, podtrzymywana pod ramię przez funkcjonariusza MO, powoli wysiadała z samochodu.

— *Po coś ta tu przyjechali! Nawet na podwórze nie wpuszczę.*

Sołtys, Jan Słomka, milicjant i pracownik socjalny, Czesława Bartosik, usiłowali przekonać kobietę, żeby przyjęła pod dach teściową. Z pola pędził kłusem syn.

— *Ani kroku naprzód, bo zabiję* — krzyczał wymachując kołkiem w kierunku starej.

— *Dzieci! Choć na godzinę popatrzę, aby przez chwilę* — powtarzała babcia ze łzami w oczach.

Byli nieubłagani.

— *Matki nie przyjmę* — mówi Stanisław Sęczkowski — *nawet nie ma co dyskutować! Dwadzieścia lat była ze mną, czy to nie wystarczy? Oprócz mnie, ma cztery córki, niech do nich idzie! Mogłyby ją wziąć, po roku każda, ja już nie chcę, ani na jeden dzień. Jest człowiekiem trudnym, nie idzie z nią wytrzymać. Zresztą dała państwu ziemię za rentę, niech ono teraz się nią opiekuje.*

Pamiętnego piątku, 17.XII.1982 r., przygarnął staruszkę sołtys — Jan Słomka — nie wypadało inaczej, kiedy własny syn ją wyrzucił. W wolną sobotę, niedzielę, niczego nie można było załatwić. Żona sołtysa, Henryka, powiedziała później:

— *Umowa stanęła, że tylko do poniedziałku. Babcia spokojna, miła, uprałam jej fartuch, bieliznę, nakarmiłam.*

Święta Bożego Narodzenia, Nowy Rok spędziła nieszczęsna kobieta w pogotowiu opiekuńczym dla dorosłych, w Łodzi przy ul. Róży Luksemburg. Zajęto się nią troskliwie, obyło się bez biurokratycznych obrzędów — najpierw niezbędna pomoc, dokumenty można załatwić później, powiedziała dyr. Teresa Szawel w czasie przyjmowania nowej pensjonariuszki. Nie był to jednak koniec strapień babci. Przebywała tu zaledwie około miesiąca. W końcu trafiła do Domu Pomocy Społecznej w Zgierzu-Chełmach.

Barbara Pankowska, przełożona pielęgniarek:

— *Pani Helena Sęczkowska przybyła do nas 14 stycznia. Mieszka w trzyosobowym pokoju. Współtowarzyszki bardzo ją sobie chwalą: spokojna, cicha, uczynna. Chyba bardzo tęskni, wyczekuje odwiedzin córek, syna... Niestety, na próżno!*

Helena Sęczkowska, urodzona 21 września 1904 roku, ma pięcioro dzieci. Wszystkie dobrze sytuowane, każde mogłoby zająć się starą matką, ale żadne się nie kwapi. Rodzeństwo jest skłócone. Rzekomo niesprawiedliwie podzieliła swoje włości i żwirownię, której kiedyś była właścicielką. Gospodarstwo rolne w miejscowości Celestynów, gmina Ozorków przejęło państwo w zamian za rentę. Cały dorobek swego życia przekazała ponoć córce, Józefie Fandrych i synowi. Ale nie pisano jej spokojnej starości. Tułała się od kilku lat. Trochę mieszkała u dzieci, którym stale zawadzała, trochę u obcych. Ostatnio była zameldowana u siostry, Władysławy Urbaniak.

Stara chałupa z jedną niewielką izbą, belkowym, bielonym pułapem, stoi na uboczu wsi Wypychów. Podwórko nie grodzone, otoczone laskiem brzozowym, stodółka mała, połatana, kryta strzechą. Gospodarze: Władysław, lat 71 i Feliks, lat 74 Urbaniakowie żyją z niewysokiej renty — 6.700 zł i zasiłku okresowego z opieki.

— *Siostra mogłaby nadal być z nami, ale przecie jesteśmy starzy, schorowani, niezbyt sprawni. Mąż chodzi o lasce.*

Płaczą obydwoje. Helena Sęczkowska trafiła do nich, podstępnie wymeldowana od córki, Józefy Fandrych, która wyłudziwszy resztę pieniędzy, co je starowinka trzymała na pochówek, przepędziła ją. Niezbyt miło wspomina pani Helena swój pobyt u córki.

— *Zięć, Czesław Fandrych, bił mnie często po głowie. Nieraz przez dwa dni nie mogłam wstać z łóżka. Nikomu nie było wolno mnie odwiedzać. Zabronili. Pościel, odzież, wszystko u nich zostało. Nie mam nic!*

Duża, drewniana willa z ogromnym tarasem — Józefy i Czesława Fandrychów stoi w Sokolnikach-Lesie, przy ul. Gdańskiej 14. Ponad dwieście metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej! W sezonie wynajmuje się tu pokoje „letnikom". Dla matki miejsca nie starcza. W ogrodzie, na drzewie mała kapliczka Matki Boskiej. Na zamkniętą, żelazną bramę rzucają się ku nam z wściekłym ujadaniem dwa psy. Wspięte na zadnich łapach, groźnie obnażają kły. Daremnie czekamy na otwarcie drzwi.

— *Nie jest tutaj meldowana, u mnie nie będzie* — powiedziała kiedyś córka, gdy próbowano do niej wprowadzić staruszkę. — *Brat mojego męża, Jan Fandrych z Celestynowa jest radnym, nie pozwoli na żadne wasze samowole.*

Od tamtej chwili nikogo z opieki nie wpuszcza do środka. Po raz czwarty z pracownikiem socjalnym, Czesławą Bartosik, stoimy pod bramą. Piszemy kartkę, aby choć książeczkę do nabożeństwa i różaniec matce oddała, bo bardzo o to prosi. Wkładamy list za tabliczkę z napisem: „*Uwaga zły pies!*".

Sokolniki-Las, ulica Kilińskiego 8. Spory, murowany dom. Zastajemy tylko osiemnastoletnią wnuczkę.

— *Matka u lekarza!* — mówi.

— *Jak przyszłam poprzednim razem, też była u lekarza* — skarży się pani Bartosik.

Po kilkakrotnych wizytach wreszcie udaje się nam parę słów zamienić z Anną Janczak — córką Heleny Sęczkowskiej.

— *Ani mi się ważcie tu starą przywozić* — oznajmia butnie.

Mieszkanie Janiny Hejniak, Łódź, Lniana 6. Dostatek, drobnomieszczaństwo wyłazi z każdego kąta. Meble na wysoki połysk, sztuczne kwiaty, tandetna ceramika, kryształy, święte obrazy.

— *Tęściowa u mnie miejsca nie zagrzeje* — odgraża się zięć. — *Tu nie przytułek. Na deszcz, śnieg, mróz wygonię bez skrupułów. Rozdała innym majątek, niech do nich idzie! Ja dzielił się niczym nie będę. W najlepszym razie wywiozę do opieki albo na komisariat!*

Następna córka, Maria Sikora, zajmuje czteropokojowe mieszkanie w Łodzi, na Dąbrowie, przy ul. Kruczkowskiego 14. Segmenty, na ścianie duży portret ślubny, też pełno obrazów ze świętymi wizerunkami. Oboje z mężem na rencie. Mają już wnuczka, jedyny dorosły syn założył rodzinę.

— *Matka była bardzo agresywna, kłótliwa.* — informuje na wstępie pani Sikora. — *Niezmiernie uciążliwa! Pieniędzy miała jak lodu. Drugiej siostrze dała wszystko! Teraz jest w domu starców? Coś podobnego!* — dziwi się szczerze.

Każde z dzieci mówi o pieniądzach, majątku, mają matce za złe, że dokonała niesprawiedliwego podziału, o jej losie żadne nie myśli. Choć w środowisku wiejskim sprawa Heleny Sęczkowskiej nie jest publiczną tajemnicą, mimo to nikt nie potępił postępowania jej dzieci. Aprobuje się je ze wszystkimi moralnymi i społecznymi aspektami — inaczej gehenna kobiety nie ciągnęłaby się tak długo.

W prawie czterdziestoletnim okresie powojennym, kiedy to — mimo ostatnich kryzysowych utyskiwań i wielu błędów gospodarczych — na wsi zmieniło się bardzo wiele, i to wyłącznie na lepsze, mentalność ludzi, zawziętość pozostała ta sama: dobry tylko ten, co przedstawia sobą jakąś wartość materialną, pracuje, produkuje, zarabia. Człowiek starszy, już niesprawny nie ma tu nadal żadnej racji bytu. Zbyt często ta prawda objawia się tak drastycznie, jak w rodzinie Heleny Sęczkowskiej. Losem ludzi samotnych, starych, niepełnosprawnych, rodzin wielodzietnych tutaj jedynie interesuje się opieka społeczna która i tak nie zawsze dociera tam, gdzie powinna. Społeczeństwo, władze lokalne mają inne problemy. Dawanie przez państwo priorytetu we wszelkich poczynaniach wyłącznie producentom żywności wyrzuciło automatycznie poza nawias uboższą, nierentowną resztę. Jeszcze bardziej ugruntowało wypaczoną na wsi od wieków ocenę wartości człowieka.

Obecnie, coraz więcej ludzi starych, zarówno na wsi, jak i w mieście, musi liczyć tylko na pomoc opieki społecznej, której zresztą państwo, przy najlepszych chęciach, zapewnić wszystkim nie może. Ponieważ potrzeby nadspodziewanie przekraczają możliwości, ostatnio lansuje się pogląd, że rodzina ma się zająć swoimi, już niepełnosprawnymi bliskimi. Do tej pory nie stwarzano takich możliwości, wręcz przeciwnie. Model rodziny więcej niż dwupokoleniowej był bardzo niepopularny. Wykształcone dzieci daleko odbiegały od swoich środowisk, nierzadko wstydziły się własnych rodziców. Żłobki, przedszkola całkowicie wyparły babcie, które możliwie jak najdłużej pozostawały czynne zawodowo. Praca zarobkowa kobiety mężczyzny, skrócony czas na wypoczynek poprzez rozliczne obowiązki domowe, oddzielnie spędzane urlopy, wakacje dzieci — skutecznie rozluźniły więzi rodzinne.

Wielopokoleniowej rodzinie nie sprzyjało też nowe budownictwo — w mieszkaniach o niewielkich powierzchniach, podzielonych na małe, niefunkcjonalne klitki, do dziś żyją w ciasnocie nawet nieduże rodziny. Wystarczy się przyjrzeć mieszkańcom domów opieki społecznej — osoby bezdzietne, zupełnie osamotnione, należą do bardzo rzadkich wyjątków! Czy pokolenie, które rośnie postępować będzie inaczej? Już notuje się wysoki wzrost przestępczości wśród młodzieży. Narkomania, alkoholizm nie są zjawiskami odosobnionymi. A jak w przyszłości potraktują swoich rodziców wnuki pani Sęczkowskiej? Czy przykład, który otrzymały w domu nie zaprocentuje? Bez mrugnięcia okiem obserwują los babki. Tak daleko idącej obojętności szkoła nie uczyła. Widać, że wychowanie domowe daje znacznie trwalsze rezultaty.

Kiedy przez parę dni jeździłem z pracownikiem socjalnym, Czesławą Bartosik, stukając bezskutecznie do domów pięciorga dzieci pani Sęczkowskiej, jakoś dziwnie mi było zostawiać starą kobietę w domu pomocy społecznej. Ja czułem się prawie winny, pani Bartosik płakała...

Zastępca dyrektora ZOZ w Zgierzu d.s. służb społecznych, Ewelina Rudnicka, zrobiła wszystko, aby jak najpomyślniej załatwić sprawę staruszki, ale w końcu nie o taki finał chodziło. Obojętności ludzkiej nawet najżarliwsi pracownicy opieki nie przełamią.

Zapobiegliwe dzieci wydusiły matkę jak cytrynę i wyrzuciły. Teraz państwo ma się nią zająć — zapewnić dach nad głową, ubrać, nakarmić, opłacić łzy wylane, zresztą bardzo szczerze, nad jej losem. Czy to nie za wiele? Bezmiar ludzkiej podłości, bezczelności jest przerażający. Na przykładzie rodziny Heleny Sęczkowskiej wydawać by się mogło, że instytucja opieki społecznej została utworzona dla wygody pewnej kategorii cwaniaków, a przecież naprawdę tak nie jest! Ale, aby oni i im podobni nie mogli na nią zrzucać swoich obowiązków wobec bliskich, trzeba publicznie potępić ich niecny proceder. I musi to znaleźć społeczny odzew. Istnieje również pilna potrzeba wydania nowego aktu prawnego, dzięki któremu całe rzesze wygodnickich, beztrosko żyjących dzieci musiałyby ponosić konsekwencje zlecenia opieki nad swymi starymi rodzicami instytucjom państwowym. Tymczasem prawo jest bezsilne.

Szef prokuratury zgierskiej, prokurator Dylik:

— *Helena Sęczkowska uniemożliwiła nam wszelkie działania. Nikogo nie zamierza skarżyć, obwiniać. Chyba wierzy, że serca dzieci skruszeją. Ścigać możemy tylko na wniosek pokrzywdzonej! Jeżeli nie starczy renty na opłatę domu pomocy społecznej, wystąpimy o alimentację — dzieci będą płacić.*

Pani prokurator Wróblewska poinformowała, że w Prokuraturze Rejonowej w Zgierzu było prowadzone śledztwo o znęcanie się nad staruszką, ale zostało umorzone z braku dostatecznych podstaw.

— *Mam dzieci, nie pójdę za nic w świecie do domu opieki, nie jestem żebraczką, byłam se gospodynią.* — oponowała Helena Sęczkowska, kiedy po raz pierwszy proponowano jej umieszczenie w placówce opiekuńczej. Dziś niby jest zadowolona.

— *Sąsiadki bardzo miłe* — mówi — *czysto, ciepło, jedzenie dobre dają. Nigdy u dzieci tak nie jadałam. Ale smutno, ciężko na duszy, własną piersią wykarmiłam całą moją piątkę.*

Którędy do przodu?

Główne założenia socjalizmu 2

Coraz częściej otrzymuję zaproszenia na spotkania — naukowe, dyskusyjne, szkoleniowe, autorskie wreszcie, jako że popełniłem kilka książek o problematyce zakreślonej tytułem tego felietonu — których uczestnicy zainteresowani są w przypomnieniu, uściśleniu, potwierdzeniu sedna formacji socjalistycznej. Nie wszystkie zaproszenia mogłem przyjąć ze względu na ograniczoność czasu, nie wszystkie zaakceptowane zrealizować — przeszkodziła choroba. Niemniej tam gdzie byłem, potrzeba uzgodnienia poglądów w tej istotnej materii potwierdziła się w pełni.

Mimo bowiem dominującej na tych spotkaniach zgodności co do tego, że „socjalizm tak", nie ma jasności i jedności w interpretowaniu tego pojęcia. Częstokroć jako wyróżniki socjalizmu traktowane są ogólnikowe hasła o ponadustrojowej obecnie wartości, takie jak sprawiedliwość społeczna, humanitaryzm, demokratyzm. A bywa, że środki, narzędzia socjalistycznych przeobrażeń — takie jak partia czy państwo, bądź formy tych przekształceń — np. upaństwowienie, są traktowane jako autonomiczne i pierwszoplanowe wartości, z zagubieniem treści klasowych, które winny określać ich istotę.

Wszystko więc wskazuje, że dyskusja uzgadniająca nasze poglądy na socjalizm winna i będzie się toczyć. Chcąc zaś być w niej obecnym także i w środowisku czytającym ten felieton, postanowiłem zaprezentować w skrócie, jak pojmuję cele, zasady i sposoby organizujące socjalistyczną formację społeczeństwa.

1. Nadrzędnym celem przeobrażeń socjalistycznych jest stworzenie ustroju sprawiedliwszego a zarazem sprawniejszego niż kapitalizm poprzez zniesienie klasowych zróżnicowań i ograniczeń szans rozwoju uzdolnień, twórczego ich zastosowania oraz osiągania satysfakcji życiowych. Znoszenie klasowych różnic nie zakłada bynajmniej likwidowania wszelkich różnic między ludźmi i warunkami ich bytowania. Naturalne zróżnicowanie talentów ludzi, ich zdolności tworzenia i przeżywania stanowi trwałą właściwość naszego gatunku, źródło innowacyjności, a zatem bogactwa i dalszego postępu społeczeństw. Co więcej, w socjalizmie realnym — stanowiącym fazę przygotowawczą komunistycznej formacji, ale dla kilku pokoleń właściwą dlań formę życia społecznego — te odmienności krzyżują się i potęgują z regułą podziału wedle pracy i wynikającym stąd zróżnicowaniem satysfakcji materialnych. Utrzymujący się zaś podział ról społecznych na wykonujących prace umysłowe, kierownicze, twórcze, czyste — i o charakterze głównie fizycznym, podporządkowanym, odtwórczym i narażającym na kontakt z rozlicznymi zanieczyszczeniami, uniemożliwia szybkie przezwyciężanie zróżnicowań klasowo-warstwowych. Stąd zadaniem sił prosocjalistycznych jest nie ograniczanie się do zwalczania właściwych dla kapitalizmu podziałów klasowych, ale i zróżnicowań wynikających z właściwości socjalistycznego sposobu produkcji. W szczególności przezwyciężanie żywiołowej tendencji do utrwalania i dziedziczenia odmienności szans życiowych.

2. Uspołecznianie środków i celów produkcji jest podstawowym sposobem przezwyciężania klasowego zróżnicowania szans życiowych. Konieczność takiej zmiany determinowana jest wymogiem uzgodnienia społecznego charakteru wytwarzania ze społeczną własnością środków produkcji i nacelowywaniem ich na zaspokajanie racjonalnych potrzeb ogółu członków danej społeczności państwowej. Wymaga to zastępowania dominacji rynkowego uzgadniania współzależnych dążeń i działań przez prymat planowego nacelowywania aktywności i rozwoju sił wytwórczych. Doświadczenia potwierdzają efektywność planowego sterowania procesami gospodarczymi w okresie odbudowy oraz przezwyciężania niedorozwoju industrialnego. Ujawniają zarazem barierę, jaka powstaje, gdy zadania rozwojowe nabierają bardziej złożonego charakteru — wymagającego uzgodnienia aspiracji z niższymi od ich sumy możliwościami oraz skojarzenia planowania z rachunkiem ekonomicznym i pomocniczą rolą reguł rynkowych.

3. Taki kierunek przemian wymaga zastąpienia panowania burżuazji przez hegemonię klasy robotniczej. Szczególną jej właściwością jest to, iż — w odróżnieniu od wszystkich uprzednio zdobywających panowanie — nie aspiruje do uprzywilejowania swych warunków życiowych względem i kosztem innych klas, jest natomiast żywotnie zainteresowana w znoszeniu wszelkich uprzywilejowań i klasowych zróżnicowań szans życiowych. Predestynuje to klasę robotniczą do przewodzenia w tym dziele innym siłom społecznym wyzyskiwanym przez wielką burżuazję i zainteresowanym w obaleniu jej panowania. A zarazem i do przeciwdziałania tendencjom zastępowania starych form wyzysku i uprzywilejowania — nowymi.

4. Warunkiem koniecznym konsekwentnie socjalistycznych przeobrażeń jest organizowanie aktywności klasy robotniczej i jej sojuszników przez partię. Lecz nie jakąkolwiek, ale dorastającą do swej pozycji i roli. Do tego zaś, jak potwierdzają dotychczasowe doświadczenia, niezbędne jest by partia:

(a) składała się z najbardziej świadomych i aktywnych robotników oraz tylko tych inteligentów i przynależnych do innych klas, którzy w sprzecznościach interesów swych środowisk z robotniczymi potrafią się opowiedzieć po stronie klasy-hegemona;

(b) znała, rozwijała i stosowała naukowo-socjalistyczną wiedzę i wynikające zeń umiejętności kierowania procesami społecznymi;

(c) konsekwentnie kojarzyła demokratyzm wypracowywania programów oraz wyłaniania i odwoływania ciał kierowniczych z centralizacją sterowania zespołowym działaniem;

(d) godziła swą pozycję przewodniej siły politycznej z partnerską współpracą z reprezentacjami sił sojuszniczych wobec klasy robotniczej.

Dotychczasowe doświadczenia Polski Ludowej przynoszą raczej dostatek argumentów za koniecznością takiego właśnie konsekwentnie charakteru partii robotniczej.

5. Kluczowym instrumentem socjalistycznych przeobrażeń jest państwo dyktatury proletariatu. Używam tej nazwy w jej klasycznym, przedstalinowskim znaczeniu, definiującym, iż:

(a) państwo jest powołane do ukierunkowywania zbiorowych działań zgodnie z interesami proletariatu i sił o zbieżnych z nim dążeniach, do czego niezbędne są,

(b) instytucje i mechanizmy umożliwiające klasie robotniczej stały dominujący wpływ na politykę, skład organów i sposoby działania państwa. Parafrazując lapidarne streszczenie przez rebego sedna Ksiąg Starego Testamentu: „nie czyń tego, co drugiemu niemiłe — reszta to komentarz", istota zaleceń naukowo-socjalistycznych dla państwa daje się sprowadzić: „nie czynić tego, co sprzeczne z interesami klasy robotniczej — reszta to motywacja i środki". Naturalne zainteresowanie klasy robotniczej w rozwijaniu komplementarnej doń aktywności innych grup społecznych sprawia, że sprzecznymi z interesami robotników mogą być w zasadzie tylko dążenia do przywracania, utrwalania i pogłębiania uprzywilejowań innych grup. I państwo właśnie powołane jest do ograniczania i przezwyciężania takich skłonności — i o ile to czyni, o tyle zasługuje na miano państwa socjalistycznego.

6. Niezbędną częścią systemu socjalistycznej organizacji społeczeństwa są masowe organizacje powołane do reprezentowania interesów ekonomicznych (związki zawodowe), profesjonalnych (stowarzyszenia różnych profesji inteligenckich), pokoleniowych, kobiecych, zrzeszających zainteresowanych w różnych typach aktywności społecznej. Istnienie szerokiego zestawu tego rodzaju form organizacyjnych sprzyja różnorodnej aktywizacji, tworzy wielowarstwową tkankę niezbędną do umacniania więzi społecznej, przezwyciężania tendencji do atomizacji jednostek. Wypaczenia w tej materii w uprzednich czasach, sprowadzające się głównie do ubezwłasnowolniania tych organizacji, stały się źródłem reakcji głównie negatywnej początkowo. Przezwyciężenie zarówno wypaczeń jak i następnych przegięć w tej sferze, jest warunkiem sine qua non przywrócenia żywotności i siły polskiemu socjalizmowi. Szczególnie istotną kwestią jest wypełnienie drastycznej luki, jaką jest fakt, że tylko robotnicy nie mieli i nie mają organizacji podobnie odrębnej, jakich multum mają inteligenci. Utrudnia to, a z czasem i uniemożliwia artykułowanie i dobijanie się robotników o swoje interesy na bieżąco, co powoduje kumulowanie się niezadowolenia i rozładowywanie go w konfliktach. Sądzę, że zakładana po fazie doświadczeń nowelizacja ustawy o związkach zawodowych, winna usunąć tę lukę przez stworzenie możliwości odrębnego organizowania zakładowej administracji i nadzoru — i odrębnego, bezpośrednich wytwórców.

7. Internacjonalizm proletariacki, czyli konieczność współdziałania sił prosocjalistycznych różnych narodów w obronie i tworzeniu socjalistycznego ustroju, jest ostatnim, lecz nie mniej ważnym z głównych założeń konstytutywnych tej formacji. Wymóg ten wynika z obiektywnego faktu, iż uspołecznienie wytwarzania wykroczyło poza granice narodowe i państwowe. Zmiana ustroju na socjalistyczny w którymkolwiek kraju kolduje zatem z interesami nie tylko rodzimej, ale i międzynarodowej burżuazji. Niezbędna więc była, jest i będzie osłona ze strony międzynarodowego ruchu rewolucyjnego oraz innych państw socjalistycznych. Jednocześnie państwa socjalistyczne są naturalnymi partnerami w międzynarodowym podziale pracy. Doświadczenie potwierdza konieczność prymatu takich związków. Jak i konieczność łączenia przez kooprodukcję siły krajów socjalistycznych o mniejszym potencjale po to, by zyskiwać wspólnie szanse na partnerskie kontakty z kapitalistycznymi koncernami. Zaniedbanie tych wymogów przez Polskę w minionej dekadzie zemściło się aż nadto dotkliwie, by zbagatelizować wynikające stąd wnioski.

Zauważmy, że zasadności wymogu internacjonalistycznej współpracy w obronie i rozwoju nie przekreśliły dramatyczne, lecz incydentalne w istocie nieporozumienia w ruchu robotniczym oraz konflikty między państwami socjalistycznymi. Dowodzą one, podobnie jak i konflikty wewnętrzne poszczególnych społeczności socjalistycznych, że powstawanie nowej formacji to nie sielanka, ale proces skomplikowany i dramatyczny. Ulegają wszak gruntownym zmianom stosunki międzyludzkie w skali narodowej i międzynarodowej. Byłoby idealizmem oczekiwanie, że dokona się to bez tarć i walki nie tylko na styku ze starą formacją, ale i po drodze do nowej. Świadomość tych zagrożeń, rozpoznawanie ich i ujawnianie przed szkodą, jest jedynym sposobem załagodzenia, a nawet i rozładowania.

Tyle tezowego zagajenia raczej, niż pełnej wypowiedzi. Tuszę, iż niedostatki wynikłe z niedomówień i uproszczeń równoważy przynajmniej częściowo skrótowość.

MARIUSZ GULCZYŃSKI ■

Dziadek na wsi jest dobry na wszystko

Dokończenie ze strony 1

legniarka środowiskowa. Pielęgniarek albo nie ma, albo nie mogą dotrzeć do położnic. A na te ostatnie czeka praca. Często niemowlę wsadza się do wózka, stawia w polu, czy to deszcz, czy spiekota, a matka haruje przy żniwach lub przy pielonce.

Nie ma pieluszek, puderków, leków, izby są źle ogrzewane, toteż niemowlęta chorują. A gdy podrosną, walęsają się po podwórkach, jedzą to, co dorośli. Żadnych tam kleiczków, witaminek czy innych dietetycznych cudeńków. Kapusta, ziemniaki, świnina. A że na wsi mało lodówek i nie ma kartek, kładzie się mięso ze świniobicia do beczki z solą. I zjada wszystko, dopóki nie zacznie zbyt mocno śmierdzieć. Zatruwają się całe rodziny, w tym dzieci.

Potem dzieci idą do szkoły. Stomatolog prowadzi w zasadzie tylko badania okresowe, takie różne akcje, więc dzieciom psują się zęby. Zlikwidowano wiele małych szkół, co też nie poszło dzieciom na zdrowie. Są wyczerpane fizycznie i psychicznie. Bo jeśli się je nawet dowozi do szkół zbiorczych, to po lekcjach muszą nieraz czekać do trzech godzin na autobus. Na mrozie lub w deszczu. I bez ciepłego obiadu.

A są i takie miejscowości, że dzieci dochodzą do szkoły po siedem kilometrów, bez względu na pogodę. W lichych paletkach i dziurawych butach. Przemarznięte, zmoknięte, kaszlące. Na lekcjach moczą się, mają chore pęcherze. Albo zasypiają z przemęczenia, gdyż w domu nie tylko trzeba odrobić lekcje, ale też pomóc w gospodarstwie.

W czasie wakacji dzieci rolników w zasadzie nie wyjeżdżają do sanatoriów lub na kolonie. Pracują przy sianokosach, przy żniwach. Na świeżym powietrzu. Tylko, że ono nie jest już takie świeże. Bo przemysł sytuowany z dala od wielkich aglomeracji zagroził także naturalnym warunkom zdrowotnym wsi. Z rejonu huty miedzi „Głogów" trzeba było ewakuować ludność najbardziej zagrożonych wsi.

Gdyby rodzice wiejskich dzieci byli światli i troskliwi, to i tak nie pomogą swoim pociechom. Dlatego, że 4 milionami wiejskich dzieci zajmuje się 400 pediatrów, czyli jeden lekarz na 100 tys. pacjentów. Tylko w jednej trzeciej gminnych ośrodków zdrowia są poradnie dla dzieci. Stąd też Prezydium NK ZSL zwróciło się do ministra zdrowia i opieki społecznej o opracowanie raportu w sprawie zdrowia ludności wiejskiej, w tym szczególnie dzieci. Bo później z tych dzieci i młodzieży wyrastają

CHŁOPY JAK DĘBY I BABY JAK RZEPY

ale z mocno nadszarpniętym zdrowiem. Do niedawna przed młodymi mężczyznami pozostającymi na wsi jawiły się: marazm i beznadzieja, wynikające z nieopłacalności produkcji i braku stabilności w polityce rolnej, oraz sklepy pełne wódki na pokrzepienie. Niezwykle trudnym problemem społecznym stał się alkoholizm i objawy zaburzeń psychicznych: psychozy alkoholowe, miażdżycowe i starcze. Na wsi picie stało się dopustem bożym, łaskawie tolerowanym przez bliźnich. Milicja nie zabierze do żłobka, poradni antyalkoholowych nie ma, odwykówek też nie ma, więc pić można, z tym, że u żon i dzieci pijaków nerwica rozmnożyła się jak w miastach. W tym sielskim pejzażu, na świeżym powietrzu.

Ale po co ta zgryźliwa ironia? Na wsi skończyła się sielanka. Kiedyś chłop spocił się w polu, deszcz go zmoczył, to legł na piecu, wygrzał się albo skórkę z kota przyłożył na rwące korzonki i ulżyło mu trochę. A dzisiaj baba skaleczy się w rękę i zaraz w krzyk! Jakby we wsi był felczer, założyłby opatrunek, nie? Więc kobieta nie będzie gnać 10 kilometrów do ośrodka zdrowia. Jest robota, przewiąże zranioną dłoń szmatą, gnojówkę rozleje na grządkach, bo czas goni, a pieniądz potrzebny jak diabli. I nikt jej nie pyta, czy ma okres i opaskę higieniczną. Trzeba rozpylić środki owadobójcze w szklarni, bo będzie za późno, i szlus!

A właśnie! Na zdrowie mężczyzn i kobiet wpływają ujemnie nie tylko zaszłości i zaniedbania, ale przede wszystkim cywilizacja, która wprawdzie przedłuża życie mieszkańców wsi, jednak w skutkach ubocznych doprowadza do nowych zagrożeń. Zaniedbania to przede wszystkim gorsze niż w mieście warunki sanitarno-higieniczne. Bo na przykład chłopu bardziej jest potrzebna wanna z ciepłą wodą niż biuraliście z miasta. Dlatego, że pracuje w brudzie, na powietrzu, ale niezależnie od pogody i temperatury. Na dodatek nie ma odzieży ochronnej ani ocieplającej, nawet butów gumowych. Szerzą się więc reumatyzmy, zwyrodnienia układu kostno-stawowego, choroby dróg oddechowych i naczyń, owrzodzenia wynikające z niewłaściwego sposobu odżywiania.

Najgroźniejszy jest fakt, że tylko 20 proc. gospodarstw pobiera wodę z wodociągów publicznych i własnych. Ponad 77 proc. wody ze studni jest niezdatne do picia. Gromadzone blisko studni nieczystości i obornik przenikają do gleby i do wody, którą piją ludzie. I stąd na wsi częściej niż w mieście występują choroby zakaźne i pasożytnicze.

Do tego dochodzi mechanizacja prac, chemizacja upraw oraz rozwój motoryzacji. Te czynniki sprawiły, że na wsi wzrosła ilość urazów prowadzących często do ciężkiego, trwałego kalectwa oraz liczba przewlekłych lub ostrych zatruć (zatruta woda i niewłaściwe korzystanie ze środków ochrony roślin).

Mężczyzna jakoś to przetrzymuje, ale kobieta, na którą — wbrew pozorom — spada większość prac w gospodarstwie, która nie może nawet poleżeć trochę po połogu, nie mówiąc już o urlopie macierzyńskim, znajduje się w trudnej sytuacji, podupada na zdrowiu. Poza tym, tylko w połowie gminnych ośrodków zdrowia są poradnie dla kobiet. I dlatego trzydziestoletnia kobieta wiejska często wygląda starzej niż sześćdziesięcioletnia emerytka z biura.

W roku 1980 problemy ochrony zdrowia na wsi zostały wpisane do wspólnych wytycznych Biura Politycznego KC PZPR i Prezydium NK ZSL w sprawie polityki rolnej. Nie wolno bowiem dopuścić, aby na wsi pozostali sami

KRZEPCY DZIADKOWIE

Oczywiście w cudzysłowie. Bo któż może tryskać witalnością po 50 latach znoju w ciężkich warunkach, bez wolnych niedziel i świąt, bez urlopów, z nie leczonymi starymi schorzeniami, gdyż dawniej opieka lekarska była jeszcze mniej dostępna.

Takich dziadków możemy naliczyć w gminach ponad milion. Dziadek na wsi jest dobry na wszystko, nie tylko do pilnowania wnuków. Będzie dźwigał ósmy krzyżyk na plecach, będzie kwękał i stękał, a jak mus, to pójdzie w pole do roboty. Bo to nie jest emeryt z miasta, co to sobie spaceruje z laseczką w parku albo gra w szachy. Kiedy dziadek przestaje pracować, traci znaczenie w oczach rodziny i sąsiadów, staje się niepotrzebny. Toteż dość często sterani, chorzy staruszkowie trzymają się kurczowo ziemi, pracują do upadłego, do ostatnich dni swoich, i nie narzekają na los.

Miastowy laik stwierdzi, że babcie i dziadków trzeba wysyłać do sanatoriów. Nic prostszego. Z tym, że albo jest już za późno na leczenie, wobec czego taka okresowa profilaktyka nic nie da, albo nie ma miejsca. Rolnicy korzystający z leczenia w sanatoriach stanowią 2 proc. ogółu kuracjuszy w Polsce. Trzeba więc rozbudować bazę sanatoryjną. Ważniejsza jest jednak sprawa uzdrowienia wiejskiej służby zdrowia, a przede wszystkim, jak postulują działacze partyjni i ludowi, stworzenie Funduszu Socjalnego Wsi.

Nie wdając się w szczegóły, zaznaczmy, iż na wsi rośnie liczba emerytów — ludzi starych, samotnych, bez następców. Tacy niechętnie opuszczają dom rodzinny, żeby przenieść się do domów opieki społecznej, których zresztą jest niezwykle mało. Ci ludzie chorują i umierają samotnie. Nie ma bowiem dostatecznej ilości pracowników socjalnych i pielęgniarek, które opiekowałyby się starcami w domu. Staruszkowie sami nie wybiorą się do odległego ośrodka zdrowia. A jeśli dobry sąsiad podwiezie ich tam, to bywa, że

PRZYCHODZI BABA DO LEKARZA

a lekarza nie ma, chociaż niedawno oddano z przecięciem wstęgi nowy budynek gminnego ośrodka zdrowia. Państwo dołożyło wielu starań, aby powstawały nowe ośrodki zdrowia, w prace przy budowie angażowało się społeczeństwo, płaciło na Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia. Gminne ośrodki zdrowia miały być podobne do przychodni rejonowych w mieście, a więc wielofunkcyjne, z poradnią ogólnolekarską i stomatologiczną, z poradnią dla dzieci i kobiet, punktem aptecznym i laboratorium. Niestety, rzadko można spotkać taką idealną placówkę na wsi. Ponadto w ośrodkach brakuje sprzętu, aparatury specjalistycznej, środków transportu i radiotelefonów.

Ale przede wszystkim brakuje kilku tysięcy lekarzy, szczególnie pediatrów, ginekologów, okulistów i laryngologów oraz prawie pięciu tysięcy pielęgniarek środowiskowych. Według danych NIK, w latach 1977—79 liczba lekarzy w mieście zwiększyła się o 11 proc., na wsi zaś tylko o 2,8 proc.

No cóż, życie lekarza na wsi nie jest łatwe. Trzeba więc stworzyć lekarzom takie warunki, aby chcieli osiedlać się w gminach. Po prostu — należy dobrze płacić, więcej niż w mieście. Ale jeszcze ważniejsze jest zapewnienie lekarzom mieszkania oraz pomocy w budowie domu (udostępnienie materiałów i dogodnych kredytów). Nie mniej istotnym jest przydział samochodu, bez którego lekarz wiejski nie może pracować. Większa liczba lekarzy na wsi to także więcej wolnego czasu, a stąd możliwość zrobienia specjalizacji. Poza tym nie przeciążony obowiązkami lekarz może współdziałać z KGW i ZMW, organizować „szkoły zdrowia", propagować higienę. Zaniedbania pod tym względem doprowadziły do niszczenia środowiska, skażenia gleby, wody, powietrza, do zatruć środkami chemicznymi, itp.

Rzecz jasna, resort zdrowia nie zapędzi lekarzy na wieś. To władze terenowe powinny tworzyć odpowiednie warunki dla służby zdrowia. Chodzi o to, żeby budowane z takim trudem ośrodki zdrowia oraz znajdująca się w nich aparatura medyczna były należycie wykorzystane; żeby nie przeciążony lekarz wiejski mógł spokojnie i dokładnie pomóc każdemu, kto potrzebuje pomocy. A wszystko zmierzą do jednego: żeby wieś była zdrowa.

Jest to problem ogromnej wagi, nic więc dziwnego, że został podjęty na ostatnim wspólnym Plenum KC PZPR i NK ZSL, poświęconym sprawom rolnictwa. I tak być powinno. Bo „świeże powietrze", pasze, nawozy i maszyny to jeszcze nie wszystko. Nie pomoże technika, jeśli produkcją żywności będą zajmować się ludzie chorzy, mało wydajni. Dlatego też ochrona zdrowia rolników musi się stać integralną częścią polityki rolnej, zgodnie z rzeczywistymi potrzebami wsi.

RYSZARD BINKOWSKI ■

„Ogłaszam alarm"

Ciężki, słodki zaduch. W wiosennym styczniu padlina szybko się rozkłada. Dwóch żołnierzy i dwóch ZOMO-wców pracuje przy usuwaniu zwierzęcych zwłok. Reporter radiowy heroicznie zasłania nos, zadaje pytanie: *„Jak wam się pracuje?"* Wykrzywione, spocone twarze. Ten w ciemniejszej nieco panterce odpowiada półgębkiem: *„Ktoś przecież to musi robić"*.

Tymczasem strugi morza walą przez depresję żuławską. Masa sprzętu wojskowego, wory z piaskiem, gdzieniegdzie strugi zamieniające się już w węższe strumyki: tam załatano tamę.

Dalej przewiezieni pontonami, tratwami, łodziami, kajakami — ludzie. Kobietom jeszcze oczy nie wyschły: potrafią płakać. Najstraszniejsze są jednak te zacięte, jak z drewna rzeźbione, twarze starych Kaszubów, patrzących przed siebie na jedną z najbogatszych ziem, która długo jeszcze nie będzie rodzić. Woda morska niesie sól — zabójczy środek dla roślin. Od niego upadła cywilizacja Sumerów. Kaszubi nic nie wiedzą o Sumerach, ale wiedzą, że wszystko stracone.

Wojsko, ZOMO, straż pożarna nie wie już za co pierwej się brać: łatać tamy czy ratować to, co zostało. Dowódca krzyczy: *„Pierwsi ludzie i zwierzaki, pierwsi ludzie i zwierzaki!"* Tak, życie jest najważniejsze, ale woda wciąż się wdziera.

W tym czasie, gdy konają Żuławy Elbląskie, woda pojawia się na ulicach Gdańska, w okolicach Nowego Portu, wlewa się do piwnic, zagraża budynkom. Stan najwyższego alarmu. Ewakuacja.

Fale przeskakują tamę we Władysławowie, buszują w głębi lądu, w środku Półwyspu Helskiego, przewalają drzewa, a plażę zostawiają nietkniętą. Wojewodowie ogłaszają stan alarmu dla województwa elbląskiego, gdańskiego, gmin przybrzeżnych województw: szczecińskiego, słupskiego, koszalińskiego...

Co zdarzyło się właściwie w połowie stycznia 1983 roku? Rzecz w tym, że wypadki, o których piszę, były już skutkiem dłuższego procesu. Od samego początku niebywałego w naszych warunkach klimatycznych stycznia szalały na całym Bałtyku sztormy. Codziennie prognozy nawigacyjne ogłaszały ostrzeżenia przed silnym wiatrem, sztormem lub huraganem. Cyrkulacja wiatru ograniczyła się w pierwszej fazie do West-Nordu i Nordu, co spowodowało przy długotrwałym oddziaływaniu huraganów potężne wlewki wody z Morza Niemieckiego na Bałtyk przez Sund oraz Bełt Mały i Wielki. Poziom wód Bałtyku wzrósł o półtora metra.

Fala jest zjawiskiem powierzchownym, ale skoro ta powierzchnia unosi się o półtora metra, wówczas następuje katastrofa. Gdyby wiatr kołował w granicach 360 stopni róży wiatrów — ba, gdyby kołował! Tymczasem cyrkulacja utrzymywała się nieprzerwanie w ćwiartkach zachodnio-północnych, i nagle przeszła na Nord-Ost.

Mówiąc obrazowo, morze nie miało gdzie uciec — zaczęło szturmować ląd. Powodzie to niewątpliwie najbardziej tragiczne i spektakularne dla operatorów TV aspekty tego totalnego sztormu.

Żeby jednak zrozumieć rozmiary katastrofy, należy scharakteryzować Bałtyk jako akwen o cechach szczególnych:

500 km linii brzegowej Polski jest w zasadzie płaszczyzną — wydmy i wały klifowe należą do wyjątków. To sprawa jedna. Dno Bałtyku zalegają ruchome żwirowiska o bardzo małej granulacji, przemieszczające się muły — i przy bardzo długim działaniu wiatru północno-wschodniego ta straszliwa pulpa przenosi się w kierunku zachodnim, zamula szlaki wodne, spiętrza się w pobliżu brzegów, podwyższa pozycje wyjściowe do ataku fal.

Z faktu, iż większość pobrzeża jest płaska, wynika specyficzna konieczność ochrony brzegowej. Będą to przeróżne warianty tzw. płotków. A więc zapory z faszyny, pale wbijane w pewnych odstępach, gęste palisady, konstrukcje ze specjalnych płytek — no i uniwersalne ściany larsenowskie.

Chciałbym Czytelnikom scharakteryzować ścianę larsenowską — jest ona bowiem konstrukcją w zasadzie prostą, ale jak każda prosta a niezawodna rzecz — genialną. Proszę sobie wyobrazić dłuższe lub krótsze a wąskie blachy stalowe, tak przemyślnie zagięte, iż jedna zaczepiając o drugą tworzy praktycznie mur całkowicie ubezpieczający brzeg w normalnych warunkach.

Ponadto znamy szereg innych ubezpieczeń brzegowych w miejscach bądź szczególnie narażonych, bądź o szczególnej ważności: wały przeciwpowodziowe, wały ochronne, kamienno-betonowe i inne budowle hydrotechniczne.

Kiedy turyści stoją nad brzegiem morza, widzą fale dobijające do brzegu, kotłujące się przy nim, przy czym część wody łagodnie wpływa na plażę. To właśnie efekt wszelkiego rodzaju zapór. W warunkach, jakie zaistniały w styczniu, żaden turysta nie mógłby bezpiecznie podejść do brzegu. W zakresie działalności Urzędu Gospodarki Morskiej znajdują się brzegi, wydmy, małe przystanie i niewielkie porty. Duże porty a nawet średnie — to już samodzielne przedsiębiorstwa ze wszystkimi trzema „S", jak tego wymaga reforma gospodarcza.

Można śmiało powiedzieć, że całość gospodarstwa Urzędu Gospodarki Morskiej w ciągu jednego stycznia 1983 roku uległa takiemu zniszczeniu i uszkodzeniu, jak w ciągu 36 miesięcy 1980, 1981, i 1982.

Z morzem stale się walczy, coś naprawia, reperuje — ale tym razem bilans zniszczeń na

razem bilans jest przerażający. Wały przeciwpowodziowe uległy kompletnemu zniszczeniu na około 1000 metrów bieżących, nastąpiło zakrzywienie wydm. Tzw. płotki i wykładziny faszynowe zrujnowane zostały na 20.000 m kw. Wiatrołomy i podmyte drzewa dają bilans 1200 m sześć. Ubezpieczenia różnej konstrukcji chroniące brzeg uległy zagładzie na 90 km, ogrodzenia wydm — 8 km, wały betonowo-kamienne — 1 kilometr (tylko w ubytkach sięgających 30 proc.), te same wały z ubytkiem ponad 80 proc. — 2,1 km. Drogi utwardzone znikły na przestrzeni 820 m. Tak więc straty tylko Urzędu Gospodarki Morskiej sięgają na dzień 19 lutego br. — 496 mln zł. Ale to tylko pozór. W tej chwili bowiem nie można wykonać żadnych sondowań ani ekspertyz podwodnych, ponieważ dalej utrzymuje się sztormowy wiatr Nord i Nord-Ost w granicach 7—10 stopni w skali Beauforta. W dodatku, raz uszkodzone elementy ochrony Wybrzeża ulegają dalszemu rozmywaniu, dewastacji, rozproszeniu.

Roślinność ochronna na całym Wybrzeżu jest praktycznie zniszczona. Jej odbudowa determinowana biologicznie — to kilkanaście lat.

Przy utrzymujących się warunkach pogodowych, straty mnożyć się mogą w postępie arytmetycznym.

Z wyjątkiem portów wielkich, a przede wszystkim Portu Północnego w Gdańsku i zespołu Świnoujście — średnie porty należące do przedsiębiorstw połowów i usług rybackich poniosły straty, których opis byłby może zbyt fachowy, wobec tego ograniczę się do notowań w milionach złotych. Zaczynając od wschodu: Frombork — 6 mln zł, Tolkmicko — 10,6 mln zł, Kołobrzeg — 9, Darłowo — 7, Ustka — 3, Łeba — 2,3, Mrzeżyno (Ziemia Szczecińska) — 50,6 mln zł, czyli praktycznie port zniesiony. Podliczając straty wraz z portami uzyskamy sumę 117,3 mln zł (dochodzą niewielkie uszkodzenia w wielkich portach).

Inż. Andrzej Trapszo z Departamentu Prawa i Administracji Morskiej UGM powiedział bardzo mądre zdanie: *„Brzegów nie uratują pieniądze, rozmyje je woda i piach"*. Chodzi o to, że te pieniądze, które należy liczyć według ostatecznych szacunków strat, muszą być związane z żelaznym, reżimowym planem uzbrojenia w urządzenia, maszyny, w jednostki pływające i fachowców. Z tym dopiero trzeba wiązać każdy preliminowany grosz.

W tej chwili cała moc przerobowa Przedsiębiorstwa Robót Czerpalnych i Podwodnych — to zabawa grzecznego Jasia. Piszę to z całą odpowiedzialnością, gdyż byłem wśród tych ludzi z początkiem lat siedemdziesiątych, pracując w ówczesnym „Tygodniku Morskim". Wtedy PRCiP stanowiło faktycznie potęgę zlokalizowaną przy budowie Portu Północnego. Obecnie, długo nie dofinansowywane gospodarstwo uległo degradacji.

Ale PRCiP to tylko maleńka cząstka zagadnienia. W swoim czasie, co tydzień umieszczałem w „Tygodniku Morskim" felietony o postępie prac przy budowie Portu Północnego. Wtedy głównym moim bohaterem był główny wykonawca — Hydrobudowa nr 4 z jej niespożytym dyrektorem Stachurskim. Gdyby nie energia i siła przebicia ówczesnego sekretarza KW w Gdańsku, Tadeusza Bejma, wspomnianego dyrektora Hydrobudowy 4 i pewnego wysokiego funkcjonariusza partyjnego, późniejszego wicepremiera, a obecnie obywatela Jana Szydlaka — to Port Północny ze swoją ultranowoczesną wywrotnicą i rozmrażalnią wagonów, polem węglowym częścią załadunku węgla i pirsem paliwowym byłby prawdopodobnie budowany do dnia dzisiejszego. Obecnie można przypuszczać, że podobnie jak Gdynia po 50 latach jest wiecznie młoda — tak Port Północny będzie reprezentować najnowocześniejszą klasę i za 100 lat. Hydrobudowa wówczas jako główny wykonawca korzystała z usług 14 podwykonawców i przy różnym ich zaangażowaniu potrafiła wymóc terminowość, jakość. Piszę o tym dlatego, że w drugiej połowie lat 70. na fali mody pod tytułem „Akcja Energopol" zniszczono nie tylko ogromny front robót hydrobudowlanych, działalność skuteczną w zakresie wznoszenia oczyszczalni ścieków i innych obiektów ochrony środowiska, budowy i rozbudowy portów, lecz również wspaniałą, żelazną organizację przedsiębiorstwa. Hydrobudowa bowiem uległa likwidacji. W tej chwili fachowcy z tego i bliźniaczego przedsiębiorstwa nr 5 działają na najdłużej chyba w Europie wznoszonej elektrowni nad Jeziorem Żarnowieckim a tymczasem 500 km wybrzeża polskiego dosłownie woła o prace hydrobudowlane, do których konieczny jest ogromny precyzyjny park maszynowy, jednostki pływające i fachowcy.

W trakcie pogłębiania basenu Portu Północnego i tworzenia nowego lądu właśnie ze wspomnianego w tym reportażu wędrownego żwiru dennego — kontraktowaliśmy samoczynne statki-refulery z NRD („Ostensee") i ZSRR („Siewierodwinski"). W tej chwili trzeba pomyśleć już nie o kontraktach tego typu, lecz o zamówieniu najpóźniej w przyszłym roku w wyspecjalizowanych stoczniach francuskich budowy własnego statku tego typu. W przeciwnym wypadku ministra Korzonka śmiało będzie można mianować komendantem straży pożarnej. Bo Urząd Gospodarki Morskiej wie o tym chyba najlepiej, że styczeń 1983 może się powtórzyć. Alarm trwa.

ROBERT GLUTH

P.S. 1

Spośród wielu alarmujących depesz PAP-owskich „Dziennik Łódzki" był łaskaw wybrać tylko jedną, mocno pocieszającą: otóż wraz z masami wody do cieśnin duńskich wpłynęło wiele ryb pelagicznych (szproty, śledzie, dorsze), które lubią sporo tlenu, a sztormy wcale im nie przeszkadzają. Rybacy z PPUiR powiadają ze śmiechem: *„Ryb od groma, tylko jak po nie wypłynąć, skoro z dnia na dzień alarm sztormowy zatrzymuje nas w portach"*.

P.S. 2

W czasie, gdy weryfikowałem własne spostrzeżenia nadmorskie z odpowiednimi urzędami — pierwszy telefon z hotelu nakręciłem do rzecznika prasowego rządu. Minister Jerzy Urban nie miał osobiście czasu, ale zlecił p. Pawlakowi udzielenie mi informacji. Byłem u tego pana punktualnie, aby usłyszeć, że poświęcić mi może dwie minuty, a następnie odesłał do rzeczników prasowych trzech resortów, przy czym nie był pewien, czy Urząd Gospodarki Morskiej mieści się jeszcze w budynku Ministerstwa Handlu Zagranicznego — więc adresu nie podał.

P.S. 3

Serdecznie dziękuję wszystkim ludziom morza, bosmanom portów, urzędnikom resortów: administracji terenowej i ochrony środowiska, rolnictwa i gospodarki żywnościowej oraz Urzędu Gospodarki Morskiej, a w szczególności red. Sławomirowi J. Cieślińskiemu — radcy prasowemu UGM. Wszyscy ludzie, których wymieniłem, kochają Bałtyk, umieją o nim mówić i dzielić się swoimi przemyśleniami.

R. G. ■

Listy

Słownik działaczy społecznego ruchu muzycznego

Ludowy Instytut Muzyczny przyjął do wykonania całokształt prac nad publikacją pt.: „Słownik działaczy społecznego ruchu muzycznego". Powołano zespół redakcyjny, któremu przewodniczy prof. Józef K. Lasocki (AM Łódź).

Oczywista potrzeba opracowania „Słownika" zwalnia nas od konieczności jej uzasadniania. Wystarczy powiedzieć, że narodowa kultura muzyczna rozwija się nie tylko dzięki pracy profesjonalnych instytucji państwowych, lecz w znacznej mierze do jej rozwoju przyczyniają się wielostronne działania podejmowane na płaszczyźnie szeroko pojętego społecznego ruchu muzycznego. Zaś ruch społeczny — jak wiadomo — efektywność swoich dokonań opiera na poczynaniach ludzi pełnych poświęcenia i oddanych sprawie, słowem — na działaczach społecznych. Ich sylwetki, pracę, trud osiągnięcia i formy działania zostaną udokumentowane w tej publikacji.

„Słownik" zawierać będzie dane o ludziach działających po zakończeniu II wojny światowej przyjmując, iż określenie „działacz społeczny" oznacza osobę, która: 1. rozwija (rozwijała) działalność w nurcie społecznego ruchu muzycznego, 2. legitymuje się konkretnym sprawdzalnym i znanym w środowisku dorobkiem organizacyjnym lub artystycznym (albo obu łącznie). Nie jest istotne czy działalność taka jest (była) lub nie jest wynagradzana ponieważ za kryterium przynależności do grona działaczy społecznych przyjmujemy świadome celowe i zaangażowane działanie w tym ruchu dla dobra i rozwoju kultury muzycznej.

Ankiety personalne rozesłano do wszystkich ogólnopolskich, regionalnych i lokalnych towarzystw muzycznych, instytucji i wielu działaczy dobrze zorientowanych w działalności ruchu społecznego na określonym obszarze kraju. Mimo iż ekspedycje ankiety rozpoczęto dopiero pod koniec grudnia 1982 r., już napływają pierwsze, wypełnione egzemplarze danych personalnych. Spodziewamy się, że prace redakcyjne nad „Słownikiem" zostaną sfinalizowane z końcem roku 1985.

Przy okazji informujemy, iż „Słownik działaczy" stanowić będzie jedną lecz nie jedyną publikację dotyczącą ruchu społecznego. Niemal równolegle, tzn. jeszcze w br., rozpoczną się prace nad „Słownikiem towarzystw muzycznych". W okresie 8—10 lat przewidujemy wydanie monografii całego społecznego ruchu muzycznego w Polsce, obejmującej lata 1944—1984.

Autorzy ankiet o osobach nieżyjących i osobach trzecich będą honorowani wg. obowiązujących stawek.

Wszelką korespondencję w tej sprawie należy kierować pod adresem LIM ul. Moniuszki 11, 90—101 Łódź, z dopiskiem „Słownik działaczy".

Na Chojnach...

Zastanawiam się nieraz jak daleko i głęboko sięgają korzenie ogólnej niemożności, bezradności, braku operatywności w poszczególnych dziedzinach naszego życia społecznego.

Wiele cennych inicjatyw, wypływających oddolnie zostaje zniwelowanych, zaprzepaszczonych w gąszczu nieżyciowych przepisów, planów, uzgodnień na szczeblu odgórnym bez rozeznania właściwych potrzeb danego osiedla, jego mieszkańców. Wypływają one na każdym niemal zebraniu komitetów domowych, osiedlowych, rady osiedla. W ślad za tym idą petycje pisemne, ustne, zbierane są niezliczone ilości podpisów mieszkańców, które trafiają do kompetentnych i miarodajnych czynników: Wydziału Handlu, PSS „Społem" czy MPK. Głową o mur.

Konkretne przykłady, wzięte z codziennego niełatwego życia. Likwiduje się sklepy spożywcze bez porozumienia z mieszkańcami, samorządem, radą osiedla, uszczuplając w ten sposób i tak skromną sieć usług handlowych na nowym osiedlu „Chojny—Zatorze". Otwiera się nowe sklepy tej samej branży przemysłowej np. gospodarstwa domowego (trzeci) przy niezaspokojeniu podstawowych potrzeb w art. spożywcze. Odczuwalne są braki sklepów nabiałowych, warzywno-owocowych, rybnych itp. Planuje się duży pawilon handlowy na końcu osiedla przy ul. Szumnej o ogólnej powierzchni 11002 m kw. Pomieszczenia są przeznaczone na bar mleczny, pocztę, bar kawowy, bibliotekę — czytelnię i inne usługi. To, że lokalizacja tego rodzaju obiektu nie jest zbyt dogodna dla okolicznych mieszkańców osiedla, staje się sprawą drugorzędną. Tak jest zaplanowane i być musi. Warto się jeszcze zastanowić czy rzeczywiście rozpoczynać w ogóle budowę pawilonu w tym właśnie miejscu, czy nie przenieść gdzie indziej w okolice bardziej uczęszczanych miejsc niż koniec osiedla i cmentarz. Taki obiekt aż się prosi o usytuowanie go przy stawach Jana, w okolicy jednej z głównych arterii wylotowych z miasta ul. Rzgowskiej. Za biedni jesteśmy, aby pieniądze na taką inwestycję, pakować w dosłowne błoto. Jaka z tego wyniknie korzyść nie trudno przewidzieć. Żadna. Sprawa następna, dotycząca przebranżowienia niektórych sklepów zgodnie z odczuciem i oczekiwaniami mieszkańców. Wynajduje się przy tym tysiące drobniejszych i większych powodów, przyczyn dla których sklepy nie mogą być przebranżawiane zgodnie z życzeniem okolicznych mieszkańców. A to brakuje terakoty, kafelków, telefonu itp.

Toczące się rozmowy z MPK na temat komunikacji, nie odnoszą żadnego pożądanego efektu i skutku. Mieszkańcy niczym „śledzie w beczce" wciskają się do przepełnionych tramwajów w godzinach szczytu a przedstawiciele komunikacji bezradnie rozkładają ręce. Nic nie poradzimy. Można i tak. W końcu być może na szczeblu prezydenta m. Łodzi uda się rozwiązać ten nabrzmiały problem, lecz czy tak być powinno? Dlaczego stwarzamy i dopuszczamy do takich i tym podobnych sytuacji? Kilkakrotne monity administracji osiedla odnośnie pojemników na śmieci, pergoli, gazonierzy pozostają głosem wołającego na puszczy. Wiatr huta roznosząc śmieci po całym naszym osiedlu a decydenci śpią snem sprawiedliwych. Na 50 bl. mieszkalnych aż w 44 są uszkodzone szyby w drzwiach wejściowych, kradzieże wzmacniaczy do anten zbiorczych, dewastacja węzłów cieplnych, okradanie komórek. To wszystko jest wprost przerażające. Głowa pęka, ręce opadają na zakończenie mówi kier. admin. „Kurczaki" mgr Chmiel.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI (Łódź)

■

Dokończenie ze strony 1

wewnętrzne jak: inflacja, bezrobocie, finanse i gospodarka.

Sprawy bezpieczeństwa. Obydwie strony, tj. CDU/CSU i SPD są całkowicie zgodne co do tego, że bezpieczeństwo Republiki Federalnej zależne jest od współpracy z partnerami atlantyckimi. Różnią się natomiast programy bloku chadeckiego i socjaldemokracji, jeśli chodzi o kierunki rozbrojenia.

Stanowsko CDU/CSU w najistotniejszej dla Europy sprawie — rozmieszczenia nowych amerykańskich rakiet średniego zasięgu, jest jednoznaczne: blok ten całkowicie popiera amerykańską „opcję zerową". „W chwili gdy nieustępliwość rządu amerykańskiego i niemieckiego pozwala mieć nadzieję na osiągnięcie w Genewie jakichś rezultatów, SPD odchodząc od dwuczłonowej uchwały zaprzepaszcza zachodnie pozycje negocjacyjne i zagraża naszemu bezpieczeństwu" — stwierdza się w programie wyborczym CDU/CSU.

Program SPD kładzie nacisk na rozwiązania kompromisowe. Zdaniem tej partii prawicowa koalicja rządząca w Bonn nie służy ani interesom niemieckim, ani amerykańskim, jeśli budzi wrażenie, że rząd USA może być pewien aprobaty RFN w sprawie swej pozycji wyjściowej na rokowania genewskie. W ten sposób jedynie popiera się amerykańskie żądania „opcji zerowej". „My, socjaldemokraci, podejmiemy jesienią 1983 r. decyzje w sprawie ewentualnego stacjonowania nowych rakiet" — głosi program.

W toku kampanii przedwyborczej wśród działaczy SPD pogłębia się krytyczny stosunek do „opcji zero", w porównaniu do stanowiska zajętego na ostatnim zjeździe w Dortmundzie. Zapewne wpływ na to mają antyrakietowe nastroje w RFN. Równocześnie trzeba podkreślić, że — mimo oficjalnej jedności poglądów — wielu polityków chadeckich nie wierzy w korzyści z forsowania reaganowskiego wariantu „zero". Sam Franz Josef Strauss uważa tę opcję za „prawie iluzję".

Stosunek wobec krajów Europy Wschodniej. SPD, która doprowadziła do podpisania trzech posiadających duże znaczenie dla odprężenia w Europie układów — z ZSRR, Polską i NRD, opowiada się za „formułą kontynuacji". Tymczasem rządząca koalicja w Bonn poczęła odgrzewać rewizjonistyczne programy: nawrót do starych doktryn nie jest spowodowany tylko rozpoczęciem kampanii wyborczej, lecz wynika z niezmiennej postawy kierownictwa CDU/CSU.

Wyrażając chęć utrzymywania z krajami socjalistycznymi stosunków pokojowo-sąsiedzkich, CDU/CSU stwierdza, że „ta polityka nigdy nie może oznaczać uznania „bezprawia". Rzecz jasna to „bezprawie" odnosi się do realiów polityczno-terytorialnych. Z tych też względów prawica RFN głosi, że „...problem niemiecki trzeba utrzymywać nie tylko teoretycznie otwarty, lecz aktywnie występować na rzecz niemieckiego prawa do jedności".

Rewizjonistyczne wystąpienie bońskiego min. spraw wewnętrznych F. Zimmermanna kwestionujące obecne granice w Europie, w tym polską na Odrze i Nysie Łużyckiej, po raz pierwszy od szeregu lat wzbudziły w RFN szeroką dyskusję. Tym jednak razem wiele wpływowych osobistości życia politycznego w RFN odnosi się krytycznie do naruszania przez chadecję litery ducha układów podpisanych z Polską.

Problem bezrobocia. Tak CDU/CSU jak i SPD za kluczowy problem wewnętrzny uznały sprawę ograniczenia bezrobocia. Blok chadecki zapowiada, że stworzy podatkowe przesłanki, by przedsiębiorstwa mogły wyposażyć się we własny kapitał niezbędny do rozwoju inwestycji, a także przewiduje inne udogodnienia sprzyjające wzrostowi zatrudnienia. Zaś SPD domaga się międzynarodowego „pakietu zatrudnienia", opracowanego przez większe państwa uprzemysłowione, tak aby można było osiągnąć bardziej ekspansywną politykę gospodarczą i uzgodnić zmniejszenie stopy procentowej na szczeblu międzynarodowym. Ponadto SPD domaga się, aby w ciągu trzech lat dokonano inwestycji na sumę 40 miliardów marek.

Polityka socjalna. W tej dziedzinie istnieje dość wyraźne zróżnicowanie między stanowiskiem SPD a chrześcijańską demokracją. Unia chadecka jest za ograniczeniami w polityce socjalnej i dała już tego dowody, dokonując m. in. radykalnych cięć w sferze zasiłków pieniężnych dla studentów i uczniów (wywołało to silny protest zwłaszcza ze strony młodzieży robotniczej). SPD natomiast chciałaby kontynuować „funkcje opiekuńcze" państwa. Ponadto partia ta zamierza, poprzez tworzenie tzw. mienia pracowniczego, zapewnić światu pracy udział w wyprodukowanych przez siebie dobrach.

Wymieniając główne problemy kampanii przedwyborczej, w których ujawniają się różnice stanowisk, trzeba jednak powiedzieć, że pole na którym dochodzi do kontrowersji jest ogólnie bardzo ograniczone. Żadna bowiem z głównych partii nie podnosi kwestii modelowych w sferze stosunków społecznych czy też nie występuje z jakąś nową propozycją w kwestii zatrudnienia.

Unia chrześcijańsko-demokratyczna, która nie chce przerzucania ciężaru kryzysu na najbogatszą część społeczeństwa zachodnioniemieckiego, jeszcze w grudniu ub. roku uchwaliła ustawę gwarantującą zwrot osobom wysoko zarabiającym zaciągniętej od nich tzw. przymusowej pożyczki. Dopiero pod presją opozycji związków zawodowych, które uważają, że bogaci muszą ponosić większy ciężar kryzysu, chadecja postanowiła tę pożyczkę przekształcić w podatek. Ba, chadecja, która w ubiegłych latach blokowała socjaldemokratyczne plany podwyższenia podatku od wartości dodanej, teraz, pod presją opozycji, sama podwyższyła ten podatek od obrotów.

W Bonn przed wyborami

Wobec dominującej pozycji dwu partii w RFN, rola programów wyborczych małych partii posiada, siłą rzeczy, niewielkie znaczenie. W programie FDP za najistotniejsze można uznać dążność do rozwoju drobnych i średnich przedsiębiorstw, które by poprawiły sytuację w zatrudnieniu. Duże dyskusje natomiast wywołują założenia przedwyborcze partii tzw. zielonych. Lekceważenie, z jakim przez długi czas odnoszono się do tych „utopistów" czy „ostrzegaczy" ustąpiło poważnym rozważaniom na temat ich szans na wejście do Bundestagu. Ta zmiana stosunku do „zielonych" jest konsekwencją sukcesów partii w wyborach do parlamentów krajowych, a zwłaszcza sensacyjnego triumfu w Hesji, gdzie zdobyli 8 proc. głosów i 9 mandatów.

Za swe najważniejsze zadania w Bundestagu „zieloni" uznają niedopuszczenie do wyposażenia NATO w rakiety Pershing-2 i pociski Cruisse, wstrzymanie programu energetyki jądrowej, natychmiastowe unieruchomienie wszystkich siłowni jądrowych, podjęcie kroków przeciwko umieraniu lasów, a w dziedzinie gospodarczej — odejście od koncepcji wzrostu gospodarczego, ograniczenie własności prywatnej i ustanowienie 35-godzinnego tygodnia pracy przy pełnym wynagrodzeniu dla mało- i średnio zarabiających.

Po latach dużej stabilizacji politycznej Republika Federalna przeżywa okres, w którym wewnętrzne rozliczenia, spory i ostre kontrowersje, mają zadecydować kto, i ewentualnie z kim, będzie nadawał kierunki rozwojowi państwa. Sprawa ta ma wielkie znaczenie nie tylko dla społeczeństwa zachodnioniemieckiego. RFN jest najsilniejszym krajem europejskim i z tej racji w poważnym stopniu wpływa na stanowisko sojuszu atlantyckiego w ważnych kwestiach świata. Kto w to wątpi może się przekonać choćby na podstawie oficjalnych wypowiedzi w Stanach Zjednoczonych. Obawy, iż ponowne odzyskanie władzy przez SPD mogłoby doprowadzić do wstrzymania rozmieszczenia rakiet średniego zasięgu w Europie, w Waszyngtonie przekształcają się niemal w mistyczny strach.

Patrząc realnie na szanse wszystkich czterech liczących się w wyborach partii, należy uwzględniać sześć możliwych wariantów, jako rezultatów wyborów.

Wariant pierwszy: blok CDU/CSU zdobędzie absolutną większość i samodzielnie będzie sprawował władzę w Bonn. Sondaże zaprzeczają jednak takim założeniom: popularność chadecji spadła z 52 proc. przed kilkoma miesiącami do 48 proc. Komentatorzy w Bonn twierdzą, że Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna znajduje się obecnie w takiej sytuacji, w jakiej po 13 latach musiała oddać władze SPD. Franz Josef Strauss jakby chcąc zrzucić z siebie odpowiedzialność za wyniki marcowych wyborów twierdzi, że od samego początku był przeciwny obecnemu ich terminowi.

Wariant drugi: zdecydowane zwycięstwo SPD i przejęcie steru władzy przez tę jedną partię. Program SPD uchwalony w Dortmundzie i wystąpienia kandydata na kanclerza Hansa Jochena Vogla w zasadniczej części nie proponują jakichś nowych konstruktywnych rozwiązań, które dawałyby pewność odzyskania władzy i to przy przeważającym poparciu. Porażka chadecji w Hamburgu, jak się twierdzi, w porę ją ostrzegła przed niepopularnością niektórych posunięć gospodarczych i finansowych, a przez to skłoniła do bardziej odpowiadających sytuacji posunięć.

Wariant trzeci: obydwie partie nie zdobędą większości głosów pozwalającej na samodzielne utworzenie rządu. W takim przypadku byłby to prawdziwy pat.

Wariant czwarty: wejście do Bundestagu „zielonych", którzy wyrażają chęć przyłączenia się do koalicji SPD, bądź deklarują wsparcie dla mniejszościowego rządu socjaldemokratów. Jeśli chodzi o warunki utworzenia koalicji z SPD, to kandydat na kanclerza Hans Jochen Vogel oświadczył, że jego partia nie podejmie żadnych wiążących ją zobowiązań wobec „zielonych".

Wariant piąty: obok „zielonych" wchodzi do Bundestagu również FDP. Możliwe byłoby więc kontynuowanie koalicji CDU/CSU — FDP.

Wariant szósty: możliwość utworzenia wielkiej koalicji CSU/CDU — SPD i bardzo słaba opozycja w postaci partii tzw. zielonych.

Tym razem w wyborach wiele może zależeć od liczby głosów oddanych na małe partie. SPD, jak się twierdzi, skłania się do współpracy z „zielonymi". Sama kandydatura Vogla na kanclerza, który — w przeciwieństwie do Schmidta — cieszy się poparciem „ekologów", była jakby obliczona na wariant współpracy z nimi.

Zagadkowa wydaje się sytuacja FDP. Wielu ekspertów twierdzi, że w tegorocznych wyborach może powtórzyć się sytuacja z 1980 r., kiedy to spora część obywateli RFN głosowała na tę partię tylko dlatego, że chciała zamknąć drogę do Bonn Franzowi Josefowi Straussowi. Właśnie i tym razem FDP stanowczo przeciwstawia się udziałowi w rządach tego skrajnie prawicowego polityka.

Im bliżej wyborów tym bardziej zaostrza się kampania wyborcza w RFN, kampania wyjątkowo obfitująca w znaki zapytania. Jeśli w czymś rzeczywiście zgadzają się specjaliści od sondaży, przewidywań i prognoz, to głównie w tym, że pod względem frekwencji może paść w tych wyborach absolutny rekord.

HENRYK SROCZYŃSKI

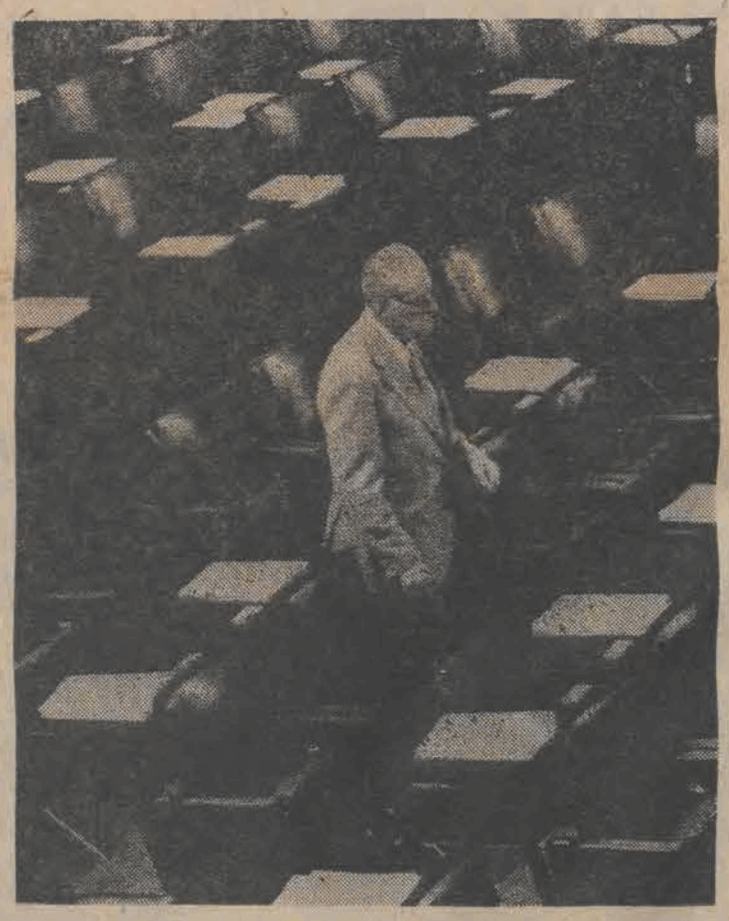

Czy prezydent poszedł nam na rękę?

Stanisław Głąbiński, dziennikarz PAP został wydalony ze Stanów, w konsekwencji cofnięcia akredytacji dla pracowniczki UPI w Polsce, o czym nasza prasa już donosiła. W KMPiK w Warszawie wystąpił on po raz pierwszy od powrotu na otwartym spotkaniu.

St Głąbiński przez 4 lata był akredytowany przy ONZ, a przez ostatnie 6 sprawował funkcję korespondenta przy Białym Domu i Departamencie Stanu w Waszyngtonie. W czasie dzielenia się wrażeniami ze swojej pracy wielokrotnie podkreślał, że wydarzenia w Polsce zna jedynie przez pryzmat amerykańskich doniesień i opinii.

Stany Zjednoczone opuszczał bez złych uczuć do Ameryki i Amerykanów. Natomiast o prezydencie Ronaldzie Reaganie wyraża się niepochlebnie. W jego ocenie jest to człowiek o niezbyt dużej inteligencji i erudycji, co reporterzy dostrzegają łatwo w czasie konferencji prasowych w Białym Domu. Tam, dobrego polityka poznaje się po błyskotliwych odpowiedziach Prezydent, który ma już 72 lata, nie jest ideałem żywotności. Ma przecież poważne kłopoty z pamięcią i wzrokiem.. (Ktoś z sali zaraz dodał, że prezydent ma 250 doradców: naukowców i intelektualistów, którzy zastępują mu oczy i uszy). W zestawieniu z błyskotliwym prezydentem Jimim Carterem wypada on dość blado. Obecny przywódca słynie natomiast ze świetnych przemówień wygłaszanych z idealną dykcją. Jest to przecież zawodowy aktor.

Jego świadomość polityczna opiera się na wielkim konserwatyzmie, na niechęci do Europy Wschodniej a w szczególności do ZSRR. Poglądy swe ugruntował jeszcze w czasie zimnej wojny. Teraz — zupełnie jak w latach czterdziestych i pięćdziesiątych — całe społeczeństwo amerykańskie żyje w psychozie zagrożenia radziecką techniką wojskową. Po wydarzeniach w PRL w 1980 r. odczuwano to szczególnie. Obawiano się dosłownie każdego dnia interwencji w Polsce. Psychoza sięgnęła zenitu po wprowadzeniu stanu wojennego. Odprężenie przyszło dopiero w kilka tygodni później. Cofnięto ogłoszony wcześniej stan gotowości bojowej dla armii.

Polacy w USA nie odgrywają żadnej roli politycznej — mówił dalej St. Głąbiński. — Popierają oni zasadniczo każde posunięcie administracji, łącznie z cofnięciem klauzuli najwyższego uprzywilejowania dla Polski. Znacznie prężniejsze jest kilkusettysięczne środowisko uchodźców z Wietnamu, którzy pod względem politycznym są doskonale zorganizowani. Duży wpływ na rządy mają także Włosi i Niemcy. W rzeczywistości Polonia, to w oczach Amerykanów szara masa ludzi, którzy nie potrafią się wzbogacić. Trzeba dodać, że Polonusi żyją na przeciętnej stopie. Modne są dowcipy o Polakach — złośliwe i trywialne, które mówią już za siebie. W sklepach z souvenirami można spotkać np. „polskie" dzbanuszki z uszkami od wewnątrz.

Na spotkaniu mówiono też o Spasowskim i o Rurarzu. Pierwszego oceniano w USA dość wysoko. Mówiono o nim jako o pierwszym ambasadorze „solidarnościowym", choć na początku rzetelnych informacji o nowych związkach było znikomo. P. Spasowska jest osobą niezwykle religijną. Sama ponoć brała udział w demonstracjach pod ambasadą PRL. Ambasador natomiast przemawiał do pracowników polskiej służby dyplomatycznej już po spakowaniu bagaży. Wzywał ich do opuszczenia stanowisk. Po przyjęciu w Białym Domu Spasowscy zniknęli. Krążą jedynie plotki o przypuszczalnych miejscach ich pobytu.

Rurarza ocenia się gorzej. Mówi się o nim, że pcha się wszędzie tam, gdzie patrzą nań miliony. W kongresie był „dyspozycyjnym Polakiem", którego można zawsze wykorzystać jako „autorytet" w sprawach Polski.

Decyzją administracji USA — powiedział St. Głąbiński — zlikwidowano lotnicze połączenie pomiędzy Warszawą a Nowym Jorkiem. O braku logiki tego posunięcia niechaj świadczy fakt, że bilety na tę trasę sprzedawano za złotówki. LOT dokładał rocznie 10 mln. do utrzymania tej linii. Do USA Polacy latają teraz via Montreal. St. Głąbiński pobił rekord na tej trasie — 6 dni.

Wokół bezprecedensowego w USA cofnięcia akredytacji dla korespondenta PAP u rozszalała się ogromna kampania propagandowa, którą prędko umiędzynarodowiono. Prośba o wywiad nadeszła nawet z Pekinu. W Waszyngtonie zlikwidowano jednoosobowe biuro PAP. Tymczasem po wydaleniu amerykańskiej korespondentki, w Polsce nadal działa biuro UPI.

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Président Reagan

Sprawa gen. Włodzimierza Zagórskiego (3)

Wilno, Warszawa i początek zagadki

WŁODZIMIERZ PITKIEWICZ

Po aresztowaniu w maju 1926 roku gen. Włodzimierza Ostoji-Zagórskiego przewieziono go do Wilna i osadzono w areszcie śledczym na Antokolu, razem z innymi aresztowanymi generałami. Tych zresztą zwolniono znacznie wcześniej. Na Antokolu pozostał gen. Włodzimierz Zagórski. Początkowo traktowano go tam bardzo surowo.

„W wielkiej tajemnicy przed sądownictwem okręgu korpusu — napisał we wspomnieniach gen. Leon Berbecki — *szef żandarmerii polowej (mój podkomendny) pułkownik Jur-Gorzechowski i generał Dąb-Biernacki, dowódca pierwszej dywizji Legionów, wprowadzili bezprawnie taki „regulamin" dla uwięzionych generałów, że graniczył on z torturami moralnymi, a nawet fizycznymi. Generałowie byli głodzeni, odmawiano im wydawania książek, pisania listów lub wnoszenia zażaleń do władz wyższych.. Celowo utrzymywano w celach niską temperaturę i stosowano szereg innych wyrafinowanych metod, wzorowanych na carskiej ochranie".*

Doniesiono o tym wszystkim gen. Leonowi Berbeckiemu do Grodna i ten przy pierwszej bytności w Wilnie zażądał wyjaśnień. Okazało się, że obaj wojskowi mieli takie polecenia z Warszawy. Kiedy gen. Leon Berbecki nakazał im zmienić tryb postępowania wobec więźniów, odmówili. Wówczas gen. L. Berbecki zawiesił ich w czynnościach i wyznaczył na ich miejsce inne osoby. Od tej pory zmienił się stosunek do więźniów.

Dowiedziano się o tym wszystkim w Belwederze w Warszawie i Józef Piłsudski nie był zachwycony. Toteż przy pierwszej bytności w Grodnie powiedział do generała Leona Berbeckiego:

— *„Nie mogliście jakiejś innej kary nałożyć na Biernackiego i Gorzechowskiego? Od razu zastosowaliście najwyższą karę?"*

A na to gen. L. Berbecki:

— *„Tak jest panie Marszałku, gdyż niewykonanie rozkazu jest również najwyższym przestępstwem".*

Na skutki nie trzeba było długo czekać. Wkrótce gen. Leona Berbeckiego przeniesiono z dowództwa okręgu korpusu w Grodnie na takie samo stanowisko do Torunia.

Ale położenie więźniów znacznie się poprawiło. Gen. W. Zagórski miał na przykład w celi maszynę do pisania, przyjmował odwiedziny, dostawał książki. Wszyscy byli ciekawi, co gen. Zagórski pisze na tej maszynie. Ten szczegół warto zapamiętać!

3 sierpnia 1927 roku Józef Piłsudski powrócił z Wilna do Warszawy. 4 sierpnia

KPT. LUCJAN MIŁADOWSKI OTRZYMAŁ ROZKAZ

wyjazdu do Wilna i przywiezienia do Warszawy gen. Włodzimierza Zagórskiego. Kpt. Lucjan Miładowski był oficerem do specjalnych zleceń. Pracował w samodzielnym referacie personalnym Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych. Rozkaz ten otrzymał od płk. Aleksandra Prystora. Ten znów był szefem gabinetu Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, czyli Józefa Piłsudskiego, a także szefem biura personalnego ministra spraw wojskowych, czyli również Józefa Piłsudskiego. Wszystko wskazuje na to — tak przynajmniej sądzi Jerzy Rawicz w książce „Generał Zagórski zaginął..." — że inicjatorem przywiezienia gen. Włodzimierza Zagórskiego do Warszawy był sam Józef Piłsudski. Nikt bowiem inny — działając, jak wszystko wskazuje poprzez płk. Aleksandra Prystora — nie mógł spowodować, aby Wojskowy Sąd Okręgowy w Warszawie nr 1 postanowił 4 sierpnia 1927 roku *„areszt śledczy nad gen. brygady Zagórskim Włodzimierzem uchylić"*. Zresztą w piśmie z 10 sierpnia 1927 roku naczelny prokurator wojskowy gen. Józef Daniec przyznał, że *„nakaz zwolnienia został złożony w Belwederze do rąk płk. Prystora"*.

Proszę zwrócić uwagę — nie wysłany wojskową pocztą do więzienia w Wilnie, do tamtejszej prokuratury wojskowej, ale złożony w Belwederze, aby był dostarczony *„przez wysłanego w tym celu oficera do Wilna"*. Tym oficerem był właśnie kpt. Lucjan Miładowski.

Zeznał on później:

„4.VIII.1927 r. po południu dostałem rozkaz od płk. Prystora udania się do Wilna celem przewiezienia gen. Zagórskiego do Belwederu. Wieczorem tegoż dnia o 23.55 pojechałem do Wilna".

Kpt. L. Miładowski w Wilnie spotkał na ulicy płk. Edmunda Wełdycza — prokuratora przy Wojskowym Sądzie Okręgowym w Wilnie — i oświadczył mu, że przyjechał po gen. Włodzimierza Zagórskiego. Wręczył mu kopertę z nakazem zwolnienia. Obaj oficerowie udali się do biura płk. Edmunda Wełdycza, a stamtąd do Komendy Miasta.

„W Komendzie Miasta — zeznał później płk. Edmund Wełdycz — *w obecności kpt. Miładowskiego powiedziałem mjr. Dworzakowi, że gen. Zagórski ma być przewieziony, że chodzi o zachowanie tajemnicy, że kpt. Miładowski ma z nim jechać, lecz nie powiedziałem dokąd. Mjr Dworzak przyrzekł dać auto, że sam załatwi sprawę biletów bezpośrednio przed odjazdem pociągu i postara się o osobny przedział na dzień 6.VIII.1927 godz. 8.20 (poc. osobowy do Warszawy)."*

Po wyjściu z Komendy Miasta obaj oficerowie umówili się, że kpt. Miładowski przyjdzie następnego dnia rano o godz. 5 (a była to sobota) do mieszkania płk. Edmunda Wełdycza, który mieszka niedaleko hotelu Bristol i radził też kapitanowi w tym hotelu wziąć pokój.

Następnego dnia kpt Lucjan Miładowski zjawił się o 5 rano u płk. Wełdycza, panowie wypili herbatę i udali się do więzienia.

„Tu zawołałem komendanta więzienia kpt. Tymańskiego — relacjonuje dalej płk. Edmund Wełdycz — *kazałem zbudzić gen. Zagórskiego i powiedzieć mu, że ma być przewieziony z Wilna, by się przygotował do podróży w cywilnym ubraniu, a rzeczy niepotrzebne może zostawić i te pośle mu się dodatkowo".*

Kpt. Zygmunt Tymański udał się do gen. Zagórskiego, oświadczył mu, że ma wyjechać i uzyskał na to jego zgodę. Kiedy gen. Włodzimierz Zagórski przygotowywał się do wyjazdu, obaj oficerowie udali się na kawę. Po powrocie zastali już w kancelarii generała. Kapitan Lucjan Miładowski otrzymał depozyt generała — 300 zł i następnie udali się na dworzec, gdzie był już mjr Stanisław Dworzak z biletami i z zarezerwowanym przedziałem w pociągu do Warszawy.

„Nie mogąc osobiście być na dworcu — powiedział płk. Edmund Wełdycz — *posłałem chor. Zarębę z tut. prokuratury, by zobaczył, czy obwiniony odjechał".*

Kiedy czyta się te zeznania, rodzi się nieodparcie jedno pytanie: po co było to wszystko? Przecież gen. Włodzimierz Ostoja-Zagórski został zwolniony z aresztu śledczego. Czy nie prościej było wręczyć mu zwolnienie i kazać stawić się za kilka dni w Belwederze do raportu u marszałka Józefa Piłsudskiego?

Ale śledźmy dalej przebieg wypadków.

PODRÓŻ DO WARSZAWY

przebiegła spokojnie. W Białymstoku gen. Zagórski zjadł w przedziale obiad, który mu przyniesiono z dworcowej restauracji. W Białymstoku też służbę w pociągu zdążającym do Warszawy objął konduktor PKP Roman Szymkowski. Oto, co zaobserwował:

„W wagonie I klasy był jeden przedział zarezerwowany dla gen. Burhardt-Bukackiego. Tak przynajmniej było napisane. W tym przedziale siedział pan cywilny i zdziwiło mnie, że nie był to gen. Burhardt-Bukacki. Cywilny przypominał mi gen. Zagórskiego, którego znałem z widzenia, i z fotografii. Obok siedzi i major artylerii w ciemnozielonych wyłogach, więcej niż średniego wzrostu, silnie zbudowany, w wieku ok. 40 lat, łysawy, ciemny blondyn, o twarzy ogolonej. W drugim przedziale I kl. siedział kapitan 21 pp, który później wręczył mi dwa bilety, tj. swój i gen. Zagórskiego. (...) Drzwi przedziału gen. Zagórskiego, z którym siedział wymieniony major, były przez cały czas postoju w Białymstoku i dalszej podróży zamknięte, zaś drzwi do przedziału kapitana otwarte. Na każdej stacji kapitan wychodził na korytarz i stawał przy drzwiach zewnętrznych wagonu tak, że zawsze miał na oku cały korytarz, a tym samym wejście do przedziału gen. Zagórskiego".

Czy w taki sposób towarzyszy się w podróży wolnemu człowiekowi?

Pociąg z Wilna przyjechał do Warszawy o 19.45. Kiedy podjeżdżał do stacji, kpt. Lucjan Miładowski podszedł do okna i wyglądał przez nie jakby kogoś oczekiwał. Zobaczył też

NA PERONIE DWORCA WILEŃSKIEGO

mjr. Zygmunta Wendę — adiutanta Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych — Józefa Piłsudskiego.

„...mniej więcej przy końcu pociągu — zeznał później mjr Zygmunt Wenda — *w oknie wagonu I klasy zobaczyłem stojącego kpt. Miładowskiego. Wszedłem do wagonu i w korytarzu oświadczyłem kpt. Miładowskiemu, że z rozkazu płk. Prystora kpt. Miładowski mu zakomunikować obwinionemu, że obwiniony jest wolny i że się ma zameldować w poniedziałek lub we wtorek do raportu u p. Marszałka, porozumiawszy się ze mną w tych dniach telefonicznie, co do godziny audiencji. W tym czasie, kiedy rozmawiałem z kpt. Miładowskim, nie widziałem obwinionego, gdyż drzwi do przedziału były zamknięte. Widziałem, jak kpt. Miładowski po otrzymaniu ode mnie powyższego zawiadomienia wszedł do jednego przedziału, z którego za chwilę wyszedł gen. Zagórski. Ja zaś w tym momencie stałem na dole przed wagonem i widziałem go dopiero wtedy, gdy już z kpt. Miładowskim stał przed wagonem. Obwiniony zobaczywszy mnie powiedział „mjr. Wenda" wyciągając równocześnie do mnie rękę, na co podszedłem i przywitałem się".*

Mjr Zygmunt Wenda idąc już przez peron obok gen. Włodzimierza Zagórskiego powtórzył mu rozkaz płk. Aleksandra Prystora, na co gen. Zagórski powiedział: — „Dobrze". Rzeczy gen. Zagórskiego zabrał tragarz Aleksander Radzikiewicz, który też dokładnie zapamiętał ich skład i liczebność:

„Rzeczy składały się z następujących sztuk: pled — nieciemny (zresztą nie pamiętam, rodzaj wojskowego koca), maszyna do pisania w futerale blaszanym czarnym, walizka i coś zawinięte w koc. Po oddaniu tego do przechowalni kwit wręczyłem na holu p. generałowi Zagórskiemu".

Generał nie miał czym zapłacić. Wprawdzie kpt. Lucjan Miładowski zwrócił mu już depozyt w wysokości 300 zł, ale generał nie miał drobnych. Ofiarował się zapłacić mjr Zygmunt Wenda. Generał zgodził się i polecił dać tragarzowi 2 złote.

Można sobie wyobrazić, że gen. Włodzimierz Ostoja-Zagórski znalazłszy się na dworcu w Warszawie i dowiedziawszy się, że jest wolny, stał przez chwilę oszołomiony, zastanawiając się, co ma dalej ze sobą zrobić. Miał mieszkanie w Warszawie, ale z Pragi trzeba było jakoś dostać się do śródmieścia. Wtedy właśnie mjr Zygmunt Wenda zaproponował, że odwiezie generała do domu, bo dysponuje samochodem.

Zeznaje szeregowy Stefan Werner — pomocnik kierowcy:

„Dnia 6.VIII.1927 r., gdy już było ciemno, a ja byłem w garażu, zawiadomił dyżurny telefonista szer. Kalinowski, szer. Cempla, że ma jechać pod Belweder. Chcąc się przejechać usiadłem obok Cempla, a przed Belweder wyszedł ppłk. Prystor i kazał odwieźć się na Nowy Świat. Na rogu Ordynackiej kazał stanąć. Wysiadając dał rozkaz Cemplowi jechać na Dworzec Wileński po p. mjr Wendę, który miał tam być".

Mjr Zygmunt Wenda przyjechał na Dworzec Wileński taksówką. Szeregowiec Stefan Werner podszedł do niego w holu i zawiadomił, że jest już samochód. Dowiedział się przy okazji, że już dla niego nie będzie miejsca w samochodzie i musi sobie sam poradzić z powrotem.

Ale przed Dworcem Wileńskim było jeszcze jedno auto z oficerami. Oto, co zeznał szeregowiec Mieczysław Cempel.

„Zajeżdżając na Dworzec Wileński zauważyłem stojące auto przed schodkami, od strony pociągów odchodzących, było to auto, nr ew. 24, mające wówczas nr 12518, zmieniający się co 3 dni. Przy kierownicy siedział kapitan, twarzy ani gatunku broni nie zauważyłem, tylko widziałem na naremiennikach 3 gwiazdki. Firanki były spuszczone, więc nie widziałem, czy wewnątrz kto siedział. Pomocnika szofera nie było. Auto to do początku lata prowadził śp. Malinowski Zygmunt, a potem stało do dyspozycji płk. Długoszewskiego".

Auto pochodziło z tego samego garażu wojskowego, co i ford, którym odjechali mjr Zygmunt Wende, kpt. Lucjan Miładowski i gen. Włodzimierz Ostoja-Zagórski. Wedle relacji pasażerów i kierowcy przejechali oni przez most Kierbedzia, a kpt. Lucjan Miładowski wskazywał dalej drogę. Naprzeciw łaźni rzymskich, zwanych też Łaźnią Fajansa, generał wyraził chęć wykąpania się, zatrzymano więc samochód i Włodzimierz Zagórski wysiadł. Od tej pory nikt go już więcej nie widział.

GDZIE ZNIKŁ GENERAŁ

I tu się zaczyna zagadka. Rodzą się pytania i wątpliwości. Prowadzący śledztwo mjr Wilhelm Mazurkiewicz odnalazł ludzi, którzy powinni byli coś zauważyć 6 sierpnia 1927 roku przy zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i Trębackiej. Byli to posterunkowy i kioskarka. Posterunkowy Jan Borkowski, który tego dnia w godzinach od 20 do 24 pełnił w tym miejscu służbę oświadczył, że nie zauważył, *„by w tym miejscu zatrzymało się jakieś auto. Ze względu na to, że jest tu przystanek tramwajowy i autom nie wolno się zatrzymywać — byłbym zwrócił uwagę na każde auto zatrzymujące się na przystanku, czy to cywilne, czy wojskowe".* Podobnie — jak pisze w książce „Tajemnice śledztwa KO-1042/27" Zbigniew Cieślikowski — zeznała kioskarka Maria Wąsowska. A więc, czy rzeczywiście w tym miejscu wysiadł gen. Włodzimierz Zagórski? Jeśli nie — to gdzie wysiadł z auta?

A może w ogóle odjechał z Dworca Wileńskiego zupełnie innym autem? Takich pytań i wątpliwości jest znacznie więcej. Ale o nich i próbach odpowiedzi następnym razem.

WŁODZIMIERZ PITKIEWICZ

PS. Obszernie cytowane przeze mnie protokoły zeznań osób zamieszanych w zniknięcie gen. W. Zagórskiego i świadków zostały opublikowane jako załączniki do książki Zbigniewa Cieślikowskiego „Tajemnice śledztwa KO-1042/27".

Zagórski Włodzimierz, gen. bryg.

25 lat

Na 10-lecie Odgłosów

Na łamach „Odgłosów", już od samego początku, spotkały się dwa środowiska piszące: literaci i dziennikarze. Powiedzmy szczerze — stosunki pomiędzy tymi środowiskami nigdy, i chyba w żadnym mieście Polski, nie były idylliczne. Dlatego cenna wydaje mi się próba integracji literatów i pisarzy w „Odgłosach". Pięcioosobowa redakcja, która dziesięć lat temu wydała pierwszy numer „Odgłosów", składała się z trzech literatów i dwu dziennikarzy. Myślę, że był to skład szczęśliwy. Dzięki temu panowała w piśmie atmosfera sporów, nie kończących się dyskusji, a więc atmosfera będąca zaprzeczeniem spokoju i szczęśliwej stagnacji (która — moim zdaniem — byłaby grobem dla pisma). Spory zaczęły się już w chwili, kiedy trzeba było zdecydować się na tytuł dla czasopisma. Byłem przeciwnikiem: „Odgłosów". Chciałem, aby nazywało się to: „Co słychać?", nasze narodowe zawołanie!, a co za tym idzie marzyłem o tygodniku regionalnym, informacyjnym, typowo łódzkim, o wielkim nakładzie, który zrywałby z tradycjami elitarnych pism literackich, i szukał czytelników we wszystkich, jakże ciekawych, makrośrodowiskach naszego miasta, aby penetrował te środowiska poprzez rzetelną informację, publicystykę i reportaż, a także poprzez poezję i prozę.

Spory o tytuł i profil pisma były tak zaciekłe, tak pochłaniające nasz czas i energię, że kiedy wreszcie przyszło wydać pierwszy numer — zabrakło nam rzeczy najważniejszej: dobrych materiałów. To było zapewne, powodem, że pierwsze numery „Odgłosów" nie przyniosły nam oczekiwanych sukcesów. Ale z tygodnia na tydzień pismo dojrzewało, i dziś, nie bez satysfakcji wspominam szeroko zakrojone akcje podejmujące nierzadko drażliwą problematykę społeczną — piekło kobiet pracujących, kwestię trzeciej zmiany, sprawy modernizacji i mechanizacji życia domowego, zagadnienia przemysłu łódzkiego i nowej polityki mieszkaniowej. Pamiętam, że w otwartym konkursie na wypowiedź czytelników o budownictwie spółdzielczym, które w tamtych czasach stawiało dopiero pierwsze nieśmiałe kroki (powiedzmy: domy) pierwszą nagrodą było... mieszkanie. — Niełatwo przyszło przekonać nam czynniki nadrzędne o stosowności tej nagrody. Niemniej słowa dotrzymaliśmy i po niemałych tarapatach zwycięzca konkursu dostał dwa pokoje w nowym budownictwie. W porę dostrzegliśmy wschodzącą gwiazdę telewizji i wspieraliśmy ją cotygodniową kolumną telewizyjną. Prowadziliśmy kursy języków obcych nim jeszcze „Polityka" wystąpiła z hasłem: „Obywatele, nie jąkać się!".

Rekapitulując: uważam swój pięcioletni staż w „Odgłosach" za pożyteczny i owocny okres w mojej dziennikarskiej biografii.

„Odgłosy" nr 10
10.III.1968 r.

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

Na 15-lecie Odgłosów

Przy narodzinach „Odgłosów" byłem, powiem więcej — pomagałem przy odbieraniu tego, nieco krzykliwego dziecka z rąk „Głosu Robotniczego", ojca dzisiejszego jubilata. Trzeba w tym miejscu wyjaśnić, że przez pewien czas „Odgłosy" egzystowały jako coś w rodzaju niedzielnego dodatku partyjnej gazety i nie miały swojego naczelnego redaktora, choć godzi się w tym miejscu przyznać, że szef „organu" nigdy się do „Odgłosów" nie wtrącał.

Od samego początku, tak to przecież musiało być, szedł spór o koncepcję „Odgłosów", ich model. Pomysłów nie brakowało. Jedni doradzali magazyn. Inni proponowali klasyczne pismo literackie. Trafiali się zwolennicy tygodnika sportowego. Podsuwano także próbę skrzyżowania „Przekroju" z „Trybuną Ludu".

Stanęło ostatecznie w pierwszych pięciu latach na modelu pisma społeczno-kulturalnego, o pochyleniu magazynowym. Formy magazynowe tyczyły głównie spraw kultury. Osobne, ilustrowane kolumny posiadały film i telewizja, gdzie obok poważnych ocen i propozycji, pojawiała się także informacja, a nawet sensacyjka ze snobistycznego świata filmowo-telewizyjnego. Wychodziliśmy z założenia, że szeroka publiczność interesuje się żywo środkami masowego przekazu i filmem, pragnęliśmy wspólnie z czytelnikiem odrzucać ziarno od plewy, co w tych sztukach nie jest również i dziś łatwe.

Interesowała nas, rzecz prosta, literatura. Wielu znanych już dzisiaj poetów i prozaików stawiało w „Odgłosach" pierwsze kroki, obok pisarzy uznanych. Te, regularnie oddawane do rąk czytelnika prezentacje poetów i prozaików, bywały z reguły wzbogacane przez pisarzy felietonami, artykułami i reportażem. Towarzyszyli nam dzielnie dziennikarze, zwłaszcza w reportażu. Próbowaliśmy penetrować rozmaite obszary życia, możliwie szeroko, choć — być może — nie zawsze spotykaliśmy się z uznaniem bezpośrednio dotkniętych. Społecznymi marginesami epatowaliśmy czytelnika stosunkowo rzadziej, interesował nas główny nurt edukacji. Pamiętam, że szczególnie silne namiętności wywołał nasz cykl reportaży, poświęcony młodzieży akademickiej, szczególnie zaś stosunkom, jakie podówczas panowały na osiedlu akademickim przy ulicy Bystrzyckiej. Groziło nam publiczne palenie pisma, do czego wszakże nie doszło.

Dyskusje, wymiana zdań stanowiły istotny komponent „Odgłosów", choć nie zawsze udany. Przypominam sobie zawzięty spór o operę w Łodzi. Bardzo poważni ludzie twierdzili, że jest to nikomu niepotrzebny relikt, po co galwanizować trupa za ciężkie miliony. W dyskusji zwyciężyli zwolennicy opery, a właściwie ona sama zwyciężyła. Z okazji lotu pierwszych kosmonautów dyskutowaliśmy problem podróży kosmicznych, przy czym — proszę sobie wyobrazić — ówczesny prezes łódzkich pisarzy twierdził uporczywie, że człowiek jest raz na zawsze Ziemi przypisany i nigdy do Księżyca nie doleci. Interesowały nas sprawy geografii kulturalnej Łodzi, jej tradycje, a i takie niebagatelne sprawy, jak zaopatrzenie miasta.

Nie uciekaliśmy od uśmiechu, drukowaliśmy również satyrę, fraszki, a przede wszystkim cykl przedstawiający najostrzejsze ołówki świata, prezentujący satyrę rysunkową wszystkich kontynentów.

Nakładowo stały „Odgłosy" dobrze, przekraczaliśmy z reguły 20 tysięcy.

Na zakończenie jeszcze kilka słów o atmosferze redakcyjnej. Stają mi przed oczyma, żyjący zresztą, współpracownicy. Wypełniali po brzegi chudziutkie pokoiki redakcji, kłócili się nieprawdopodobnie, pisali nie zawsze przyzwoite recenzje z książek na ścianie, pewnie dlatego, że mało mieliśmy miejsca w piśmie. Chyba z tego samego względu redagowali za darmo niezwykłe gazetki ścienne. Ale nie o to chodzi. Zawsze mnie przerażały puste redakcje, poważni redaktorzy — mumie pryncypialne, ustawiacze i modelatorzy. Bractwo kipiało pomysłami, sypało tematami jak z rękawa, numery rodziły się często w locie jako rezultat nieustannej dyskusji, co wszakże nie zawsze można było uznać za zaletę. Trafiały się bowiem materiały przypadkowe, nie przemyślane do końca, niekiedy błahe, a więc niepotrzebne, obniżające poziom pisma. Broniłbym jednak owej atmosfery, którą tak miło po latach wspominać, sądzę bowiem, że redakcja tygodnika powinna być miejscem zdrowego fermentu intelektualnego.

„Odgłosy" nr 12, 25.III.1973 r.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

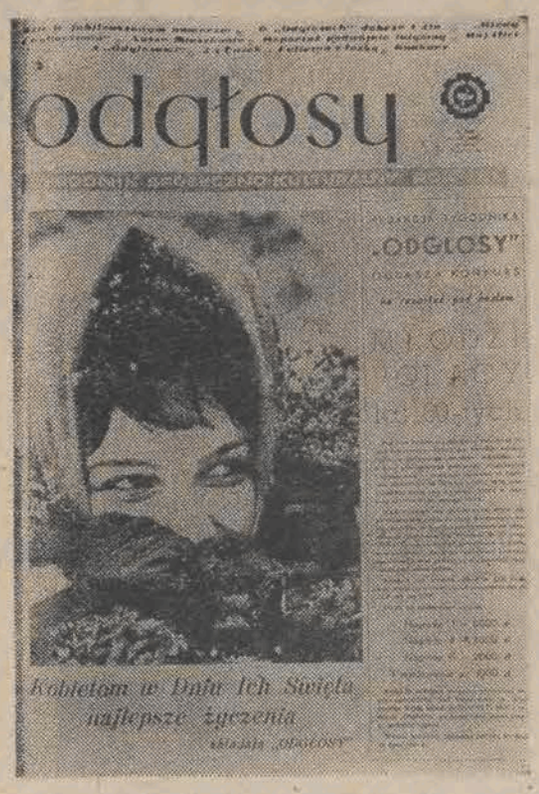

Raport Jubilata

Wcale nie twierdzę, że „Odgłosy" są najlepszym tygodnikiem w kraju, aczkolwiek ich dwudziestopięcioletnia historia, niezależnie od wzlotów i upadków, często roiła się od meteorów i gwiazd. Kiedy zaczynałem z tym pismem współpracę, a było to już tak dawno, że wstyd ogarnia mnie na myśl, jaki to już jestem stary, niejednokrotnie mijałem się w drzwiach ze Stefanem Bratkowskim i Jerzym Urbanem, którzy wówczas, jak sądzę, byli serdecznymi przyjaciółmi (klasyczny przykład podwójnego błędu młodości). Kłaniałem się pokornie wszystkim pięciu etatowym redaktorom, to znaczy: Wiesławowi Jażdżyńskiemu, który był pierwszym szefem redakcji oraz Bernardowi Sztajnertowi, Zbigniewowi Nienackiemu, Tadeuszowi Papierowi i Jarkowi Markowi Rymkiewiczowi. Z nabożnym podziwem przyglądałem się Andrzejowi Brychtowi, który hojnie obdarzał „Odgłosy" swoim żywiołowym talentem, zdobywając sobie sympatię czytelników i zaufanie kierownictwa tak, że na swoje uporczywe prośby otrzymał wreszcie od redakcji rower, którym miał jeździć w teren i zdobywać materiały do swoich artykułów. U-ha-ha! Nie doszło do tego jednakże, gdyż jeszcze tego samego dnia spotkał się z redaktorem Karolem Badziakiem, który nosił wówczas na przegubie zegarek radziecki średniej wielkości. Szybka decyzja obydwu panów sprawiła, że doszło do sławetnej wymiany walorów — zegarek trafił nieodwołalnie na przegub obywatela Brychta, zaś obywatel Badziak wsiadł na rower i wyjechał z miasta w celu odwiedzenia rodziców zamieszkujących na rubieżach województwa łódzkiego. Badziak zawsze był dobrym synem, nie dane mu jednak było spotkać się wtedy z familią, gdyż narzucił zbyt szybkie tempo i po kilkunastu kilometrach zawziętego pedałowania zapiekł mu się w mięśniach kwas mlekowy.

Za kadencji Wacława Bilińskiego, drugiego szefa redakcji, byłem świadkiem innej sławetnej transakcji. Otóż zjawił się nagle w gmachu przy Piotrkowskiej 96 Marek Nowakowski, pilotowany, a jakże, przez Andrzeja Brychta. Kiedy weszli do „Odgłosów", Biliński, z brychtowego poduszczenia, zaczął zamieniać się z Nowakowskim na pióra. Były to parkery — jeden czarny, ebonitowy, drugi z białego metalu. Sam pisałem wówczas chińskim kosturem, którego jedyną zaletą było to, iż przypominał w czarnej wersji parkera, toteż w ogólnym zamieszaniu próbowałem puścić go w obieg, chowając do kieszeni amerykański synonim, co zostało, niestety, zauważone i jakkolwiek wszyscy trzej panowie docenili moje nieśmiałe i praktyczne poczucie humoru, parker został mi odebrany.

Wacław Biliński podtrzymał istniejące już dobre stosunki z reporterską czołówką, a nawet zdołał je rozwinąć. W ogóle miał do reportażu słabość. Ściągnął do „Odgłosów" Konrada Frejdlicha i jeszcze jednego faceta o nazwisku niebezpiecznie podobnym do mojego; drukował dość często materiały Janusza Roszki, Stefana Kozickiego, Andrzeja Berkowicza i Wojciecha Giełżyńskiego, którzy, nie związani na stałe z Łodzią, pisali o jej sprawach tak odważnie, iż trzeba się było później tu i ówdzie srodze za nich tłumaczyć.

Konrad Frejdlich, student prawa naówczas, odbył nieco wcześniej służbę wojskową i słynął w „Odgłosach" jako kuzyn dobrego wojaka Szwejka. Opowiadając jedną z angdot, łączącą się z tą świetlaną postacią, Biliński płakał dosłownie ze śmiechu.

Otóż, powołany do służby poeta zjawił się w jednostce z trzydniowym opóźnieniem, a szedł, że tak powiem, niefrasobliwie. Szmer się podniósł: — Frejdlichy idą! — A on, jak to Konrad, wiecie... płaszcz rozpięty, w jednej ręce tobół, druga z kieszeni, papieros w zębach. Oficer dyżurny wprost kipiał na ten widok ze wściekłości i już miał bluznąć, ale Frejdlich wyprzedził go trochę.

— Melduję posłusznie — powiedział — że jestem poetą i należy mi się osobny pokój do pracy.

Dopiero teraz włączył się oficer.

— Marciniak! — wrzasnął do jakiegoś kaprala czy sierżanta. — Weźcie-no mi tego sk... na tydzień do paki! Nie dość, że się spóźnił, to jeszcze przyjechał pijany!

Po Wacławie Bilińskim ster rządów dostał się w ręce Jana Koprowskiego, który na wszelkie możliwe sposoby wcielał w życie leninowskie hasło: Kochajmy człowieka. Dobrze się żyło redaktorom, nie narzekali również grafomani. Pan Jan uśmiechał się pod wąsem. Czuł, rzecz jasna, doskonale dziennikarstwo i literaturę.

— Żurnalista — mawiał — to jest człowiek, który lepiej napisze o tym, na czym kto inny lepiej się zna od niego.

Tym niemniej, mając miękkie serce, drukował często teksty wychodzone i wypłakane przez autorów. Nakazywał je wprawdzie poprawiać i adiustować, sam nie żałował pióra, aby przydać im trochę blasku, ostateczne efekty bywały jednak mierne.

Nie ma nic gorszego niż rozzuchwalić grafomana. Taki gość zatraca momentalnie wszelkie poczucie rzeczywistości, wyzbywa się skromności i kompleksów, zaczyna łoić żonę i znęcać się nad potomstwem, że to niby okazują mu zbyt mało szacunku, chociaż nagroda Nobla tuż, tuż.

Żaden z naczelnych redaktorów pisma nie otrzymywał tylu listów od rozmaitych poetów, prozaików i reporterów, co Jan Koprowski właśnie. Odchodząc do „Literatury" trzeci szef zostawił mi w spadku swoje biurko, przy którym siedzę do dzisiejszego dnia. W chwilach szczególnie nostalgicznych przeglądam szuflady i jakkolwiek od czasu, kiedy po raz ostatni zatrzasnął je redaktor Koprowski, minęło już jedenaście lat, ciągle jeszcze znajduję w nich pamiątki przeszłości w stylu: „Kochanemu Jankowi, Wielce Miłościwemu Dobrodziejowi..." i tak dalej.

Można sobie wyobrazić, jak bardzo opłakiwaliśmy wszyscy odejście Jana Koprowskiego. Jeśli ktoś odczyta moje słowa ironicznie, popełni błąd, albowiem był to człowiek złotego serca i wielkiej życzliwości, co nie jest znowu w naszym świecie zjawiskiem nagminnym.

Nastąpiła teraz dziesięcioletnia kadencja Jerzego Wawrzaka, który rozpoczynał rządy w „Odgłosach" jako najmłodszy bodajże redaktor naczelny w kraju. Był pisarzem z dorobku i powołania, ale inżynierem z zawodu, dyrektorował w POM-ach i fakt ten nie przysparzał mu sympatii. Wprawdzie historia literatury powszechnej notuje wielu znakomitych autorów o rodowodach matematycznych, politechnicznych, przyrodniczych i lekarskich, ludzie ci jednak zawsze budzili wśród prawdziwych, rozchełstanych, pogardzających dyscypliną artystów pewien lęk. A bo to wiadomo, co taki „ścisły" drań myśli? Może każe się golić codziennie, albo wprowadzi książkę obecności? Oj, balim my się, balim! On chyba też. Na pierwszym zebraniu minę miał niewyraźną, na poły pokerową, na poły straszną, przeszedł od razu ze wszystkimi redaktorami na ty, lecz pogroził im jednocześnie paluszkiem, mówiąc coś w tym stylu:

— Jestem mikroszczak, ale lepiej uważajcie!

I, faktycznie, przeczesał „Odgłosy", wyregulował parę osób. Jako człowiek ambitny i zdolny, szybko nauczył się dziennikarskiego fachu, i to z detalami. Wszyscy byli przekonani, że kiedy Lucjusz Włodkowski pójdzie na urlop, Wawrzak fiknie. On jednak poznał się już na petitach i garmondach, na makietowaniu i łamaniu kolumn, dobieraniu zdjęć do materiałów, które czytał zresztą od deski do deski. Zjednał sobie w ten sposób uznanie zespołu, który przestał grać mu za plecami na nosie.

Trzeba przyznać, że działał z rozmachem. Wydatnie zwiększył stan osobowy redakcji, zdobywając kilka dodatkowych etatów i kilka półetatów, miał duży gabinet, dwóch zastępców, jako pierwszy zatrudnił na stałe fotoreportera, wysyłał ludzi za granicę, wierząc, że w ostatecznym rachunku wyjdzie to pismu na dobre. Ba! Ośmielił się przenieść „Odgłosy" z macierzystego gmachu RSW przy Piotrkowskiej na ulicę Mickiewicza przeciwko czemu wszyscy gorąco protestowaliśmy, przyzwyczajeni do miłej atmosfery klubowej i przyjaciół z innych tytułów. Był niewątpliwie liberalny, drukował nawet te artykuły, z którymi nie zgadzał się w duchu. Ponadto pobił, w pewnych

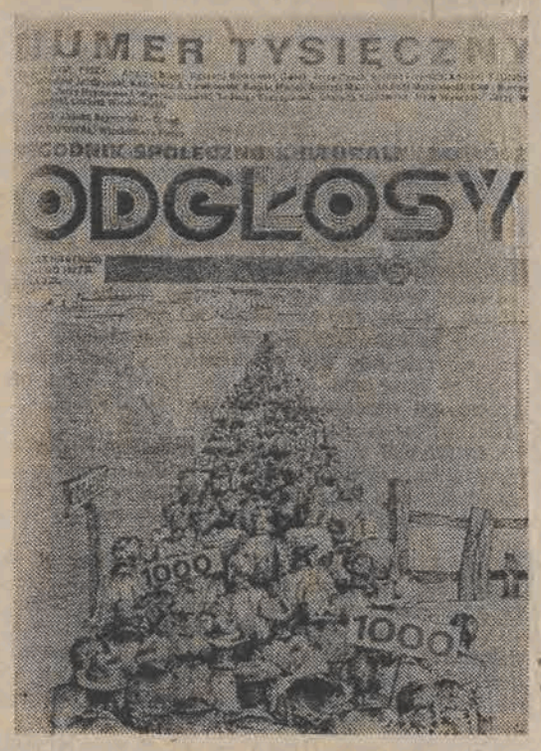

okresach, rekord nakładowy „Odgłosów", windując go do poziomu trzydziestu tysięcy egzemplarzy.

Myślę, że cierpiał, kiedy przyszło rozstać się z pismem. Lucjusz Włodkowski był u Wawrzaka zastępcą redaktora naczelnego, po czym powołano go na stanowisko szefa „Głosu Robotniczego", które, z klucza niejako, pasuje człowieka na pierwszego dziennikarza Łodzi. Jako taki Włodkowski nie zmienił swoich przyzwyczajeń, w dalszym ciągu nosił brodę i sportowe kurtki, nie odął się, nie zachłysnął; podobnie jak Koprowski, miał w sobie dużo niekłamanego, ludzkiego ciepła, aczkolwiek potrafił również wyrżnąć pięścią w stół.

Żegnając Włodkowskiego, „Odgłosy" były autentycznie smutne, w rok później witając go na nowo w mocno zmienionym składzie cieszyły się serdecznie. Odchodząc, Włodkowski dostał na pamiątkę wędkę ze stosownym oprzyrządowaniem, więc zastanawiam się, czy wracając nie powinien jej zwrócić. A... niech tam ją sobie zachowa.

25 lat

I co dalej?

2 marca 1958 roku po raz pierwszy ukazały się w kioskach Ruchu „Odgłosy". Był to wówczas tygodnik łódzki. Tygodnikiem społeczno-kulturalnym stały się „Odgłosy" znacznie później. Teraz mija właśnie 25 lat od ukazania się pierwszego numeru. A więc jubileusz.

Nie jest dziś czas na świętowanie. Warto jednak przy okazji jubileuszu zastanowić się nad przeszłością, nad tym, jak się „Odgłosy" przez te 25 lat zmieniły. Próbujemy to pokazać, reprodukując nie tylko pierwsze strony pierwszego numeru, numerów z okazji 10-lecia pisma, 20-lecia i numeru tysięcznego, ale też publikując wypowiedzi Zbigniewa Chylińskiego z okazji 10-lecia i pierwszego naczelnego redaktora „Odgłosów" — Wiesława Jaździńskiego z okazji 15-lecia. A także artykuł najstarszego stażem pracownika redakcji — Andrzeja Makowieckiego.

„Odgłosy" można uznać już za fenomen w historii czasopiśmiennictwa w Łodzi. Wszystkie inne pisma tu wychodzące znacznie szybciej kończyły swój żywot. Tak też było z „Kroniką" — bezpośrednią poprzedniczką „Odgłosów", choć koneserzy z podziwem i dziś cmokają nad jej poziomem.

„Odgłosy" obronną ręką wyszły z wszystkich dotychczasowych zakrętów naszej historii, co można uznać za dowód na to, że są w życiu społecznym miasta, w jego życiu kulturalnym czymś niezbędnym.

Ale też od momentu poczęcia pisma — co jasno wynika z przedrukowywanego obok tekstu Z. Chylińskiego — pismo znalazło się jakby pomiędzy dwoma skrajnymi koncepcjami: klasycznym magazynem a pismem literackim. Do dziś zresztą waha się między jednym i drugim, nie mogąc się na nie zdecydować. Spotyka się to z krytyką i niezadowoleniem przyjaciół, jak i wrogów pisma.

„Odgłosy" naraziły się kiedyś studentom i mimo że ci, którzy mieli zamiar je spalić demonstracyjnie dawno, już mają dorosłe dzieci, mit o negatywnym nastawieniu do spraw studenckich pozostał. „Odgłosy" naraziły się kiedyś nauczycielom i ci do dziś nie mogą się do pisma przekonać, mimo wielu prób pozyskania czytelników w tym środowisku.

Wysoko cenię sobie krytykę, jak i wszelkie uwagi, propozycje i postulaty kierowane pod adresem pisma, a płynące tak z kręgów przyjaznych, jak i pismu niechętnych. W miarę naszych możliwości staramy się te propozycje i postulaty realizować. Nie wszystko nam się udaje. Nie na wszystko nas jeszcze stać. Ale popatrzmy jeszcze na minione 25 lat.

Iluż ludzi pracowało w piśmie, pisało, tu debiutowało, na jego łamach kształtowało swoją twórczą osobowość. Nie będzie to przesadą, jeśli napiszę, że z kręgu ludzi związanych z pismem wyrosło wielu znakomitych poetów, prozaików, reporterów. Czy nazwiska są ważne? Zresztą w zamyśle zespołu „Odgłosów" jest chęć pokazania tego dorobku Czytelnikom, przyjaciołom i przeciwnikom pisma. Nie pora jeszcze na zdradzanie szczegółów. Przyjdzie i na to czas. Chcemy bowiem ćwierćwiecze pisma uczcić kilkoma imprezami o szerszym zasięgu.

Przez te 25 lat — może nie zawsze w jednakowy sposób — pismo pełniło rolę kronikarza życia kulturalnego miasta i regionu. Dziś wielu studentów, pracowników nauki, publicystów sięga do roczników „Odgłosów", aby poznać szczegóły różnych kulturalnych wydarzeń. Redakcja, choć miała i ma ambicje wypłynięcia na szerokie ogólnopolskie wody — co niektórzy mają nam za złe — to przecież ma również poczucie swego kronikarskiego obowiązku. Nie oszukujmy się. Jeśli „Odgłosy" niektórych łódzkich imprez nie odnotują, to nikt inny tego nie zrobi — poza prasą codzienną, oczywiście, ale to zupełnie inna sprawa. Czy jednak można pismu mieć za złe, że chce to, co łódzkie prezentować nie tylko w Łodzi?

To przeszłość.

A co dalej?

Pytanie to nie jest wcale okazjonalne. Zwykle bowiem po krótkiej ocenie przeszłości wypada zastanowić się nad przyszłością. Tym razem jest to pytanie o przyszłość pisma. I takie pytanie zadają sobie nie tylko zespoły, którym akurat przypadło obchodzić taki, czy inny jubileusz. Pisma — szczególnie społeczno-kulturalne — ukazują się bowiem w bardzo trudnych i złożonych warunkach.

Co składa się na te warunki?

Dokonany w 1975 roku nowy podział administracyjny kraju rozbił dawne — wykształcone przez minione dziesięciolecie — więzy regionalne. Rozbudził w wielu nowych województwach ambicje posiadania wszystkiego na własność, we własnych wojewódzkich wymiarach, rywalizowania z tradycyjnymi centrami regionalnymi, jak na przykład Poznań, Gdańsk, Wrocław, Kraków, nie mówiąc już o Warszawie. Spowodowało to osłabienie tych wykształconych już, ale jeszcze nie umocnionych ośrodków.

Powstało wiele nowych tygodników wojewódzkich, a wśród nich nawet niektóre o stosunkowo wysokich nakładach, jak choćby „Kronika" w Bielsku-Białej, czy „Tygodnik Zamojski" w Zamościu. Mają wprawdzie te tygodniki inny charakter i inne zadania, ale też i wypierają z rynku pisma ogólnopolskie czy regionalne.

Rozbicie więzi regionalnych, ukształtowanych w przeszłości odbiło się ujemnie na rozwoju kultury poza Warszawą i Krakowem. Wpłynęło to na pogłębienie się i umocnienie kompleksu prowincjonalnego, albo — jak to nazywa Jan Górec-Rosiński w „Nowych Drogach" (nr 1 z 1983 r.) w artykule pod tytułem „Kultura w stolicy i terenie" — „kompleksu hreczkosieja". Pisze on w tym artykule:

„Mimo awansu kulturalnego większość regionów cierpi na kompleks prowincjonalny. Pierwszą więc, nie tylko psychologiczną, manifestacją artystów spoza metropolii powinno być wyzbycie się kompleksu hreczkosieja. Znaczenie środowisk artystycznych w większości rozwiniętych ośrodków regionalnych jest przecież znaczące. W niektórych wypadkach wywierają one we własnym regionie większy wpływ kulturalny, aniżeli obserwujemy to w metropoliach. Ale na zewnątrz występują one zawsze z pozycji partnera słabszego lub słabego — chociażby ze względu na ograniczone możliwości eksponowania swojej twórczości. Regionalna prasa kulturalna nie posiada zasięgu ogólnokrajowego i prestiżu mogącego konkurować ze środkami przekazu metropolii; lokalne programy Tv nie stwarzają tej siły przebicia, co centralne; wydawnictwa pełnią rolę drugorzędną wobec oficyn centralnych — a wszystko to razem wzięte posiada ograniczony wpływ nie tyle na tworzenie się modelu kultury, ile na samopoczucie tych środowisk, ich rangę w kraju, oceny, krytykę i lansowanie się indywidualności artystycznych".

Inaczej — nic nie ma wartości, jeśli tego nie potwierdzi Warszawa lub Kraków.

Składa się na te warunki również i to, że obecnie przyszło ukazywać się wszystkim pismom społeczno-kulturalnym w sytuacji, kiedy powstał rynek czytelniczy. Ustanowione w 1982 roku ceny — a sytuacji nie zmieniło ich częściowe obniżenie z początkiem 1983 roku — stworzyły czytelnikom możliwość wyboru tego, co chcą kupować. Prawie luksus. Tylko, że do 1982 roku mogli kupować więcej pism za te same, albo i mniejsze pieniądze, biorąc również i to, na co nie koniecznie musieli mieć wielką ochotę. Powstanie rynku czytelniczego, przy słabym funkcjonowaniu „Ruchu", małym zainteresowaniu prenumeratą zarówno ze strony wydawnictw, jak i poczty, spowodowało, że runęły w gruzy piękne programy. Złośliwi na przykład twierdzą, że „Przegląd Tygodniowy" przeszedł ewolucję od „neopozytywizmu do rewolweryzmu", ale dzięki temu rośnie mu nakład. Idą na przykład „jak woda" pisma kolorowe, przy minimalnych zwrotach, a często bez.

Pisma społeczno-kulturalne przechodzą poważny kryzys. I to zdawałoby się tak renomowane jak „Życie Literackie". Nie przypadkiem powróciło ono do „lektur szkolnych", ale czy to przyniesie oczekiwany skutek?

Na warunki te składa się również sytuacja społeczno-polityczna kraju. Naturalnym odbiorcą pism społeczno-kulturalnych jest szeroko rozumiana inteligencja: nauczyciele, pracownicy nauki, uczniowie wyższych klas szkół licealnych, studenci, środowiska artystyczne, pracownicy kultury, urzędnicy administracji państwowej i przemysłowej, inżynierowie i technicy. Jednakże w środowiskach tych zapanowała moda na nieczytanie prasy społeczno-kulturalnej. Lansuje się pogląd, że nic ciekawego nie można w tych pismach znaleźć poza oficjalną propagandą. Opowiadał mi pewien znajomy pracownik nauki, że w jego środowisku zdarza się, że ktoś wypożyczy w bibliotece „Tu i Teraz", ale aby inni nie widzieli, co on czyta, owija to pismo w... „Tygodnik Powszechny".

Obok tego obserwuje się zjawisko znacznie bardziej niepokojące — odwrotu od problematyki ogólnej, politycznej i ideologicznej, a zamykanie się w kręgu spraw „przyziemnych", drobnych. Inicjowane tu i ówdzie dyskusje nad sprawami zasadniczymi toczą się niemrawo, szybko wygasają. Dla mnie nie jest przypadkiem duża popularność pism lokalnych. Przeszło 7-tysięcznego nakładu „Życia Pabianic" nie można tłumaczyć tylko tradycją. Nie jest to bowiem przykład odosobniony.

Można byłoby wprawdzie powiedzieć, że są to zjawiska przejściowe, zrodzone przez kryzys, i że znikną one wraz ze zniknięciem kryzysu. Odbudowa autorytetu partii, szeroko rozumianej władzy, postępujący proces stabilizacji nastrojów, konsolidacji w społeczeństwie zmieni też sytację pism społeczno-kulturalnych. Kultura przeżywa kryzys, a jego objawy są znacznie głębsze i długotrwałe. Musi się to odbijać na sytuacji pism regionalnych przede wszystkim. Muszą więc one szczególnie dbać o swoją wiarygodność, o pozyskiwanie zaufania czytelników, o odbudowę swoich utraconych pozycji. I potrzeba na to czasu i cierpliwości.

Jest to niewątpliwie prawda. Ale nie wolno zapominać, że pisma te wydają zreformowane wydawnictwa. A w wydawnictwach tych mówią tak: — rozumiemy, że do kultury trzeba dokładać, mamy nawet na to pieniądze, ale pismo nie może leżeć w kiosku, musi być sprzedawane. Jeśli będzie rósł nakład, nie odmówimy finansowania.

Czyżby jednak kryzys pism społeczno-kulturalnych był głębszy niż można byłoby tu sądzić?

Odwołam się jeszcze raz do artykułu Jana Górec-Rosińskiego z „Nowych Dróg" — notabene wieloletniego redaktora naczelnego bydgoskich „Faktów" — który tak pisze o pismach regionalnych:

„...pisma społeczno-kulturalne nie zawsze mogą sobie poradzić z przezwyciężeniem miejscowych partykularzy i zależności. Dlaczego? Czasopismom tym brak jest właściwej mitologii, nie grupują one z reguły znaczących nazwisk, ulegają tradycyjnym koncepcjom czasopiśmienniczym. Są także z reguły periodykami niepełnowartościowymi, ograniczonymi objętością i zasięgiem."

A więc J. Górec-Rosiński słabość tego rodzaju pism widzi również w anachronicznej koncepcji. Natomiast **drogi wyjścia z kryzysu** w „organizowaniu wyobraźni społecznej, społecznego działania, aby można było wydobywać z utrwalającego się tu i ówdzie partykularza wojewódzkiego i włączać środowiska artystyczne w procesy kulturotwórcze kultury ogólnonarodowej". Uważa dalej, że pisma te powinny „mniej kręcić się w wirze spraw lokalnych, a bardziej torować drogę procesom ożywczym, charakterystycznym dla wartości uniwersalnych".

Nie mam nic przeciw temu. Tylko, czy czytelnik to kupi? A bez czytelnika wszystkie nasze dobre chęci i zamiary skończą się na chęciach i zamiarach. Przede wszystkim trzeba pozyskać czytelnika. To pierwsze i naczelne zadanie.

Już słyszę dobrze znane mi głosy: — Tylko nie schlebiać gustom czytelnika, ale je kształtować!

I już słyszę głos wydawcy: — Rośnie nakład?

A więc u progu lat następnych — jak ich pójdzie? Oby było jak najwięcej! — stoją „Odgłosy" wobec dylematu: i co dalej?

Można byłoby zarysować dwa sposoby postępowania:

— pierwszy — dać czytelnikowi to, czego najbardziej poszukuje, a więc sensacji, trochę skandalu, tekstów łatwych i przyjemnych, nie zmuszających do myślenia, bardziej relaksowych, rezygnując jednocześnie z wszelkich ambicji, a zatem i z określonych obowiązków wobec środowisk kulturalnych, co jest bezspornie łatwe, ale i ryzykowne;

— drugi — nie rezygnować z określonych ambicji, szukać nowych form, autorów i czytelników, podejmować problemy bliskie ludziom, ale i kształtujące ich sposób myślenia, kontrowersyjnie, polemicznie, co jest trudniejsze i równie ryzykowne.

MOGĄ TEŻ BYĆ I INNE ROZWIĄZANIA. JAKIE? SĄDZĘ, ŻE WARTO O TYM PODYSKUTOWAĆ! ZAPRASZAM WIĘC DO DYSKUSJI, ZARÓWNO PRZYJACIÓŁ, JAK I PRZECIWNIKÓW PISMA. NASZE ŁAMY SĄ DO WASZEJ DYSPOZYCJI!

„ODGŁOSY" STOJĄ PRZED PYTANIEM: CO DALEJ? CHCIELIBYŚMY, ABY NA TO PYTANIE SPRÓBOWALI ODPOWIEDZIEĆ TEŻ NASI CZYTELNICY. TO PRZECIEŻ WASZA SPRAWA!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ADRZEJ MAKOWIECKI

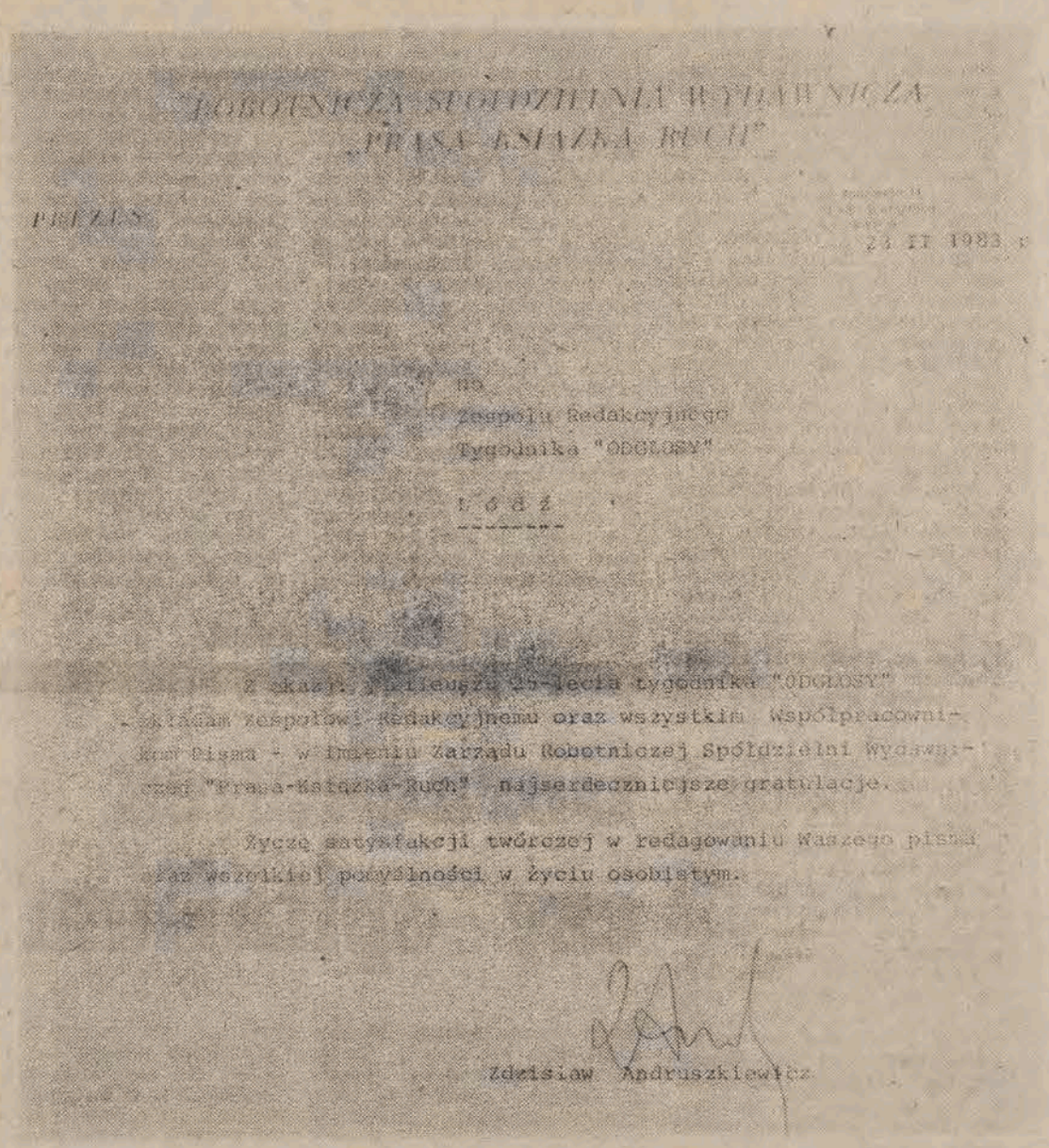

Wokół książki Sandauera

Obrachunek czy epitafium?

Jeżeli istnieje coś, co w świadomości społeczeństwa, w tym przypadku — społeczeństwa polskiego przybiera postać tzw. kwestii żydowskiej, to należy się jej, jak każdemu zjawisku socjologicznemu, rozpatrzenie w kategoriach racjonalnych, sprzyjających demistyfikacjom. Sądzę ponadto, że do takiego obrachunku, wolnego od emocjonalnych zahamowań i uprzedzeń, powołani są przede wszystkim ludzie „nie obarczeni" żydowskim pochodzeniem, i to nie tylko dlatego że łatwiej im uchronić się od pomówień o stronniczość, ale głównie z tego powodu, iż każdy nacjonalizm czy też rasizm, których szczególną manifestacją jest antysemityzm, stanowią zagrożenie moralnych i intelektualnych postaw narodu, w którym się szerzą.

Moim zdaniem, antysemityzm polski rozpatrywany w kategoriach etycznych jest więc nie tyle „zmartwieniem" Polaków żydowskiego pochodzenia czy obywateli polskich narodowości żydowskiej, lecz właśnie „rdzennych" Polaków, podobnie jak np. hitlerowski faszyzm powinien dostarczać powodów do moralnej i politycznej refleksji przede wszystkim Niemcom, a w mniejszym stopniu ich okupacyjnym ofiarom. Kto na to odpowie, że wolałby w czasie okupacji znaleźć się w sytuacji hitlerowca niż Polaka, Rosjanina czy Żyda, ten z epoki faszyzmu wyciągnął błędny wniosek, że trzeba być silniejszym i bezwzględniejszym od innych (jak zapewne mniema znaczna część społeczności żydowskiej Izraela). Takie ślady psychiczne okupacyjnych przeżyć noszą słusznie miano „zarażenia faszyzmem" i stanowią jakby pośmiertny jego triumf.

Z tego wszystkiego wynikałoby, że dla książki pt. **„O sytuacji pisarzy polskiego pochodzenia żydowskiego w XX wieku"** lepiej by było, gdyby wyszła spod pióra kogoś innego, niż akurat Artura Sandauera, toteż nie bez racji autor opatruje ją gorzko brzmiącym podtytułem: **„Rzecz, którą nie ja powinienem był napisać".** Ba, któż jednak z powołanych poważył się tak otwarcie, bez niedomówień, dotknąć tego tematu!? Chwała więc autorowi, że — jako pisarz polski pochodzenia żydowskiego — podjął się tego obowiązku wobec ważnego nurtu polskiej kultury współczesnej, nie łatwo jednak ocenić — w braku innych opracowań tematu — jak się ze swego zadania wywiązał.

Trudność oceny bierze się także z wielości aspektów zagadnienia w ujęciu autora, z bogatej, jak na objętość książki, faktografii, uwzględniającej zarówno niezbyt znane wydarzenia dotyczące osób, jak i odniesienia do nie zawsze dostępnych utworów literackich, a wreszcie z całkowicie dowolnej, wybiórczej egzemplifikacji. Z tej ostatniej tłumaczy się autor następująco: **„Nie obowiązuje więc żadna kompletność, jeśli chodzi o nazwiska jednostek twórczych, jedyne co obowiązuje, to kompletność w opisie sytuacji".**

W dalszym ciągu postaram się więc odnieść do owej **„kompletności opisu sytuacji"** — tam gdzie wydą mi się stosowne uzupełnić ją własną refleksją. Ale może najpierw — o przywoływanych przez Sandauera mało znanych lub dziś zapomnianych faktach i opiniach. Wśród nich jeden wielce smakowity kąsek (choć co prawda niektórych czytelników książki przyprawić może o niestrawność), a mianowicie o tym, iż matka Adama Mickiewicza — de domo Majewska — wywodzić się miała z frankistów, wychrzczonych w połowie XVIII wieku Żydów polskich, którzy uzyskali następnie indygenat szlachecki.

Nie jest to rewelacja najświeższej daty, z tą bowiem tezą czy też hipotezą można się było zapoznać w przedwojennym polskim gimnazjum i co znamienne — przyjmowana była wtedy na ogół bez większych oporów wewnętrznych. Nie protestowali nawet endecy, którzy, czcząc Adama Mickiewicza, byli zakłopotani pozytywnie przedstawioną postacią Jankiela i kładli to na karb owej nieszczęsnej „matki z wychrztów". Nie mieli zresztą innego wyboru, skoro znienawidzony „mason" Piłsudski okazywał atencję Słowackiemu, który jako „neurastenik, pięknoduch i maminsynek" nie mógł służyć za wzór narodowej krzepy.

Takich spraw, które z czasem stały się „tabu" jest w książce więcej, a nie tylko dodają jej „skandalicznego" posmaku, lecz także wstrząsają stereotypowymi wyobrażeniami czytelnika, pobudzając go do refleksji wobec obiegowych opinii, zwłaszcza chyba w odniesieniu do międzywojennego dwudziestolecia. Jeśli dostaje się przy okazji Gałczyńskiemu, którego niewybredne wypowiedzi autor przytacza (narażając się z pewnością wielu miłośnikom poezty), to, jak sądzę, głównie po to, żeby zdemistyfikować wzniosłą i poniekąd sielankową wizję tego okresu — dla zobrazowania ówczesnej sytuacji umysłowej kraju, zwłaszcza w wysokich regionach kultury. Bo właśnie na tle tych uwarunkowań rozwijała się specyficzna sytuacja pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego.

Jaka sytuacja? Formalnego równouprawnienia obywateli (mimo pewnych konstytucyjnych ograniczeń, które jednak nie zagradzały drogi do kariery literacko-artystycznej), a jednocześnie faktycznej dyskryminacji ze strony dość licznych, nieprzyjaźnie nastawionych, środowisk. **„Jednocześnie jednak znaczenie Żydów w kulturze ogólnopolskiej rośnie — paradoksalnie — wraz ze wzrostem antysemityzmu"** — stwierdza Sandauer i zauważa, iż **„rozwojowi jednostki sprzyjają trudne warunki".** Trafność tego spostrzeżenia wydaje mi się jednak — akurat w szerszym kontekście tematu i w swojej niezamierzonej wymowie — nieco dwuznaczna, mogłoby się bowiem ono spotkać z przewrotnym komentarzem: w takim razie, nieprzyjazna atmosfera wobec Żydów wychodziła ich talentom na zdrowie i dobrze przysłużyła się także kulturze polskiej. Tylko tak dalej!

Oczywiście — była to, jak wynika z wywodów Sandauera, szansa jedynie dla zasymilowanych, ale przecież stwarzała zarówno zachętę, jak i trudności dla asymilacji, nieprzezwyciężalnej w ówczesnych warunkach dla ogromnej większości polskich Żydów. A ponadto — czy w niektórych krajach, jak choćby we Francji, liczni, jeśli się nie mylę, twórcy pochodzenia żydowskiego zawdzięczają rozwój swego talentu głównie dyskryminacyjnym barierom? Zahaczyłem tu o sprawę, która, wydaje mi się, mogłaby stanowić temat odrębnego potraktowania w ujęciu socjologicznym, które zresztą nie leżało w intencji autora.

Ale odbiegłem, zbyt arbitralnie, od głównych wątków książki, zamiast trzymać się osnowy jej wywodu, należałoby bowiem w ślad za autorem sprecyzować najpierw, kogo zaliczyć do „grupy społecznej Żydów-Polaków". Ujęcie tej kwestii przez Artura Sandauera wydaje mi się oryginalne, wolne od stereotypów zarówno anty-, jak i filosemickich. Nie kwestionując bynajmniej podstawowego prawa jednostki do samookreślenia swej przynależności narodowej (wbrew stanowisku skrajnych nacjonalistów czy rasistów) autor uznaje jednak pewne dane obiektywne, nie mające nic wspólnego z tzw. wrodzonymi cechami narodowymi czy rasowymi. Pisze: **„Gdybyśmy chcieli poprzestać na samookreśleniu, musielibyśmy przyjąć za dobrą monetę wszystko, co dana jednostka mówi o sobie".** Istotnie, określone sytuacje mogą skłaniać do zatajania prawdy o sobie — czy to o swoim pochodzeniu narodowym, czy o poczuciu przynależności, co zwłaszcza w sytuacji ludzi pochodzenia żydowskiego może występować w konfrontacji ze społecznościami lub władzami nieprzychylnymi lub w momentach szczególnie niebezpiecznych.

Książka traktuje jednak nie o jakichkolwiek ludziach pochodzenia żydowskiego, lecz o określonej społeczności polskich pisarzy, u których czynnikiem samookreślenia jest według Sandauera również ich twórczość. Te więc tylko przypadki (relacjonuję tu ciągle swoimi słowami), kiedy w twórczości pisarza pochodzenia żydowskiego motyw pochodzenia, jako kwestia istotna, dochodzi do głosu, upoważniają dopiero do zakwalifikowania pisarza do wyodrębnionej grupy. Innymi słowy, samo żydowskie pochodzenie piszącego w języku polskim nie podważa wiarygodności jego samookreślenia jako pisarza polskiego. **„Dla krytyka (...) sprawy te nie powinny liczyć się tak długo, dopóki nie pojawiają się w kręgu zainteresowań samego pisarza. Z tą jednak chwilą muszą się stać przedmiotem również i jego badań. Z biograficznego — zagadnienie staje się wówczas literackim".**

Ten, jak mi się wydaje, nieodparty wywód, stanowiący jedynie wprowadzenie go zapowiedzianego w tytule tematu, jest w całej tej znakomitej i pasjonującej książce najważniejszy. Nie pomniejszam bynajmniej znaczenia wielu bardzo odkrywczych myśli, odnoszących się do sytuacji powojennej, o których nie sposób nawet napomknąć w tym krótkim i pobieżnym omówieniu. Niemniej jednak ten problem: jakie relacje zachodzą pomiędzy samookreśleniem przynależności narodowej a pochodzeniem oraz narzucający się nieodparcie wniosek, iż sprawa ma istotny sens jedynie w wymiarze literackim — stanowią wartość najważniejszą.

W żartobliwie przekornym zakończeniu książki autor odżegnuje się od morałów i konkluzji. Pomimo tego można z niej wywieść wniosek, że o żywotności kultury narodowej świadczy jej siła asymilacyjna, czego nie rozumieją ci, którzy wznoszą zapory dyskryminacyjne, w błędnym przeświadczeniu, iż na tym polega patriotyzm.

JERZY KWIECIŃSKI

Artur Sandauer: „O sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego w XX wieku. (Rzecz, którą nie ja powinienem był napisać)". Wyd. Czytelnik Warszawa 1982, ss 96, cena 50 zł.

Z półki recenzenta

MORDERCY Z WILHELMSTRASSE

Faszyzm, jako ideologia antykomunistyczna, będzie jeszcze nieraz przedmiotem wnikliwych studiów historyków i socjologów. Książki poświęcone temu tematowi będą ciągle przyciągać uwagę czytelników. Tym bardziej, że obserwujemy renesans tej niebezpiecznej ideologii w krajach zachodniej Europy i obu Ameryk.

Książka Franciszka Bernasia „Mordercy z Wilhelmstrasse" jest poświęcona trzem głośnym zamachom przygotowanym przez niemiecki faszyzm, w wyniku których zginęli: premier rumuński Duca, premier Austrii Dollfus, monarcha Jugosławii Aleksander, a wraz z nim minister spraw zagranicznych Francji Barthou. Były to zamachy, które przygotowały grunt do mającej wkrótce nastąpić inwazji na Austrię, Jugosławię i Francję.

Książka jest zbeletryzowaną relacją tamtych, nadal aktualnych przez swoją historyczną wymowę, wydarzeń.

Franciszek Bernaś: Mordercy z Wilhelmstrasse, KIW, 1982. Str. 228. Cena 75 zł.

PARTIE SOCJALDEMOKRATYCZNE — ENCYKLOPEDIA

W księgarniach znalazła się dość ważna książka: „Partie socjaldemokratyczne Europy — zarys encyklopedyczny". Jest to pozycja tym cenniejsza, że pierwsza na naszym rynku wydawniczym, a zarazem dość obszerna.

Wiedza o socjaldemokracji na zachodzie Europy, to nie tylko świadomość jej działania w środowiskach robotniczych, to także zrozumienie i ocena „szans i perspektyw międzynarodowej walki o pokój i odprężenie".

Niektóre z tych partii, jak np. SDP w Niemczech Zachodnich, czy Socjalistyczna Partia Austrii wywierają znaczący wpływ na politykę swoich krajów, natomiast inne partie np. Belgijska Partia Socjalistyczna czy Norweska Partia Pracy przeżywają regres i niepowodzenia w osiąganiu swoich celów politycznych. Wszakże bezspornym pozostaje fakt, że ruch socjaldemokratów ma swój niezaprzeczalny wpływ na działalność międzynarodowego ruchu robotniczego, a tym samym uczestniczy w dziele odprężenia w Europie.

Partie socjaldemokratyczne Europy — zarys encyklopedyczny. KIW 1982. Str. 500. Cena 195 zł.

W STRONĘ ZACHODU SŁOŃCA

W serii „Biblioteka zwycięstwa" ukazał się zbiór co celniejszych opowiadań pisarzy radzieckich, uczestników ostatniej wojny, poświęconych zmaganiom narodu radzieckiego z najazdem sił faszystowskich. W tej swoistej antologii figurują nazwiska znanych na całym świecie autorów, takich jak: Wiktor Astafiew, Konstanty Fiedin, Walentyn Katajew, Konstanty Paustowski, Aleksy Tołstoj. W sumie, w dość opasłym tomie, znalazły się cztery opowieści i 22 opowiadania.

Tematyka wojenna, podejmowana zwłaszcza przez jej uczestników, ma u nas swoich zagorzałych odbiorców.

Nie od rzeczy będzie w tym miejscu przypomnienie, że seria „Biblioteka zwycięstwa" jest wydawnictwem międzynarodowym, a wśród wydanych książek pisarzy radzieckich, węgierskich czy czeskich, znaleźli się także Polacy.

W stronę zachodu słońca — Opowieści i opowiadania o Wielkiej Wojnie Narodowej. Czytelnik 1982. Str. 736. Cena 200 zł.

22 PUŁK PIECHOTY AK

Militaria, a szczególnie te dotyczące ostatniej wojny, będą zawsze czytane nie tylko przez jej uczestników. A jeśli akurat będą to wspomnienia i do tego z mało znanych wydarzeń — staną się kolejnym przyczynkiem do dziejów naszej walki z okupantem. Taką książką-wspomnieniem są relacje Eugeniusza Wawrzyniąka pt. „O Panie, skrusz ten miecz", dotyczące 22 Pułku Piechoty AK działającego w okolicach Opoczna, Przysuchy, Bokowa, Dorobnej Woli.

Właściwie jest to historia przeciętnego młodego Polaka, który służbę Ojczyźnie utożsamiał z jej wyzwoleniem, jest to także książka o bohaterstwie, o desperackich akcjach, o potyczkach z przeważającymi siłami wroga, o walce i o śmierci.

Całość została zilustrowana fotografiami uczestników owych trudnych, tragicznych, ale przecież nie straconych dni.

E. Wawrzyniak: O Panie, skrusz ten miecz. IW PAX 1982. Str. 242. Cena 120 zł.

Antypowieść

1.

Dzisiaj już trochę zapomnieliśmy o owym tryumfalnym wkraczaniu do Polski francuskiej zdobyczy: antypowieści czy też „nouveau roman" (nowej powieści), jakie miało miejsce na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Było ono między innymi wynikiem spiesznego odrabiania kulturalnych zapóźnień, gorączkowego przyswajania polskim czytelnikom zdobyczy literatury światowej, przede wszystkim jednak Francuzów i Amerykanów.

Dalece nie wszystko przyswoiliśmy sobie. Dziś jeszcze ukazują się u nas książki należące do wspomnianego nurtu antypowieści. Właśnie niedawno pojawił się przekład „Drogi przez Flandrię", napisanej w roku 1958. Zdobyła ona sławę z dwóch w zasadzie powodów: jako reprezentatywna powieść z kręgu „nouveau roman" oraz jako jeden z najwybitniejszych utworów o wojnie niemiecko-francuskiej z 1940 roku.

We wstępie do innego sztandarowego dzieła tego kręgu — „Portretu nieznajomego" Nathalie Sarraute — Jean-Paul Sartre tak oto przedstawił cechy antypowieści:

„Antypowieści zachowały z pozoru kształt powieści; są to fikcje literackie, które przedstawiają nam zmyślone postacie i mówią o ich losach. Ale to tylko, aby tym łatwiej zmylić czytelnika: chodzi tu o zakwestionowanie powieści przez nią samą, o zburzenie jej na naszych oczach, podczas gdy się ją pozornie buduje, o napisanie powieści na temat powieści, która jest nie do zrobienia (...). Te dziwne i trudne do zaklasyfikowania utwory nie świadczą o słabości rodzaju powieściowego, podkreślają one tylko, że żyjemy w epoce refleksji, i że powieść zastanawia się nad samą sobą".

Powieściowe prawidła tak pracowicie skonstruowane przez powieściopisarzy dziewiętnastowiecznych w dziele ich następców uległy destrukcji w myśl hasła: „Powieść nie żyje. Niech żyje powieść!" Zjawisko to najogólniej tak się wyjaśnia: ponieważ zmieniła się wiedza o jednostce i społeczeństwie musiała również w sposób nieuchronny ulec zmianie umiejętność opowiadania o nich. Pisarz programowo rezygnuje z komponowania, pozwala życiu toczyć się własnym torem, chwyta zaledwie jego wycinki, jakieś ułamki. Zaczyna relację od dowolnego momentu i w dowolnym momencie ją kończy. Nie interesuje go fabuła, anegdota — zdarzenia pozbawione są układu logicznego, o ich występowaniu decydują najluźniejsze skojarzenia. Bohater, jeśli istnieje, ulega niemalże całkowitej dezintegracji. Wszystko, co przedstawia taka powieść jest stosunkowo trudne do określenia, mamy bowiem do czynienia z rozproszeniem elementów, z wyraźnym amorfizmem, z rozmaitymi możliwościami i wariantami jakiejś sytuacji, nie tyle z opisem rzeczywistości, co z próbą dotarcia do zasad jej funkcjonowania. Rzeczywistość należy uwolnić od znaczeń, jakie jej poprzednio zostały narzucone. Powinna zostać po prostu przedstawiona, i to z możliwie wielu punktów widzenia. Jeśli punkty te wzajemnie się kwestionują, a nawet znoszą — tym lepiej. „Nowa powieść" została bowiem pomyślana jako swoista forma wypowiedzi atakująca dotychczasowe schematy i skostnienia.

2.

Powyższe refleksje nasuwają się podczas kontaktu z „Drogą przez Flandrię" Claude'a Simona, o której tłumaczka, Wiera Bieńkowska, powiada w pierwszym zdaniu przedmowy, iż nie należy do lektur łatwych. Przestrogę tę potraktować należy poważnie, gdyż narracja jest tu istotnie wielce skomplikowana. Wynika to przede wszystkim stąd, że treścią powieści stają się wspomnienia Georges'a, uczestnika „dziwnej wojny" 1940 roku, snute pewnej nocy dwa lata później. Pamięć ma swoje prawa, co uwidacznia się w technice narracyjnej. Wkrótce po ukazaniu się „Drogi przez Flandrię" jej autor oświadczył dziennikarzowi gazety „Le Monde": *„W pamięci wszystko jest na tej samej płaszczyźnie: dialog, wzruszenie, wizja współistnieją (...). Chciałem stworzyć strukturę, która by pozwoliła mi przedstawiać jedno po drugim wydarzenia w rzeczywistości nakładające się na siebie, znaleźć konstrukcję czysto percepcyjną".*

Tak więc w powieści Claude'a Simona wszystko jest na tej samej płaszczyźnie, wszystko istnieje jednocześnie i bardzo jest poplątane, a przejścia od jednej sprawy do innej, od jednego zdarzenia do drugiego czytelnik praktycznie nie jest w stanie wykryć — trzeba więc po prostu uważać, aby się w owym skądinąd precyzyjnym przedstawianiu rzeczywistości zwyczajnie nie pogubić.

Powieść składa się z trzech rozdziałów. Każdy poprzedzony został starannie dobranym mottem. Pełnią one funkcję nie tylko efektownych sentencji, pozwalają uchwycić treść przedstawioną w kolejnych rozdziałach. Najważniejsze okazują się słowa Leonarda da Vinci: „Myślałem, że uczę się żyć, uczyłem się umierać". Trudno chyba o bardziej zwięzłe wyłożenie sensu „Drogi przez Flandrię" — studium życia broniącego się przed zagładą.

Czytam w tej powieści o monotonnym tupocie żołnierzy wypełniającym noc, o dźwiękach rozklekotanego samochodu byle jak poskręcanego drutem, o stukocie kopyt końskich, o tych wszystkich odgłosach wojny przypominających chrzęst kości — i myślę, że one właśnie nadały rytm prozie Simona: niby monotonny, a przecież co chwila inny, ciągle przerywany zmieniającą się stylistyką. Łatwo w tym stylu „ugrzęznąć" jak w błotnistej drodze wiodącej do Flandrii.

Podziwiam bardzo proste na pozór chwyty Claude'a Simona. Oto Blum pyta Georges'a o godzinę i słyszymy w odpowiedzi: — co za różnica, czas nie gra już żadnej roli. Stanowi to nader dobitne usprawiedliwienie miejsca czasu w tej powieści, w której czas rzeczywiście przestał istnieć, wszystko bowiem rozgrywa się w jednej piekielnie długiej (bo mierzonej objętością ponad trzystu stron) chwili. Nawet narrator nie wie, czy w chwili, gdy opowiada jest dzisiaj, jutro, czy też zdążyło już upłynąć wiele dni. W innym miejscu oświadcza dobitnie: „Nie bardzo już mogłem połapać się w tym wszystkim. Chcę powiedzieć: nie wiedziałem dobrze gdzie jestem ani kiedy to się dzieje, ani co się dzieje, czy myślę..." Owa subiektywna niewiedza staje się jakby jądrem powieści, wyraża wyjątkową intensywność przeżycia, jakieś szczególne spiętrzenie konfliktów, któremu nie jesteśmy w stanie zaradzić: ani narrator, ani czytelnik.

I dzieje się tak nie tylko na drodze do Flandrii, podobnie dziać się przecież może na wszystkich drogach, które przemierza współczesny człowiek.

Inny Francuz, Rene-Marill Alberes twierdzi, że istotą nowoczesnej literatury jest nie tyle pokazywanie tragizmu ludzkiej egzystencji, co po prostu stawianie pytań. Tak też jest z powieścią Claude'a Simona — niczego ona nie wyjaśnia, stawia jedynie pytania, bo stawia je samo życie, zwłaszcza w momentach zagrożenia. Rozgrywa się w świecie, w którym panuje nie tylko nieład, lecz i groza, w którym brak jakichkolwiek punktów orientacyjnych. Jedną tedy wartością, jaką Claude Simon ośmiela się proponować okazuje się szczerość. Być może przybliży ona znalezienie odpowiedzi na męczące pytania.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

C. Simon, Droga przez Flandrię. Przełożyła W. Bieńkowska, Czytelnik, Warszawa 1982, s. 316, nakład 20 320 egz., cena zł 120,—

Ksiądz Bakalarczyk, ułani i duchy

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Grób księdza kanonika Bakalarczyka znajduje się w głównej alei cmentarza pod starym grabem. Jest porządny, z solidnego kamienia. Sto lat przetrzyma albo i więcej. Nie jest taki jak te szaro gęszczące się dziś grobowce z lastryku. Przed wojną często furkotały na tym grobie biało-amarantowe chorągiewki. Ksiądz Józef Bakalarczyk był nie tylko proboszczem naszej przeogromnej parafii i nie tylko dziekanem, lecz również kapelanem w stopniu podpułkownika 7 pułku ułanów lubelskich. Tego, co się tak wielką chwałą okrył w wielu walkach, a we wrześniu roku pamiętnego bił się dosłownie do ostatniego ładunku i ostatniej wyszczerbionej szabli.

Ze wszystkich swych wysokich godności najbardziej cenił sobie ksiądz Bakalarczyk rangę kapelana. Przepadał za żołnierzami, a oni za nim. Co niedziela, żeby spieszonym szwadronom ułanów przyjemniej się było modlić, przystrajał dla nich kościół w biało-amarantowe chorągiewki i zwisające wzdłuż nawy głównej ogromne girlandy przetykanej bibułkowymi kwiatami zieleni. Dlatego, potem kiedy mu się zmarło, ułani, też bodaj co niedziela, stroili jego grób takimi samymi chorągiewkami. Dziś nikt tego nie czyni, żołnierze siódmego pułku leżą na polach chwały pod Mławą, Dobrem, pod Kałuszynem, pod Kockiem, a w mieście stacjonuje jednostka. Jednostki niezbyt podobno kochają swych kapelanów.

Ale miłość księdza kanonika-kapelana do jego ułanów nie była ślepa. O nie! Przedtem może parę niezbędnych wyjaśnień. Do naszej parafii, poza miastem, należało tuzin wsi. Toteż na sumie aż w oczy biła zieleń, czerwień, fiolet i barwy buraczane kołbielskich pasiaków, salinówek w kwiaty oraz sznurów kolorowych szklanych paciorków, zwanych koralami. Ksiądz Bakalarczyk, rumiany i pyzaty jak księżyc w pełni, wstępował na ambonę i wygłaszał podniosłe kazania w osobliwej mowie, którą uważał za gwarę mazurską. Posługiwał się tą niby-gwarą w przeświadczeniu, że jego wywody zyskają w ten sposób na zrozumiałości wśród słuchaczy i słuchaczek, nabiorą większej siły przekonania i poza tym dodadzą włościanom pewności siebie, gdyż na pewno onieśmiela ich świadomość niedostatecznej biegłości w polszczyźnie literackiej. Metoda okazała się nieco zawodna. Jedni parafianie wyrażali we własnych rodaków rozmowach ubolewanie, że dobrodziej nie bardzo dobrze po polsku umieją, inni, czy raczej inne, że jest „przedrzeźniachą" i obśmiewa się z nich.

„Ej, ty Kasiu Kasieńku! — podnosił dramatycznie z ambony głos, a ja wzruszałem się niemało i raz nawet zapłakałem jak bóbr. — Ano zdarza się, że cię namawia żołnierz na szpacjer. A ty, pozierosz, Kasiu: toć ułon śliczny kiej malowanie! A ułon powiado: „takie tutej krzacki, wielachnie pikne, chodźze, panna, w te krzacki. A ty se, Kasiu Kasieńko, myślis: „a nic mi ta nie ubądzie, kie pódę z ułanem w krzacki!". A tak! Ubyć to ci, Kasiu Kasieńko, nic nie ubądzie, isto prawda, ale przybyć ci może!".

A przy końcu mszy z mocą, od której mury kościelne truchlały, szyby same dzwoniły, organy milkły, rozkazywał Panu Bogu Wszechmogącemu, śpiewając:

Zachowaj, Panie, Rzeczpospolitą
na-aaaaszszszą!

I sługę Jej Ignaceeeeego!

Było bardzo wesoło u nas w soboty, kiedy ksiądz Bakalarczyk razem z księdzem Dziągiem, ukochanym katechetą wielu roczników uczniowskich, składali nam swoje uszanowanie. Poza księżmi przychodzili: pan poseł, dyrektor Gimnazjum Męskiego, Ignacy Rowicki ze swą małżonką posłową Wandą Rowicką nauczycielką, przychodził pan dyrektor Gimnazjum Panieńskiego Kazimierz Okrza-Strzelecki. Przychodziły dwie przyjaciółki matki ze szkoły i od serca: panna Halina Wieczorkiewiczówna — muzyczka i panna Hanna Sobolewska — polonistka, a o trzy stopnie schodów za nimi pan profesor Roman Parczewski, zwany „naszym kochanym Parczeniem" albo „Romciem".

Matka mówiła, jak zwykle, kawały, co prawda świątobliwsze ze względu na obecność duchownych osób. Ojciec mówił nieraz o swych przygodach studenckich w czasach wawelbergowskich, a także zachęcał gorąco, również i księdza kanonika, do uprawiania ćwiczeń sokolskich, zwłaszcza gimnastyki na drążku. Po spałaszowaniu legumin i kisłów żurawinowych goście grali w talara. Trzymali na stole dłonie i śpiewali: „Talar tu, talar tam, talar biega wszędzie sam" i talar z Marszałkiem biegał od dłoni do dłoni. Jeszcze bardziej lubili goście grać w „tatę i mamę". Ktoś wychodził do drugiego pokoju. Ci, co zostali, szybko naradzali się nad wyborem dwóch takich przedmiotów, z których o jednym mówi się „ten", o drugim „ta" i oba posiadają jakiś pozwalający na śmieszne odpowiedzi związek: na przykład korek i karafka. Po wybraniu „taty" i „mamy" klaskano, żeby tamten z drugiego pokoju już przyszedł i zadawał wszystkim pytania na temat właściwości mamy i taty. Zapytani musieli mówić prawdę, ale tak, by zgadywankę utrudnić i żeby wypadło najśmieszniej. Jeżeli zgadywacz był bystry i szczęście mu dopisało, po kilku pytaniach odgadywał prawidłowo. Bystry był i pan Stefan Rogowski, ale raz przedwcześnie uwierzył, że już wie iż „mama" to róża, i właśnie zadał księdzu Bakalarczykowi ostatnie jak sądził, pytanie, już tylko dla upewnienia się:

— Proszę księdza kanonika, czy mama pachnie?

Ksiądz Bakalarczyk mocno się zawstydził, zrobił się czerwony jak prawdziwy pomidor i powiedział — Nie wąchałem.

A że „mamą" nie była róża, tylko pani Rowicka (a „tatą" pan Rowicki), wszystkim zrobiło się wesoło, a ja się śmiałem najwięcej.

Kiedyś na wiosnę matka przypomniała sobie, co katolik obowiązany jest zrobić raz koło Wielkiej Nocy we własnej parafii albo w cudzej. Poszła więc do kościoła, o którym zawsze mówiła, że jest stanowczo za daleko i że chodzić tam jest nie na matki siły. Kościół był pełen grzeszników i wszystkie konfesjonały zostały zajęte przez spowiadających. Matka koniecznie chciała wypatrzeć jakiegoś księdza nieznajomego, gdyż znajomemu nie chciała przyznawać się do swoich śmiertelnych grzechów. Ale księża spowiadający poprzymykali drzwiczki od konfesjonałów, i przez to nie było widać, kto gdzie siedzi. Co począć? Wtem matka spostrzegła, że przez kościół idzie spiesznie ksiądz Józef Dziąg. Zatrzymuje go i zwierzywszy się ze swego kłopotu prosi o wskazanie, gdzie siedzi ksiądz całkiem obcy, który nie będzie wiedział czyich grzechów słucha. Ksiądz Dziąg uśmiechnął się „po Dziągowemu", z cicha pękł, i wskazał na któryś mniej oblężony konfesjonał, mówiąc, że spowiada w nim prałat ze stołecznego miasta Warszawy, szambelan Jego Świątobliwości Piusa XI, a taki oto spowiednik, że równego mu świat i Korona Polska nie posiada. Matka szybko klęknęła i ku swojej konsternacji dojrzała przez kratki dobroduszne oblicze... właśnie księdza Bakalarczyka. Bo księdza Dziąga czasem się żarty trzymały.

Trudna rada! Matka zła jak sto diabłów zaczyna: „Proszę ojca duchownego nie chodziłam w niedzielę do kościoła". Wyraz jowialnego zdumienia na uśmiechniętej twarzy kanonika: „Co? Pani inżynierowa nie chodziła do kościoła? Nie uwierzę! Nie uwierzę!".

Matka wybąkała jakieś grzechy guzik ważne, a wyspowiadała się tak naprawdę dopiero w swoim rodzinnym miasteczku w Siedlcach.

Teraz będę już mówił tylko o rzeczach smutnych.

Ksiądz Bakalarczyk pieniądze, jakie posiadał, złożył u naszego miejscowego milionera, który dorobił się miliona, bo miał łeb do interesów. Ksiądz Bakalarczyk wcale nie był łasy na pieniądze. Potrzeb wielkich nie miał, żył skromnie, mówił nieraz żartem, że na tamten świat pieniędzy ze sobą nie weźmie, bo tamten świat jest bogaty i całkiem inny pieniądz tam kursuje — duchowy, najpiękniejszy. A że żył skromnie, to choć i na pieniądze nie był łasy, coś tam grosza mu się uzbierało, a uzbierane miało swe przeznaczenie: przeznaczył je na posagi dla jakichś dziewcząt ze wsi, z której pochodził, a które były „bez morgów", ponieważ w dawnych dobrych czasach panny bez posagu nie mogły liczyć na znalezienie męża i posiadanie dzieci. Ksiądz Bakalarczyk złożył pieniądze u milionera, bo milioner obiecał księdzu spory procent, a ponieważ miał łeb do interesów, pieniądze pewne były u niego jak w banku. Niestety, nastał niespodziewanie kryzys! O wiele więksi milionerzy niż milioner z naszego miasta w ciągu godziny wszystko stracili. Nawet i życie, bo z tego zmartwienia z najwyższych okien drapaczy chmur powyskakiwali. Splajtowały banki, w których pieniądze były jeszcze bardziej pewne niż u naszego bogacza. Nasz bogacz, choć splajtował, żył, tymczasem zaś ksiądz Bakalarczyk tak się przejął nieoczekiwaną niemożnością ufundowania posagów biednym pannom ze swojej wsi, że pękło mu serce.

Pogrzeb miał piękny. Przed trumną, zaraz po krzyżu jechali ułani z chorągiewkami na lancach okrytymi krepą. Niesiono order Virtuti Militari księdza podpułkownika. Prowadzono także białego konia, chociaż ksiądz Bakalarczyk nigdy jakoś konno nie jeździł i nie bardzo wiem, czy nawet potrafił jeździć, ale był księdzem podpułkownikiem, a na pogrzebach podpułkowników i generałów musiał był obowiązkowo prowadzony koń. Kasie Kasieńki, urodziwe kiej malowanie, szły za trumną i razem ze staruchami śpiewały zająkliwie „Serdeczna Matko". Nad otwartą mogiłą mówiono, strzelano, znów mówiono... A potem nastała cisza...

Dorosłem i stałem się uczniem. Uczniowie uczyli się na religii ministrantury — rzecz jasna, po łacinie — i parami służyli do mszy. Byliśmy parą z kolegą Lewasiem. Kolega Lewaś miał zwyczaj spóźniać się co rano na lekcje. Cóż dopiero do kościoła na ranną mszę. Ranne msze odprawiało się przecież jeszcze raniej. Ale na te msze nie przychodzi zbyt wielu ludzi, toteż nowy ksiądz wikary, przezwany z powodu niskiego wzrostu „Księdzem Kusiu" (mnie też przezywano, ale inaczej) zwykle cierpliwie czekał na Lewasia i nie martwił się tak bardzo jego bezwstydnym spóźnianiem. „Msza nie zając — mówił w zakrystii. — Minuta wcześniej czy później? Niebo się od tego nie zawali"... Już czwarty raz pod rząd spóźniał się Lewaś. Ale pięć minut upłynęło, i już nawet „Kusiu" zmarkotniał. Ustawiliśmy się, żeby wyjść we dwoje, gdy oto Lewaś się zjawił, a raczej wpadł jak bomba. Włosy miał zjeżone jak u jeża. Nie mówił, tylko dyszał i dyszał. Nie było już czasu na cackanie się z nim. Pociągnąłem za bieżniczek z dzwonkiem i wyszliśmy: my pierwsi, ksiądz z kielichem mszalnym za nami.

Ledwo ksiądz zaczął Introibus, zauważyłem z przerażeniem, że Lewaś zachowuje się jak myszegenekuku. Zamiast powiedzieć: „Et introibo ad altare Dei, ad Deum, jui laetificat iuventutem meam", plótł niczym Piekarski na męki. A to przysłowie z niemca: „Morgen, morgen, nur nicht heute", to znów deklinację: „rana, ranae..." i nadal miał włosy zjeżone. Przez to sam musiałem za niego przenosić ciężki mszał z jednej strony ołtarza na drugą i podać księdzu rozwinięty w wachlarz ręczniczek, choć to były powinności Lewasia.

Po mszy gonił do szkoły jak wariat. Ledwie mogłem nadążyć. Już jakby trochę wrócił do siebie. Kiedy szkoła była już tak blisko, a czasu tyle, że nie sposób się było spóźnić, zwolnił trochę i wyjawił mi w sekrecie przyczynę swojego niemądrego zachowania się i lęku. Spóźniony, jak zwykle, wszedł na cmentarz nie głównym wejściem, lecz od strony ogrodu plebanijnego.

Wtem widzi Lewaś i to tak blisko, że prawie nadział się na umarłego: sam duch księdza kanonika zbliża się do niego... Tu muszę przerwać opowieść Lewasia, bo zapomnialem wspomnieć, że jedyną rzeczą, jakiej poczciwy ksiądz Józef Bakalarczyk naprawdę nienawidził, było spóźnialstwo i wszelka niepunktualność. Duch księdza Bakalarczyka spojrzał Lewasiowi w twarz zielonkawo świecącymi jak fosfor oczyma, niecierpliwie wskazał ręką na drzwi od zakrystii i szepnął, może jęknął, a może tak tylko Lewasiowi w uszach zadzwoniło: „Bóg czeka, lud czeka, spiesz".

— Bujasz. Z ciebie taka, wiesz... stara bujaka! — powiedziałem wzruszywszy ramionami i biegiem! — bo zobaczyłem, że woźny Kuć już wyszedł z dzwonkiem na dziedziniec i o mały włos byśmy się przez te jego bujdy na resorach spóźnili...

Stałem się studentem. Nastał sierpień „roku pamiętnego" — jak nazwała ten rok piosenka już niebawem wyśpiewywana w pociągach przez inwalidów.

Wieczorem prosto ze stacji poszedłem na wieczorną mszę w naszym kościele. Zdałem dziś w Warszawie nadliczbowy egzamin, chciałem bowiem zostać królem studiów na polonistyce i Doroszewski, który dopiero co wrócił z jakiejś konferencji zagranicznej i już pojutrze miał się wybrać swoim ogromnym motocyklem nad morze, zgodził się mnie przedterminowo przeegzaminować. Nie można być świnią... należało Panu Bogu podziękować za moje sukcesy naukowe. Prócz podziękowania miałem w zanadrzu do Niebios — jakby to powiedział książę Bogusław Radziwiłł — prywatkę. Chciałem pomodlić się o przyjazd jeszcze w tym tygodniu Baśki z Wilna do domu. Był już najwyższy czas, żeby się z nią ostatecznie i po męsku rozmówić: kiedy bierzemy ślub i kiedy urządzimy oficjalne zaręczyny z wymianą pierścionków.

Ksiądz Kusiu wyszedł z mszą. Chyba odprawiał ją bez ministranta. Może służył mu kościelny? Jakoś nie pamiętam. Modląc się, dziękowałem jak przystało za powodzenie w studiach, prosiłem o powodzenie w planach narzeczeńsko-małżeńskich... Coś w połowie mszy przekonałem się, niestety, na sobie, co to znaczy „duch silny, ale ciało mdłe". Zmęczenie egzaminem, napięcie, a potem odprężenie dały teraz o sobie znać: modliłem się mniej uważnie i bodaj przy Oratef, fratres powieki opadły mi na oczy.

Kiedy je niemal natychmiast otwarłem, spostrzegłem ze zdumieniem, że właśnie czytana jest Druga Ewangelia, więc za chwilę koniec mszy. A poza tym... Nie odprawia jej wcale ksiądz Kusiu, lecz... jakiś inny ksiądz. Znajomy, tylko jakby dawno nie widziany. Musiałem nadwerężyć sobie oczy tym ryciem po nocach, bo widziałem go jak przez mgłę. Trzeba chyba pójść do okulisty, żeby mi może szkła przepisał — pomyślałem. Po „descendat super vos et maneat semper" ksiądz ukląkł i zaintonował głosem błagalnym, dziwnie jakby — kościstym i wychodzącym spod ziemi:

Zachowaj, Panie, Rzeczpospolitą
I sługę Jej...

Nie dosłyszałem tym razem imienia, za to rozpoznałem głos i postać nieżywego księdza. Klęczał w fioletowym ornacie, w jakim odprawia się mszę w dni męczenników.

■

JERZY WILMAŃSKI

Dwa portrety

Margrabia Wielopolski ma cyniczne oczy
jest opasły nadęty
widać malarzowi nie dość zapłacono

Rejtan ma błyski w oczach
piękne i mistyczne
i ten gest dramatyczny
Polska jest w tym geście
który urzekł malarza

Margrabia Wielopolski cyniczny i brzydki
Rejtan piękny
wciąż piękny
choć minęły lata

Wielopolski zmarł w Dreźnie
trawiony niesławą
Rejtan wrócił na Litwę
i w śmierć uciekł samotnie
trawiony obłędem

Obaj zmarli
na polską odwieczną chorobę

Nie liczmy dzisiaj zasług
gestów i rozumu
Na wschodzie i zachodzie
dwa groby Polaków

Więc pochylmy głowy

Nie wiersz, lecz gorycz

Kiedy zapada zmrok
kłęby mgły płyną ulicami
z rachitycznych lasów
mojego przedmieścia

Kiedy zapada zmrok
i Mazurek w eterze gaśnie
— otoczony tysiącem książek
w moim ojczystym języku —
składam zdania z słów
wyjętych ze słownika pana Doroszewskiego
Spisuję myśli
brzmiące mową dziadków

Kiedy zapada zmrok
słucham wycia windy
z niepokojem że drzwi załomocą
na moim ósmym piętrze

Kiedy zapada zmrok
odczytuję
— wnuk więźnia Cytadeli —
obelżywe słowa
wyjęte z polskiego słownika

Kiedy zapada zmrok
w moim ojczystym kraju
na tajnych posiedzeniach
spisuje ktoś wyroki
i układa długie listy nazwisk

W moim ojczystym kraju
kłębi się sina mgła
noce są coraz dłuższe
coraz większy żal
i coraz trwalsze krzywdy

Kiedy zapada zmrok
wszystko staje się cieniem
i nie rodzą się wiersze
lecz gorycz i zwątpienie

Więc mówimy
jak ślepi z głuchym
o kolorach

Gdzieś tam larum grają
Śwdzie Marsz żałobny

Oślepli na symbole
i głusi na hymny
porządkujemy myśli
jak zużyte rymy

Rozmowa I

Zrobiło się chłodno
po letniej ulewie

Jeszcze błyskają flesze
dalekich piorunów
choć nie słychać gromu

Wsłuchujemy się w ciszę
nie wiedząc
czy po burzy
czy jeszcze przed burzą

Nasze słowa rzucone
bez ładu i składu
w mglistą czeluść dnia

Biała mgła
jak wata wypełnia nam uszy
osiada na rzęsach

Rozmowa II

Co ci mam wytłumaczyć
gdy cię dusi sen
gdy falują obrazy
jak mgła w telewizorze

Co ci mam wytłumaczyć
gdy pękają skronie
jak miażdżony obcasem
delikatny orzech

Co ci mam wytłumaczyć
rzuconemu w fale
które cię poniosą
dokąd — nie wiadomo

Co ci mam wytłumaczyć
stojącemu w polu
gdy trwasz w oczekiwaniu
na jasny błysk gromu

W kręgu fantastyki

STAN CLUB

Prezydent

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Twarz przyciśnięta do błotnistej, cuchnącej ziemi, w ustach wstrętny posmak popiołu i oleju. Dłonie, wbite kurczowo w zrytą pociskami trawę, drżą.

„Blok F 1300789 0 — łączenie. 00788 0 Kontakt. Kontakt"

Delikatne, ledwie dosłyszalne strzępy myśli-sygnałów, których nie da się wypowiedzieć słowami. Z trudem napiął mięśnie rąk i podniósł głowę. Otworzył oczy.

Pomiędzy osmalonymi, powykręcanymi demonicznie kikutami drzew zalegają trupy. Dziesiątki, setki trupów w czarnych kurtkach lub fioletowych panterkach. Niektóre już się rozkładają, w innych znać jeszcze resztki ludzi. Kilka rozbitych czołgów, działo, wrak zestrzelonego samolotu. Wszystko płonie.

Słabość mięśni ustępuje powoli. Vandini klęka, rozcierając dłońmi twarz, potem wstaje. Szum w głowie. Powoli wraca świadomość.

Stał obok spalonego czołgu, twarzą ku szczytowi Linare. Za nim rozciągało się szerokie, pokryte zwęgloną łąką zbocze. Na pobojowisku nie było widać żadnego ruchu — zastygło w spokojnym świetle zachodzącego słońca. Cisza po burzy. Wtedy, gdy prowadził swych żołnierzy do natarcia, był świt.

Usiadł na gąsienicy czołgu. Z rozbitej wieżyczki wionął na niego swąd spalonego mięsa. Przejechał dłonią po kieszeniach munduru i znalazł w jednej z nich zapomnianego przed bitwą papierosa. Z rozkoszą zaciągnął się błękitnym, gorzkim dymem.

Papieros już parzył go w palce, gdy usłyszał czyjeś szeleszczące kroki. Ostrożnie wyjrzał zza wieżyczki. Po pobojowisku szło kilku żołnierzy w czarnych mundurach, z zielonymi opaskami sanitariuszy na ramionach. Szli powoli, zatrzymując się przy każdym leżącym. Na niektórych patrzyli tylko przez moment i odchodzili, szybko odwracając głowy. Przy innych zatrzymywali się dłużej: jeden z nich klękał i przykładał dłoń do nasady szyi leżącego. Potem wstawał, kręcąc przecząco głową i cała trójka przechodziła kilka metrów dalej.

Vandini zsunął się z pancerza czołgu i opanowując chwilowy zawrót głowy wyszedł ku nim chwiejnym krokiem.

Prowadzący patrol żołnierz spojrzawszy na jego dystynkcje zasalutował zamaszyście:

— Kapral Minaren z trzeciej brygady specjalnej.

Vandini podniósł rękę do czoła. Poczuł nagle potworne zmęczenie i słabość w kolanach. Otworzył usta, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć osunął się na ziemię, pogrążając się w ciemności.

Ocknął się w namiocie, na posłaniu z suchych liści. Ręce, brzuch i piersi miał owinięte bandażami. Było ciemno.

Spróbował się podnieść. Czyjeś drobne ręce ujęły go za ramiona.

— Połóż się — usłyszał nad uchem kobiecy szept. — Jesteś jeszcze za słaby.

Osunął się na miękkie liście. W słabym blasku świecy dostrzegł czyjąś ciepłą, pochyloną nad nim troskliwie sylwetkę.

— Pić... — wyszeptał, z trudem rozwierając spieczone wargi. Kobieta przytknęła mu do ust metalowy kubek. Pił długo, z początku drobnymi łykami, potem coraz bardziej łapczywie, aż do dna.

— Kiedy będę mógł wrócić na front? — zapytał po chwili.

Kobieta nachyliła się nad nim.

— Leż spokojnie — powiedziała cicho — pójdę po komendanta.

Podniosła się i wyszła z namiotu. Przez chwilę, gdy uniosła zakrywające wejście płótno, Vandini zobaczył ciemne, gwiaździste niebo i owiało go chłodne powietrze nocy. Wciągnął je chciwie do płuc. Przymknął oczy i leżał tak, wsłuchując się w cichy rytm swego serca i nie myśląc o niczym. Po kilku minutach — a może była to godzina? — płótno zaszeleściło znowu i do namiotu weszło dwóch mężczyzn.

— Jestem major Randin — przedstawił się jeden z nich — dowódca zgrupowania Haare. A to porucznik Halfest, lekarz.

Vandini zasalutował, usiłując podnieść głowę.

— Kapitan Vandini, dowódca specjalnej grupy operacyjnej rejonu wzgórz Livhen. To znaczy chyba... byłej grupy operacyjnej...

— Miał pan ogromne szczęście — powiedział major.

— A mój oddział?

— Niestety. — Niedobitków włączyłem do swojej dywizji. Uformowałem z nich niepełne dwa plutony.

— Prawie nic... — Vandini przymknął oczy — szkoda ich.

— Mógłby nam pan opowiedzieć przebieg bitwy?

— Może kiedy indziej, potem — wtrącił się Halfest. — To mogłoby...

— Dostałem rozkaz — zaczął Vandini — by za wszelką cenę bronić wzgórz od południa. Natarli na nas w nocy, najpierw zbombardowali wszystko i ostrzelali z dział, a potem rzucili czołgi. Spaliliśmy sporo, reszta musiała się wycofać. Wtedy znowu położyli na nas ogień, tylko tym razem bardziej skuteczny, i znowu zaatakowali. Robili tak z pięć razy. Za szóstym doszli już prawie do połowy stoku, wtedy poderwałem resztę oddziału do ataku, to już był raczej gest rozpaczy niż przeciwdziałanie. Gdzieś blisko mnie wybuchł granat. To wszystko.

Mówił coraz szybciej, nerwowo. Oczy miał zamknięte. Na chwilę znalazł się znowu na polu bitwy. Tępe ryje miażdżących wszystko czołgów, ryk samolotów, płonąca ziemia. Zacina mu się automat. Repetuje kilka razy, potem odrzuca daleko — niepotrzebne żelastwo. Wyrywa szeregowcowi miotacz, „Naprzód! Naprzód!" Nie słyszy własnych słów. Cekaemista rozpaczliwym gestem pokazuje, że nie ma już amunicji. Bagnety. Wyskoczyć z okopu, prosto na czołgi, bieg, spazmatyczny skurcz mięśni. Aby tylko zdążyć go dosięgnąć. Strzał, strumień ognia oblewa stalowego potwora. Wybuch. Ognisty kołowrót. Ziemia, wyrwana spod stóp, potworną siłą zwala się na bezwładne barki i plecy. Półotwarte, oślepłe oczy pokrywa powoli warstwa opadającego pyłu. I cisza...

Cisza. Tylko gdzieś daleko grają ukryte w trawie cykady. Powoli rozluźnił napięte kurczowo mięśnie. Oddychał głęboko.

— Ma pan kilka ran od odłamków — mówił Halfest — ale żadne ważne narządy nie zostały uszkodzone. Wyliże się pan z tego szybko.

— Dobrze... A co działo się potem?

Randin poruszył ramionami.

— Przejechali po pana oddziale, przelali się za grzbiet góry. Na szczęście właśnie wtedy nadeszliśmy tam i zaatakowaliśmy ich z marszu, gdy rozbijali obóz. Mogę pana pocieszyć, że w tej bitwie odnieśli znacznie większe straty niż my.

— Dobrze... powtórzył machinalnie Vandini.

Chwila milczenia.

— Kiedy będę mógł wrócić na front? — zapytał Halfesta.

— No cóż... — zastanowił się porucznik — minie co najmniej tydzień, zanim będzie pan mógł wstać z łóżka.

— Na pewno wstanę wcześniej.

— Nie ma takiej potrzeby — wtrącił się Randin. — Nie rozpoczniemy działań ofensywnych wcześniej, niż za dwanaście dni. Musimy się dobrze przygotować do ostatniego skoku.

— Więc to już teraz?

— Tak. Ruszamy do ostatecznej ofensywy.

Vandini uśmiechnął się szeroko.

— Więc wreszcie... Głupio by było zginąć tak blisko końca.

Przymknął oczy i po chwili spał już zdrowym, głębokim snem.

Prezydent Althion nie próbował już kryć swego zdenerwowania. Nie ukrywał go tez generalissimus Martio ani nikt inny z uczestników tajnej narady sztabu głównego. Tylko pułkownik Narylin siedział niewzruszony, rozparty wygodnie w fotelu, a jego tępa twarz nie wyrażała niczego, poza niewzruszoną wiarą w ostateczne zwycięstwo i lepsze jutro VII republiki.

— Sytuacja, panie prezydencie, jest tragiczna — stwierdził generalissimus podchodząc do wielkiej mapy. — Ponosimy klęskę za klęską. Zdobycie wzgórza Linare przed dwoma tygodniami kosztowało nas siedmiuset żołnierzy i kilkadziesiąt czołgów. Udało nam się je utrzymać tylko przez kilka godzin.

— Kontraatak? Pisał pan w raporcie, że grupa Vandiniego została doszczętnie rozbita.

— Tak, to prawda. Ale wkrótce potem nasze oddziały zostały zaatakowane znienacka przez inną bandę, o której obecności w tym rejonie nawet nie wiedzieliśmy.

— Jak to nie wiedzieliście! To co, u cholery, robią wasi ludzie?

Martio przetarł palcami obrzmiałe bezsennością powieki. Nie miał czasu na odpoczynek, dopiero przed kilkunastoma minutami wrócił z terenu walk, i chociaż podróż tę odbył zbudowanym specjalnie dla niego helikopterem, dała mu się ona porządnie we znaki.

— Nasi ludzie nie mogą już poruszać się inaczej, niż w sile najmniej plutonu, eskortowanego przez wozy pancerne. Pojedynczy żołnierze są bezlitośnie mordowani przez wieśniaków. Straciliśmy w ten sposób wiele patroli. Miejscowi ludzie nie chcą nam udzielać żadnych informacji o partyzantach, nawet torturowani. To nie jest ta sama wojna, którą prowadziliśmy przed dwudziestoma laty. Teraz wszyscy są przeciwko nam.

Althion zacisnął szczęki.

— Trzeba być dla nich twardymi. Jak najtwardszymi.

— Byliśmy dla nich twardzi przez wiele lat, panie prezydencie, i uzyskaliśmy tylko tyle, że są teraz odporni jak stal. Nie możemy walczyć jednocześnie z bandami i z ludnością.

— Nie mamy wyboru. — Prezydent wygodnie rozsiadł się w fotelu. — W każdym razie mamy przynajmniej pewność, że Vandini zginął?

— Chyba tak...

— Zginął z pewnością, panie prezydencie — wtrącił się pułkownik Biganov. — Widziałem jego trupa po bitwie o Linare.

— Szkoda, że nie mamy jego zwłok. No, trudno. Wiadomość o jego śmierci powinna być dla nas cennym atutem. Szkoda, że dopiero teraz do nas dotarła. Jutro podadzą o tym stacje telewizyjne i prasa.

— Nikt już nie ogląda naszej telewizji, ani nie czyta naszych gazet, panie prezydencie.

— Nieważne. Vandini nie żyje, będą o tym wiedzieć. Taaak... za bardzo wyrósł, zbyt wielki zdobył sobie rozgłos wśród ludności.

— Niektórzy uważali go za kandydata na dyktatora w wypadku zwycięstwa rebeliantów — dorzucił brygadier Hore.

— Nie, tak wysoko by nie zaszedł — pokręcił głową Martio. — Jeżeli już, ten fotel przypadł by raczej Randinowi, albo Hakayanowi... — w tym momencie Martio zreflektował się, że snucie takich rozważań w obecności, jak by nie było, wciąż jeszcze sprawującego swój urząd prezydenta VII republiki Manwenu nie jest zbyt bezpieczne.

Althion splótł ręce na piersiach.

— Nie traćmy czasu na głupie gadanie. — powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Mamy na głowie sprawy ogromnej wagi. Musimy jak najprędzej rozpocząć ofensywę przeciwko bandom.

— Inicjatywa przeszła w ich ręce...

— Trzeba ją im odebrać!

— To niemożliwe, panie prezydencie. Nasze wojska gonią resztkami sił, podczas gdy ich stają się coraz silniejsze. Logiczniej byłoby skracać linię frontu wokół stolicy, tym bardziej, że i tak w całym kraju wybuchają rozruchy i musimy zostawiać za frontem oddziały dla ich dławienia.

— Te rozruchy ucichną, jeśli zniszczymy bandy Randina i Hakayana.

Martio rozłożył bezradnie ręce i usiadł ciężko na fotelu.

— Gwardia jest w rozsypce. Nie podoła takiemu wysiłkowi.

Prezydent podrapał się nerwowo po szyi.

— W takim razie... postaram się o bezpośrednie wsparcie militarne Ziemian. Gdy przyślą swych żołnierzy, sytuacja zmieni się radykalnie na naszą korzyść.

— A jeżeli nie przyślą?

— Przyślą. Muszą przysłać. Sprzedałem im tę planetę dwadzieścia lat temu, biorą z niej wszystko, od uranu po korzenie aranii. Zwycięstwo rebeliantów to dla nich koniec. Nigdy do tego nie dopuszczą.

Nikt nie zaprzeczał. Przez dłuższą chwilę trwała cisza.

— A więc, panowie generałowie — przerwał ją wreszcie Althion — proszę mi jutro przedstawić plan zlikwidowania band w ich siedliskach przy współpracy z Ziemskim korpusem interwencyjnym.

Prezydent Althion mylił się jednak w swych rachubach; w chwili, gdy nakazywał swoim generałom podjąć przygotowania do wejścia w góry, powstańcy podchodzili już pod gwardyjskie umocnienia na nizinach. Dzień wcześniej major Randini i pułkownik Hakayan zwinęli swoje obozy w lasach i rozpoczęli dwoma kolumnami marsz ku dolinom. Randin szedł na północ, wąwozem Ledi, by u jego wyjścia zaatakować Fort Althion, główną bazę wypadową oddziałów gwardii prezydenta. Wąwóz zapewniał stosunkowo duże bezpieczeństwo marszu, ale fort uchodził w całym kraju za symbol potęgi dyktatora. W dodatku dywizja musiała atakować go z marszu, gdyż bunkry i okopy gwardzistów sięgały w głąb wąwozu, a nadzieję na powodzenie akcji dawało tylko natarcie z zaskoczenia.

Grupa Hakayana była liczniejsza, ale słabiej uzbrojona, zwłaszcza w broń pancerną. Zajmując bowiem południową część gór staczała mniej walk z gwardią, niż oddziały Randina, miała więc mniej okazji do zdobycia sprzętu. Przypadły jej do sforsowania umocnienia gwardii pod Minthere. Były one słabsze od umocnień fortecznych Althionu, ale droga do nich wiodła po odsłoniętych stokach, narażając oddział na częste ataki lotnictwa. Jednocześnie więc grupa Hakayana miała przyjąć na siebie główne uderzenia gwardii, odwracając jej uwagę od innych oddziałów. Wiedząc o tym Randin zwolnił nieco marsz, chcąc, by Hakayan zaatakował pierwszy. Hakayan zrobił zresztą to samo.

Za dwoma głównymi zgrupowaniami ruszyły dziesiątki innych, mniejszych, które niezdolne do przeprowadzania samodzielnie większych bitew szarpały patrole i konwoje gwardzistów. Wkrótce też zaktywizowały swą działalność oddziałki bazujące w dolinach, w ocalałych tam resztkach lasów.

— Zbliża się rozstrzygnięcie — powiedział Vandini do swoich żołnierzy na ostatnim postoju, kiedy do fortu pozostało już tylko kilkanaście kilometrów. — Kiedy zdobędziemy Althion pozostanie nam już tylko marsz na stolicę i powieszenie prezydenta na latarni.

— Ktoś zaśmiał się ponuro. Żołnierze nie byli w nastroju do żartów. Szli na samym czele kolumny i im właśnie przypadło zdobywanie fortu w pierwszej linii. Wiedzieli, że większość z nich zginie w tej bitwie. Że to nie oni będą wieszać Althiona.

— No, a na razie w tył rozejść się, macie piętnaście minut na ostatni odpoczynek przed bitwą.

Dwuszereg rozsypał się na dziesiątki pojedynczych żołnierzy, którzy porozchodzili się na boki i zdejmując na chwilę broń siadali lub kładli się w wysokiej trawie.

Kapitan został sam na wiodącej środkiem wąwozu wstążce piaszczystej drogi. Przez chwilę wpatrywał się w jaśniejące powoli, opuchłe niebo. Do świtu pozostawało jeszcze ponad dwadzieścia minut, ale niebo było już prawie jasne. Noce na Manwenie zawsze były jasne i krótkie, jakby na złość powstańcom.

Usłyszał za sobą cichutki warkot motoru. Prawie niedosłyszalny. Dobra, gwardyjska maszyna — czasem przejedzie o kilkadziesiąt metrów nie zauważona.

Powiódł wzrokiem po linii horyzontu i odwrócił się. Na łącznikowym, zdobycznym motocyklu podjechał ku niemu porucznik Halfest. Zatrzymał się, zasalutował niedbale (taki był wśród powstańców fason: salutowało się zawsze niedbale, jakby od niechcenia) i powiedział głośno, trochę za głośno w tej porannej ciszy:

— Major pyta, czy nie zmienił pan swego zdania.

— Nie. Sam poprowadzę swych żołnierzy do ataku. To mój obowiązek.

— W takim razie przynoszę panu rozkaz majora, aby natychmiast opuścił pan pierwszą linię i zameldował się do służby sztabowej.

Vandini oparł rękę na lufie przewieszonego przez plecy automatu i powoli podszedł do motocykla.

— Powiedz, że odmawiam wykonania tego rozkazu.

— Znakomicie — mruknął Halfest cicho, tak, by nie usłyszeli tego żołnierze. Zsiadł z motocykla, oparł go na wysuniętej podstawce i stanął koło Vandiniego.

— INSTRUKCJA — powiedział ściszonym głosem — Doprowadzisz żołnierzy do drugiej linii umocnień. Kiedy zobaczysz atakujące czołgi, wrócisz się i przyczaisz w jednym z bunkrów. Trzynaście minut po rozpoczęciu natarcia Randin ze sztabem zjawi się na polu walki. Po wykonaniu zadania wrócisz do żołnierzy i poprowadzisz atak na sam fort. KONIEC.

— Tak — odpowiedział cicho Vandini.

Halfest odwrócił się i podszedł do motoru, wzruszając ramionami. Z daleka wyglądało to jakby bezskutecznie przekonywał Vandiniego do zmiany decyzji, tak właśnie miało to wyglądać.

— Radziłbym jednak panu zmienić zdanie — krzyknął Halfest i ruszył, znikając po chwili w głębi wąwozu.

Vandini usiadł na kamieniu obok drogi. Wysoko przeleciał zwiadowczy samolot; niedobrze, może dostrzec poruszenie w wąwozie. A gdyby tak spróbować zdjąć go z nieba? Ręka machinalnie sięga po broń. Za późno, już zniknął, słychać tylko warkot silnika.

Zebrał żołnierzy i poprowadził ich na pozycje wyjściowe.

Cztery minuty przed świtem niebo wybuchło. Lejkowate wyjście z wąwozu pokryła gruba warstwa gotującego się pyłu, dymu i ognia. Wszystkie miotacze rakiet i działka, jakie miała do dyspozycji dywizja Randina strzelały na przedpole, by rozryć ziemię, pozrywać z niej zasieki, wyłuskać i zdetonować miny. Jakieś działo strzeliło za krótko i pocisk eksplodował pośród żołnierzy. Rozległy się jęki — pierwsi ranni.

Vandini spokojnie zapalił papierosa. Podniósł się z ziemi przesunął automat z pleców za rękę. Wał ognia przetoczył się dalej, nie uczyniwszy zresztą prawie żadnych szkód gwardyjskim umocnieniom. Powstańcy nie mieli dział, które mogłyby naruszyć potężne bunkry. Jedynym ich atutem było zaskoczenie.

— Naprzód! — ryknął, usiłując przekrzyczeć huk wybuchów — Naprzód!

Machnął lufą automatu i rzucił się pierwszy, pociągając za sobą falę żołnierzy.

— Naprzód! Za Manwen! Za ojczyznę!

C.D.N.

Rys. P. Ulatowski

WSPÓŁREDAGUJE WARSZAWSKI SFAN-CLUB,
ALEJE JEROZOLIMSKIE 2, GROTEKA, 00-375 WARSZAWA

Trzy wywiady 2

Przed tygodniem cytowaliśmy opinie prof. Szkłowskiego, zaczerpnięte z książki Wiktora Osiatyńskiego „Zrozumieć świat", a poświęconej rozmowom z uczonymi radzieckimi. Profesor Szkłowski twierdzi, iż najprawdopodobniej jesteśmy sami w kosmosie, natomiast dwaj jego radzieccy koledzy — prof. Giliarow, ekolog, oraz prof. Charadze, astrofizyk, podobnie jak Szkłowski — mówią o szansach ekspansji człowieka poza Ziemię.

EKSPANSJA JUŻ SIĘ ZATRZYMAŁA — WYWIAD Z PROF. MERKURYM GILIAROWEM

(...) — Żaden gatunek — mówi prof. Giliarow — nie ma świadomego wpływu na to, w jaki sposób zmieni środowisko, a więc i na to, czy przetrwa, czy też będzie musiał wymrzeć. Człowiek natomiast może świadomie wpływać na otaczające go warunki. To decyduje o jego wyższości nad pozostałym światem biologicznym oraz stwarza mu szansę przetrwania jako gatunku. Nawet najbardziej nieprzychylne warunki może zmienić na korzystne dla siebie.

— Czy wynika to z jakichś swoistych właściwości biologicznych człowieka?

— Nie z biologicznych, lecz ze społecznych. Pojedynczy organizm nie przetrwałby w wielu środowiskach, w jakich z powodzeniem żyją całe społeczności. Ale społeczeństwo może stworzyć człowiekowi dogodne warunki do życia niemal w każdym miejscu.

— Nawet w kosmosie?

— Co do kosmosu nie jestem zbytnim optymistą. Gatunek ludzki jest przystosowany do życia na Ziemi, a nie gdzie indziej. A przecież nie chodzi o to, czy człowiek jako gatunek będzie mógł przystosować się do życia na Księżycu lub na Marsie. Raczej o to, że społeczeństwo ludzkie jest w stanie stworzyć dla ekspedycji, które tam pojadą, sztuczne warunki na tyle dobre, że ci „wysłannicy" będą mogli tam przetrwać przez nawet dość długi okres, nie ginąc. Już dziś człowiek może przebywać kilka miesięcy poza Ziemią. Jeśli jednak chodzi o możliwość przeniesienia się na stałe całego gatunku lub wielkich grup w kosmos, to wydaje mi się to czystą fantazją.

— A więc ekspansja naszego gatunku będzie musiała zatrzymać się w granicach Ziemi?

— Już się w zasadzie zatrzymała...

CYWILIZACJA MUSI DOKONYWAĆ EKSPANSJI — WYWIAD Z PROF. JEWGIENIJEM CHARADZE

Zgoła odmiennego zdania jest prof. Jewgienij K. Charadze, który nie zgadza się również z osądami profesora Szkłowskiego.

— Panie profesorze — pyta Wiktor Osiatyński — **czy zgadza się pan z poglądem prof. Szkłowskiego, który od pewnego czasu kategorycznie twierdzi, że wysoko rozwinięta cywilizacja jest unikalna i istnieje tylko na Ziemi?**

— Osobiście byłbym bardziej ostrożny. W zasadzie bowiem nie można wykluczać możliwości istnienia życia gdzieś w nieskończonym wszechświecie. Samo życie w swych gatunkach i formach jest tak różnorodne, a warunki we wszechświecie są tak zróżnicowane, że jest całkiem prawdopodobne, iż na niektórych ciałach kosmicznych mogą istnieć warunki sprzyjające pojawieniu się jakiejś formy życia.

— Czy forma ta musiałaby być podobna do znanych u nas, na Ziemi?

— Niekoniecznie. To „życie" mogłoby istnieć w innych formach, zupełnie nam nie znanych. W każdym razie nie powinno się kategorycznie wykluczać możliwości istnienia życia poza Ziemią. Tym bardziej, że w ostatnich dziesięcioleciach astronomowie wykryli w odległych galaktykach cząsteczki związków organicznych. A to już jest bardzo istotny argument przemawiający za możliwością istnienia jakichś form życia we wszechświecie.

— Ale, jak dotychczas, są to jedyne — i też bardzo niepewne — argumenty na rzecz hipotezy o istnieniu życia poza Ziemią...

— Istotnie... Żadnych innych dowodów — a nawet wskazówek — przemawiających za istnieniem życia na innych planetach, czy to w naszej galaktyce, czy gdzieś dalej we wszechświecie, nie znamy. I tu dochodzimy do sedna problemu. Uważam bowiem, że możliwości techniczne i naukowe, którymi obecnie dysponuje ludzkość, wciąż jeszcze nie są wystarczające, by prowadzić rozsądne poszukiwania przejawów cywilizowanego życia we wszechświecie.

— Niekiedy jednak uważa się, że nasłuch i wysyłanie odpowiednich sygnałów radiowych może być wystarczającym środkiem do zlokalizowania ewentualnych cywilizacji pozaziemskich.

— Trudno na to liczyć, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, nie mamy żadnych podstaw, by przypuszczać, że właśnie za pomocą takich środków, czyli sygnałów radiowych, jakakolwiek cywilizacja stara się dać nam o sobie znać. Po drugie natomiast, gdyby nawet przyjąć takie założenie, to prawdopodobieństwo, że sygnały te będą skierowane akurat ku nam i zostaną przez nas odebrane, jest znikome.

— A czy istnieje możliwość, by jakaś cywilizacja rozwijała się „do wewnątrz", nie wysyłając żadnych fal?

— W tej sprawie zgadzam się całkowicie ze Szkłowskim: cywilizacja powinna rozwijać się w kierunku przestrzeni zewnętrznej.

— Włączając w to bezpośrednią ekspansję fizyczną?

— Chyba tak. Całe nasze ludzkie doświadczenie wskazuje, że cywilizacja powinna dokonywać ekspansji.

— To znaczy, że można by ją jakoś „znaleźć". A czy w ogóle istnieje jakiś sens poszukiwania cywilizacji pozaziemskiej? Jakie mogłyby być konsekwencje znalezienia rozumnego życia we wszechświecie?

— Jak już powiedziałem, uważam, że ludzkość dotąd jeszcze nie dojrzała do tego, by prowadzić rozsądne poszukiwania cywilizacji pozaziemskich. Nie ma na to jeszcze środków.

(...) — Pozostańmy jednak jeszcze na chwilę przy kwestiach teoretycznych. Otóż często spotyka się opinię, że znalezienie cywilizacji bardziej rozwiniętej od naszej mogłoby być swego rodzaju ratunkiem dla ludzkości. Znaczyłoby to bowiem, że potrafiła ona rozwiązać różnego rodzaju kryzysy — choćby energetyczny, ludnościowy, etyczny itp. — które miałyby być charakterystyczne dla naszego poziomu rozwoju.

— Widzi pan, ja w ogóle nie dopuszczam pojęcia cywilizacji, która stałaby na wyższym niż nasza poziomie rozwoju. Dopóki jej nie znamy, najwyższą cywilizacją jest nasza. Gdybyśmy natomiast ją odnaleźli i zdołali poznać jej osiągnięcia — od razu stalibyśmy się równie cywilizowani jak oni, i wtedy tamta cywilizacja już nie byłaby wcale wyższa od naszej. Bo samo jej poznanie i zbadanie byłoby równoznaczne z tym, że potrafilibyśmy wykorzystać jej zdobycze, a więc zrównać się z nią...

(...) — A czy nie sądzi pan, że w wyniku oswajania kosmosu, będzie on nam coraz bardziej powszedniał? Że nie będzie już natchnieniem dla poetów i artystów?

— Myślę, że jest i będzie odwrotnie. Wtargnięcie człowieka w przestrzeń kosmiczną jest równoznaczne z rozszerzeniem sfery ludzkiej aktywności. I jest zupełnie oczywiste, że wraz z człowiekiem w sferę tę wejdą ludzkie interesy. Także sztuka. (...)

— Ale chyba zgodzi się pan, że podbój kosmosu w pewnym sensie „odbiera chleb" autorom powieści fantastyczno-naukowych, z których większość tradycyjnie dotyczyła tego podboju wszechświata.

— Absolutnie nie. Rzeczywiście nasza epoka to epoka fantastycznych osiągnięć nauki. Toteż czasami uważa się, że w obliczu tych dokonań nie ma już o czym fantazjować. A to nieprawda. To, że człowiek postawił stopę na Księżycu, jeszcze nic nie znaczy. Teraz można fantazjować o tym, jak zbudować na Księżycu osiedla dla ludzi albo jak wylądować na innych planetach. Nic nie ogranicza możliwości dalszego rozwoju fantastyki. A nawet konieczności jej rozwoju, bo przecież fantastyka jest niezbędnym warunkiem wszelkich poszukiwań naukowych; swego rodzaju awangardą nauki.

— Chodzi o to, że fantastyka jak gdyby podpowiadała uczonym, w jakim kierunki mogą iść?

— Oczywiście, bo z samej swojej natury jest wolna od ograniczeń i rygorów, jakie z konieczności istnieją w nauce. I dlatego uważam, że bez tej nieskrępowanej wyobraźni zawartej w literaturze fantastyczno-naukowej właściwe poszukiwania naukowe rozwijałyby się o wiele słabiej i wolniej.

Wybrał: J. P.

Gdzie podzieli się goście

KIRYŁ BUŁYCZOW

Do powitania Labulian przygotowywano się bardzo uroczyście. Goście z tak odległej gwiazdy nigdy jeszcze nie gościli w systemie słonecznym.

Jako pierwsza odebrała sygnały Labulian stacja na Plutonie, a w trzy dni później nawiązało z nimi łączność londyńskie radioobserwatorium.

Choć goście byli jeszcze daleko, kosmodrom Szeremietiewo - 4 w pełnej gotowości oczekiwał ich przybycia. Dziewczęta z „Czerwonej Róży" przybrały go girlandami kwiatów, a słuchacze akademii poezji przygotowali montaż słowno-muzyczny. Wszystkie ambasady zarezerwowały miejsca na trybunach, a korespondenci prasowi nocowali w bufecie kosmodromu.

Alisa w tym czasie przebywała niedaleko, na daczy we Wnukowie i zbierała rośliny do zielnika. Chciała skompletować zielnik lepszy niż miał Wania Szpic ze starszej grupy i dlatego nie brała udziału w przygotowaniach do uroczystego spotkania. Nic o nim nawet nie wiedziała.

Ja w przygotowaniach również nie brałem udziału. Moja praca zacznie się później, kiedy Labulianie już wylądują.

A tymczasem wydarzenia rozwijały się w sposób zupełnie nieprzewidziany.

Ósmego marca Labulianie zakomunikowali, że wchodzą na orbitę kołową. Chyba właśnie w tym momencie miał miejsce tragiczny zbieg okoliczności. Zamiast labuliańskiego statku, stacje naprowadzania namierzyły zgubiony dwa lata wcześniej szwedzki sputnik „Nobel-3". Kiedy odkryto pomyłkę, okazało się, że statek gości przepadł. Już zszedł do lądowania i chwilowo utracono z nim łączność.

9 marca o godzinie 6.33 Labulianie zakomunikowali, że wylądowali w rejonie 55°20' szerokości północnej i 37°40' długości wschodniej według ziemskiego systemu współrzędnych z dopuszczalnym błędem 15 minut, to znaczy niedaleko od Moskwy.

Następnie łączność ponownie urwała się i poza jednym przypadkiem, o którym opowiem później, nie udało się jej ponownie nawiązać. Okazało się, że promieniowanie ziemskie szkodliwie oddziaływało na aparaturę Labulian.

W tym momencie setki samochodów rzuciło się w rejon lądowania gości. Drogi były zapchne poszukującymi. Kosmodrom Szeremietiewo-4 opustoszał. W bufecie nie pozostał ani jeden korespondent. Niebo w okolicach Moskwy usiane było śmigłowcami, ornitopterami, wirolotami i różnymi innymi latającymi aparatami. Wydawało się, że nad ziemią zawisły chmury olbrzymich komarów.

Gdyby nawet statek Labulian zapadł się pod ziemię i tak zostałby wykryty.

Ale nie znaleziono go.

Żaden z miejscowych nie widział lądującego statku. Było to tym dziwniejsze, że w tym czasie prawie wszyscy mieszkańcy Moskwy i okolic patrzyli w niebo.

To znaczy, że zaszła pomyłka.

Pod wieczór, kiedy wróciłem z pracy na daczę, całe normalne życie na planecie było zakłócone. Wszyscy bali się, czy gości nie spotkało coś złego.

— Może — spierano się na kolei jednoszynowej — oni są z antymaterii i wyparowali w momencie wejścia w ziemską atmosferę?

— Bez wybuchu, bez żadnego śladu? Bzdura!

— A co my właściwie wiemy o właściwościach antymaterii?!

— W takim razie kto nadawał, że wylądowali?

— Może jakiś żartowniś?

— Żartowniś, dobre sobie! W takim razie może to on też rozmawiał z Plutonem?

— A może oni są niewidzialni?

— To i tak zostaliby wykryci przez aparaty...

Ale mimo wszystko wersja, że goście są niewidzialni zjednywała sobie coraz więcej zwolenników...

Siedziałem na ganku i myślałem: „A może Labulianie wylądowali tuż obok, na sąsiednim polu? Stoją teraz biedacy obok swojego statku i dziwią się, dlaczegóż to ludzie nie chcą zwrócić na nich uwagi. Jeszcze trochę, a obrażą się i odlecą..." Już prawie chciałem zejść na dół i udać się na to właśnie pole, gdy ujrzałem szereg ludzi wychodzących z lasu. Byli to mieszkańcy sąsiednich dacz. Trzymali się za ręce, jakby bawili się w dziecięcą grę „Chodzi lisek koło drogi".

Domyśliłem się, że sąsiedzi wcześniej wpadli na ten sam pomysł i po omacku szukają niewidzialnych gości.

I w tym momencie, nagle, odezwały się wszystkie światowe radiostacje. Przekazywały treść komunikatu, wychwyconego przez radioamatora z Australii Północnej. W komunikacie powtórzone zostały współrzędne, a potem następowały słowa:

„Jesteśmy w lesie... Wysłaliśmy pierwszą grupę na poszukiwanie ludzi. W dalszym ciągu odbieramy wasze komunikaty. Jesteśmy zdziwieni brakiem kontaktu...".

Na tym łączność urwała się.

Wersja, że goście są niewidzialni zdobyła wkrótce jeszcze kilka milionów zwolenników.

Z tarasu widziałem, jak rząd letników zatrzymał się, a potem zawrócił w kierunku lasu. W chwilę później na taras weszła Alisa z koszykiem poziomek w ręku.

— Dlaczego oni wszyscy tak biegają? — zapytała nie przywitawszy się.

— Kto „oni"? Należy powiedzieć „dzień dobry", jeśli się od rana nie widziało swojego jedynego ojca.

— Od wieczora. Spałam, kiedy odjeżdżałeś. Dzień dobry, tato. A co się stało?

— Labulianie się zgubili — odpowiedziałem.

— Nie znam ich.

— Nikt ich jeszcze nie zna.

— To w takim razie jak się zgubili?

— Lecieli na Ziemię. Przylecieli i się zgubili.

Czułem, że opowiadam głupstwa, ale przecież to była czysta prawda.

Alisa spojrzała na mnie podejrzliwie.

— A czy tak się zdarza?

— Nie, nie zdarza się. Zazwyczaj nie.

— To oni nie znaleźli kosmodromu?

— Najprawdopodobniej.

— I gdzie się zgubili?

— Gdzieś pod Moskwą. Być może całkiem niedaleko stąd.

— I ich szukają helikopterami i pieszo?

— Tak.

— A dlaczego oni sami nie przyjdą?

— Pewnie czekają, aż do nich przyjdą ludzie. Przecież są pierwszy raz na Ziemi. Więc nie oddalają się od statku.

Alisa zamilkła, zapewne usatysfakcjonowana odpowiedzią, jakiej jej udzieliłem. Przespacerowała się dwa razy wzdłuż tarasu nie wypuszczając z rąk koszyka z poziomkami. Potem zapytała:

— A oni są w polu, czy w lesie?

— W lesie.

— A skąd wiesz?

— Sami powiedzieli. Przez radio.

— To dobrze.

— Co dobrze?

— Że nie w polu.

— Dlaczego?

— Przestraszyłam się, że to ich widziałam.

— Jak to?

— Nic, nic, żartowałam tylko.

Zerwałem się z krzesła. Tak w ogóle to Alisa bardzo lubi zmyślać.

— Nie chodziłam do lasu, tato. Słowo honoru, że nie. Byłam tylko na polance. To znaczy, że nie ich widziałam.

— Alisa, opowiadaj wszystko, co wiesz. I nic nie dodawaj od siebie. Widziałaś w lesie dziwnych... ludzi?

— Słowo honoru, nie byłam w lesie.

— No dobrze, na polanie.

— Nie zrobiłam nic złego. I oni wcale nie są dziwni.

— Odpowiedzże po ludzku, gdzie i kogo widziałaś? Nie męcz mnie i całej ludzkości zarazem.

— A ty też jesteś ludzkość...?

— Posłuchaj, Alisa...

— No dobrze, oni są tu. Przyszli ze mną.

Mimowolnie rozejrzałem się. Taras był pusty. I jeśli nie liczyć buczącego trzmiela, nikogo, prócz mnie i Alisy, nie było na nim.

— Nie, nie tam patrzysz. — Alisa westchnęła i podeszła bliżej. Powiedziała: — Chciałam ich sobie zostawić. Przecież nie wiedziałam, że szuka ich cała ludzkość.

I wyciągnęła do mnie koszyk z poziomkami. Podsunęła mi go pod same oczy i ja, sam sobie nie wierząc, wyraźnie rozróżniłem dwie figurki w skafandrach. Były umazane poziomkowym sokiem i siedziały obie na jednej poziomce.

— Nie zrobiłam im krzywdy — powiedziała Alisa skruszonym głosem. — Myślałam, że to krasnoludki z bajki.

A ja już nie słuchałem. Czule przyciskając do piersi koszyczek pędziłem do wideofonu i myślałem, że trawa mogła się im wydawać wysokim lasem.

Tłumaczenie: EWA MILERSKA

Opowiadaniami o Alisie, dziewczynce, „której nigdy nie stanie się nic złego", rozpoczęliśmy swego czasu nasz flirt z fantastyką. Dziś publikujemy dalszy opowiadanie z tego cyklu, które nie zmieściło się wszelako w tomie „Ludzie jak ludzie", a co za tym idzie nie jest znane polskim czytelnikom.

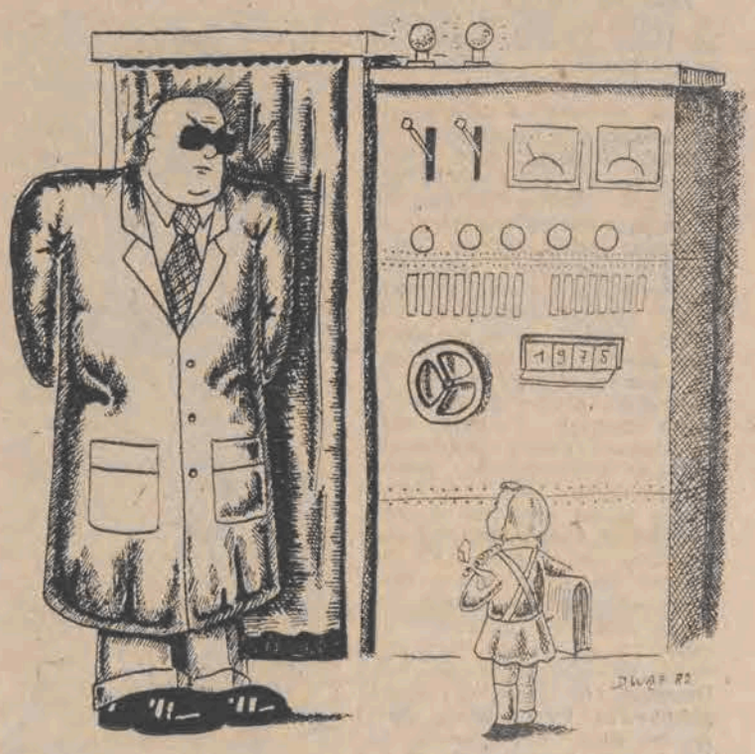

Rys. Dariusz Wąż

KOLUMNA AJENCYJNA

Pamiętnik intymny 6

7 LUTEGO

Nareszcie śnieg i mróz. Co za ulga, że nie ma już tego okropnego błota. Jak dobrze pójdzie, to nasze jedyne zimowe buty wytrzymają jakoś do wiosny.

10 LUTEGO

Śniegu coraz więcej. Dzieci — a jest ich, jak na każdym nowym osiedlu, bardzo dużo — bawią się doskonale: przed blokami porobiły sobie ślizgawki, na sankach zjeżdżają z usypanej przez koparkę sterty ziemi obok fundamentów nowego bloku. Niektóre usiłują także jeździć na nartach. No proszę — a tyle się mówi, że na nowych osiedlach nie ma placów zabaw...

15 LUTEGO

Zepsuł się nam telewizor — akurat w połowie tego filmu, który pokazywali ostatnio piąty raz. Małgosia zna już na pamięć prawie wszystkie dialogi. Zdolna dziewczyna, co?

W poniedziałek odruchowo wcisnęła klawisz i dopiero po dłuższej chwili zorientowałem się, że próżno czekam na pojawienie się obrazu. Popołudnie trwało bez końca. Czuliśmy się trochę tak, jakby nagle opuścił nas ktoś bliski. Dziś było już znacznie lepiej i zastanawialiśmy się nawet, czy warto oddawać telewizor do naprawy. Raz — że drogo. Dwa — że ten ktoś nie był chyba wcale aż tak bliski, jak nam się w pierwszej chwili wydawało. Trzy — że Tadek, mój kolega z pracy, też oddał — i co? Kiedy w wyznaczonym terminie zgłosił się po odbiór, okazało się, że jego telewizor gdzieś się zawieruszył. Przeszukano cały punkt naprawczy — bez rezultatu. — No cóż, chyba zginął — oświadczył spokojnie mechanik i zaproponował spisanie na tę okoliczność stosownego protokołu. — Ależ szefie — zirytował się Tadek — ja mam żonę i dzieci! — Przecież panu nie urodzę — odciął się tamten — więc chyba lepiej spisać, prawda? Spisali. Wyszło na to, że Tadek za stary i brzydki telewizor dostał nowego, pięknego Chopina i parę Waryńskich, które zaraz przepił w pobliskiej knajpie, bo na trzeźwo bał się wracać do domu. Od miesiąca zamiast w telewizor, opowiada Tadek, co wieczór z nadzieją patrzę temu Chopinowi głęboko w oczy, ale to okropnie uparty facet — nie chce nic zagrać i już.

17 LUTEGO

Zima na całego. Dzieciaki po prostu szaleją, za to dorośli jakby zupełnie zapomnieli, że też kiedyś byli młodzi. Niektórzy starają się nawet omijać co większe ślizgawki, ale nie zawsze jest to możliwe, by dotrzeć do domu, więc chcąc nie chcąc też sobie trochę pojeżdżą. I bardzo dobrze, bo ruch na świeżym powietrzu, to zdrowie. Jestem ciekaw, kto z naszych sąsiadów regularnie gimnastykuje się lub uprawia jakieś sporty? Założę się, że prawie nikt. I jakie są potem tego skutki? Ano takie, że gdy by sąsiadka z trzeciego (ta, co to puściła plotkę o dodatkowych talonach na buty) więcej czasu i uwagi poświęcała kulturze fizycznej, na pewno nie złamałaby nogi na ślizgawce przed wejściem do naszej klatki schodowej. Teraz tłumaczy się wykrętnie, że to dlatego bo nie posypano ślizgawki piaskiem. Nonsens! Nie po to robi się ślizgawki, by sypać na nie piasek. Poza tym dzieci stale się ślizgają i nic. Dlaczego? Bo mają w szkole gimnastykę, bo uprawiają sporty, bo dużo przebywają na świeżym powietrzu. Oto cała tajemnica.

WYCINANKI

Wszystko

W Sztumie korespondencyjny bank ofert „Pro-Omnia" umożliwia kupno — sprzedaż wszystkiego". Albo enklawa z drugiej Polski, albo spekulacyjna melina, gdzie nie dotarło ZOMO.

Ogłoszenie

„Kółka nosowe do buhajów za zaliczeniem wysyła Warsztat". Milion byków w kolczykach, krowy na sznurku, bo nie ma łańcuchów.

Smutne

„Dlaczego świnie chudną w oczach"? — pyta „Chłopska Droga". I sama odpowiada: „Człowiek jest ze świnią za pan brat od siedmiu tysięcy lat". A my pytamy: „Kimże więc się staje człowiek w oczach świni?".

Eksperci

„Entuzjaści podpowiadają władzy, że problem pijaństwa można rozwiązać przy pomocy kefiru" — stwierdza „Życie Pabianic". Zawsze znajdą się eksperci, co chcą władzę wprowadzić w błąd, lecz rząd nie jest naiwny.

Stypa

Z powieści w „Gromadzie — Rolniku Polskim": „Stypa musiała przybrać charakter nieoczekiwany, bo w chwili, gdy urzędnik nas minął, dobiegł stamtąd niesamowity wrzask. Później wszczął się rumor i rozległ się trzask i łomot". To wrócił nieboszczyk przebrany za urzędnika...

(rb)

Ciepła woda

Zebranie zwołano w suszarni. Winda akurat działała, więc stawili się wszyscy. Prezes Mokrasek przyniósł trzy pękate segregatory. Pokazał je i powiedział:

— Nasz dorobek za ostatnie półrocze.

Inżynier od wodociągów bezradnie rozłożył ręce.

— Robimy, co możemy, ale — spojrzał po nas ze smutkiem — bez rezultatów. Dlatego poprosiliśmy docenta Grajcarka, niech nauka nam pomoże.

Na środek suszarni wyszedł niski mężczyzna o sumiastych wąsach i w okularach.

— Szanowni zebrani! — zaczął. — Nasz instytut zawsze stoi blisko życia. W aspekcie uwodnienia mieszkań znaleźliśmy się w czołówce, ale to nie przeszkadza, że mamy problemy. Wasz który polega na permanentnym braku ciepłej wody w rurach, nie jest nam obcy. Zbadaliśmy go dokładnie...

— I ona wtedy do niego — rozległ się w kącie przejmujący szept — ty chamie, moje młode życie zmarnowałeś, moją miłością pogardziłeś i teraz zostawiasz mnie z bachorem...

To pani Knapikowa relacjonowała ostatnie nowości z bloku.

— Dla kompleksowego rozwiązania waszej sprawy potrzeba jeszcze czasu — kończył tymczasem docent.

— Ile? — zawołał dziadzio Zyzio.

— No... — docent spojrzał na inżyniera. — Tego...

— Niech pan mówi — powiedział inżynier. — Badania naukowe wymagają czasu.

— No, właśnie — ucieszył się docent. — Potrzeba nam jeszcze... pół roku!

W suszarni zahuczało.

— Proszę o spokój!! — wołał inżynier.

Nikt go nie słuchał. Wyszli więc oburzeni obaj, inżynier z docentem. Zostaliśmy sami.

— Słuchajcie! — dziadzio Zyzio uspokoił hałas. — Trzeba coś zrobić.

— Ale co? — zapytał Józek Piekarczyk.

— Sami będziemy robić ciepłą wodę — powiedział na to stary Stolarski. — A bo to nie potrafimy.

— Ale jak, jak? — wołano zewsząd.

— Prosto. Obok, w pralni są kotły i gaz. Będziemy grzali wodę i wlewali ją do rur. Od jutra bierzemy się do roboty.

Mamy więc już ciepłą wodę. Jest z tym trochę kłopotu. Na górze trzeba ciągle dyżurować i grzać wodę. Ale jakoś dajemy sobie radę.

Niedawno bardzo uśmieliśmy się, bo prezes Mokrasek przyniósł wiadomość, że w instytucie docenta Grajcarka ciągle jeszcze biedzą się nad naszym problemem.

KLEMENS KOBYLAK

Zdjęcie romantycznej dziewczyny z różą przysłał pan Andrzej K. Przysłał także dwa inne i napisał do nas, że na fotkach widnieją panie Ewa, Magda i Monika. Ponieważ nie napisał która jest która informujemy rzetelnie, że widoczna powyżej pani ma na imię Ewa lub Magda ewentualnie Monika. Pozostałe dwie panie także w swoim czasie zaprezentujemy.

Zdjęcie wybrał pan Andrzej K. ze swego — jak pisze — „albumu pamiątek z młodości".

RODZYNKI

Szachowa demokracja: pionek i król mają jednakowe kratki.

* * *

Ze wszystkich mebli hokeiści najmniej lubią ławkę kar.

* * *

Gdyby kobieta ubierała się tylko dla jednego mężczyzny, nie trwałoby to tak długo.

* * *

Jeżeli ktoś jest dobrze wychowany, to kto ponosi za to odpowiedzialność: rodzina czy szkoła?

* * *

Czy należy zwracać się do lekarza przy zawrotach głowy od sukcesów?

* * *

Nic nie mieli z sobą wspólnego. Oprócz dzieci.

* * *

Zie to zero, które nie marzy o tym, żeby zostać nimbem.

Wątpliwe gusty dyktatora

Nie brak na świecie hobbistów i kolekcjonerów wszelkiej maści, a wśród nich zbieraczy przedmiotów związanych ze sławnymi osobistościami, nawet jeśli zasłużyli u potomnych na złą sławę. W niedługi czas po zakończeniu ostatniej wojny Billy F. Price z amerykańskiego stanu Texas wpadł na pomysł kolekcjonowania obrazów i rysunków, stanowiących wynik artystycznych usiłowań Hitlera, jeszcze nim został wodzem Trzeciej Rzeszy. Kolekcjoner wydał niedawno w Monachium album pt. „Adolf Hitler jako malarz i rysownik" — z 800 reprodukcjami, do nabycia za 64 marki.

Z zachodnioniemieckiego tygodnika „Der Spiegel" wybraliśmy dwie spośród zamieszczonych tam fotografii aby dać Czytelnikowi pewne wyobrażenie o skali zainteresowań i możliwości tego niedoszłego artysty, którego działalność upamiętniła nam się niestety od całkiem innej strony.

Przedstawiamy więc niniejszym: ogromnie ckliwą „Matkę Boską" z 1913 r. i akt, z 1929 r., przedstawiający Angelikę Raubal, długoletnią kochankę Hitlera (zresztą — był jej wujkiem), która wkrótce przed jego dojściem do władzy zginęła tragicznie w nie wyjaśnionych okolicznościach.

jk

PROSTO Z GŁOWY

Wiek złoty

1.

Z wielką niechęcią wspominam do dziś mojego gimnazjalnego łacinnika. Był to złośliwy, kościany dziadyga, który zmuszał nas do brania korepetycji u swoich znajomych, domagał się, przyjeżdżania na wykopki do swojej podmiejskiej posiadłości (nauczyciele poczynali sobie całkiem nieźle finansowo w carskich czasach!) oraz kazał opowiadać pikantne szczegóły z życia naszych dorastających sióstr.

2.

Przezywaliśmy go Zeus. Do dziś nie wiem dlaczego, bo ze swoim małym wąsikiem bardziej przypominał późniejszego dyktatora Niemiec niż Zeusa, ale o tym nikt z nas nie mógł jeszcze wtedy wiedzieć.

3.

Nikt z nas nie przypuszczał jeszcze wtedy, że to właśnie panowie z wąsami odegrają w ciągu najbliższych osiemdziesięciu lat tak poważne role w naszej historii.

4.

Zeus zamęczał nas do obrzydzenia „Metamorfozami" Owidiusza. „Aurea prima sata est aetas quae vindice nullo." Te zdania do dzisiaj są moim sennym koszmarem. „Pierwszy był wiek złoty, w którym choć nie było sędziego ni praw, dochowano wierności i przestrzegano uczciwości". Musieliśmy to znać na pamięć.

5.

Kazał nam też w to wierzyć — dawniej świat był lepszy i szlachetniejszy. Dziś jest gorszy. Jutro będzie jeszcze gorszy.

6.

Z nienawiści do łacinnika zacząłem myśleć całkiem odwrotnie — świat zmierza ku lepszemu, jutro będzie lepiej, a pojutrze bardzo dobrze. Tak myślałem i tak mi zostało. Na zawsze.

7.

Przeszłość. — W roku 1928 stanął na Bielanach „Nasz Dom" — nowoczesny internat dla dzieci robotniczych, sierot. Patronat nad jego budową, a i późniejszym funkcjonowaniem objęła Aleksandra Piłsudska, zapewniając dyrekcji niezależność w dziedzinie wychowania i doboru personelu. Na zebraniu towarzystwa opiekuńczego Janusz Korczak prosił, aby nikt z odwiedzających nie zajeżdżał pod „Nasz Dom" samochodem, bo widok limuzyn nie jest w tym miejscu pożądany.

Aleksandra Piłsudska zostawiała swój samochód za zagajnikami i przychodziła piechotą. Do internatowej kuchni.

8.

Przeszłość — W 1933 roku przestał wchodzić do ścisłego grona współpracowników Marszałka jeden z najwierniejszych i najbardziej oddanych, pułkownik Stanisław Miedziński. Przyczyną odsunięcia była jego niegospodarność jako ministra poczt i telegrafów oraz nadużywanie dla celów osobistych funduszu dyspozycyjnego.

9.

Rację miałem ja — świat się udoskonalił. Dziś nikt już nie zwraca uwagi na takie drobiazgi!

XAWERY

1 Zdarzenia i zwierzenia

Kryminały

Na łamach miesięcznika „Literatura" — obok Choromańskiego, Kawalca i — oczywiście — Putramenta — gości także Jerzy Edigey, polska Agata Christie w spodniach. Autor ten napisał około czterdziestu „kryminałów" różnej wartości, z których zresztą żartowałem niegdyś w „Odgłosach".

Trudno było nie żartować, kiedy szybkość pisania rodziła w książkach Jerzego Edigey'a zabawne pomyłki, jak np. w historyjce o waluciarzu z powieści „Zbrodnia w południe". Oto ona:

„Różnie opowiadał o tym, dlaczego utyka na nogę. Podobno kiedyś usiłował sprzedać dwum chłopom złotą dwudziestodolarówkę. Była fałszywa i żeby dobrze dzwoniła zrobiono ją z porcelany czy też z kryształu. Chłopi już wyciągnęli gotówkę, ale temu, co trzymał, moneta wypadła z łapy. Na chodniku stłukła się w drobny mak. Baran zaczął uciekać, ale klienci go dognali i dali taki wycisk, że aż złamał rękę". Koniec cytatu.

A więc złamał rękę i dlatego utyka na nogę?

No cóż, pośpiech gubi przestępcę. W pośpiechu zapomina się o drobiazgach, w pośpiechu popełnia się błędy. No i wreszcie przy kolejnym „skoku" czytelnik bywa mądrzejszy.

W „Literaturze" Edigey także się spieszy. Na pierwszej szpalcie swojej „etiudy kryminalnej" pisze: „zabójstwo młodej mężatki, Genowefy P. zamieszkałej razem z mężem w Bydgoszczy przy ul. Śląskiej".

Natomiast w szpalcie piątej czytamy, że Genowefa P. została zamordowana w jej własnym mieszkaniu przy ul. Siennej". No więc, w końcu gdzie ją zamordowano? Czy to ma być zagadka kryminalna, czy to jest pośpiech w pisaniu, gdy autorowi mylą się ulice?

Ale książki Jerzego Edigey'a są czytane i, prawdę mówiąc, ich poziom jest względnie przyzwoity. Nie dorównują one co prawda egzotyką międzywojennym powieściom Antoniego Marczyńskiego, nie dorównują precyzją i pomysłowością powieściom Agaty Christie, ale i tak są najlepsze w kręgu polskiej współczesnej literatury rozrywkowej..

Bywa przecież, że za „kryminał" bierze się jakiś „poważny" pisarz i wtedy mamy często naprawdę kuriozalne utwory. Edigey traktuje swoje pisarstwo nie jak posłannictwo, ale po prostu jak rzemiosło, dostarczające czytelnikom „czytadła" na dwie godziny.

No i bardzo dobrze.

Taka jest bowiem funkcja literatury rozrywkowej. Żeby tylko nie była pisana w zbytnim pośpiechu, żeby autor nie mylił nazwisk własnych bohaterów oraz żeby mu się nie mieszała ręka z nogą...

„Kryminały" Jerzego Edigeya mają jedną wielką zaletę, która korzystnie wyróżnia je od innych utworów z tego kręgu. Zaletą tą są polskie współczesne realia, mnogość drobiazgów, konkretów i obserwacji obyczajowych, które sprawiają, że te książki mają — oprócz „kryminalnej" atrakcyjności — także spore walory poznawcze.

I jeśli powieści Edigey'a tłumaczą na kilkanaście języków, to przecież właśnie dlatego, że oprócz intrygi kryminalnej mają te książki egzotyczną (np. dla Japończyka czy Francuza) panoramę dnia powszedniego kraju między Bugiem a Odrą.

JERZY WILMAŃSKI ■

2 Lewym okiem

„Za pośpiech mi nie płacą"!

„Przegląd Tygodniowy" zamieścił w 4 numerze nie podpisane wyznania początkującej pielęgniarki o szoku, jakiego doznała w zetknięciu z rzeczywistością naszych szpitali. To był w ogóle czarny numer „Przeglądu". Oprócz wspomnianych wyznań, zatytułowanych rozpaczliwie „Chcę krzyczeć długo i głośno", zaserwowano nam artykuł o obrabowaniu nieprzytomnych ofiar wypadku drogowego, o zamordowaniu czternastolatka przez jego prawie rówieśników dla paru groszy łupu, o koszmarnej doli starców, nie znajdujących miejsca w Domu Opieki. Usiąść i płakać. Jeden numer tygodnika: błysk światła na naszą, psiakrew, rzeczywistość.

Jak można się było spodziewać, ruszyły do kontrataku oburzone świętości — mówię na razie o pielęgniarkach. Pewnie zaprotestują jeszcze z gromkim biciem w największe dzwony powołania, poświęcenia, Służby, absolutnej bezinteresowności itd. — uczniowie szkół zawodowych, którzy nie morduja kolegów i Cyganie nie okradający nieprzytomnych ludzi. Albowiem — jak wiadomo — tylko o urzędnikach wolno u nas zawsze i wszędzie wypisywać co się komu żywnie podoba, tylko oni nie reagują listami do redakcji o 78 podpisach, kiedy przeczytają prawdziwą zresztą — historię gehenny biurokratycznej, jakiej aparat urzędniczy przysparza tak często obywatelowi!

Można było spodziewać się kontrataku, ale jego zawziętość jednak nas zaskoczyła. To, co panie pielęgniarki uznały za protest przeciw fałszywym informacjom, to zbiór namiętnych inwektyw i wyklinań, odsądzeń od jakichkolwiek cech ludzkich autorki Przeglądowego artykułu. I co drugie zdanie: zdziwienie, że artykułu swego nie podpisała. Kto się jeszcze dziwi po tym popisie nienawiści, jaki znaleźliśmy w numerze 7 „Przeglądu"?

Byłem pewny, że jeśli zostaną dopuszczeni do głosu pacjenci, ich ocena będzie bliższa rewelacjom śmiałej dziewczyny, niż jej przeciwniczkom. Proszę bardzo — już mamy listy pacjentów w 8 numerze „Przeglądu". Też nie podpisane i też się nie dziwię. Każdy z nas bywa od czasu do czasu pacjentem szpitalnym, gdzie musi się zdać na łaskę dziewcząt w białych fartuszkach. Ta łaska może się łatwo stać niemożliwą do zniesienia, lepiej się nie podpisywać.

Leżałem kiedyś — niezbyt dawno — w szpitalu, gdzie warunki pracy dla sióstr były idealne, szpital prosto spod igły, nowoczesny. To właśnie tam sparaliżowany chory otrzymał potężną dawkę środka przeczyszczającego zamiast zupełnie czegoś innego, i tam przez parę dni nie otrzymywałem ważnego leku — jak się potem okazało „przez przeoczenie" pielęgniarki — i tam naglony do pośpiechu pracownik z butlą tlenową, odwarknął: „za pośpiech mi nie płacą". W innym szpitalu dwukrotnie „gdzieś się zapodziały" wyniki ważnych i kosztownych badań, a o zastrzykach musiałem wiele razy przypominać siostrom, bo inaczej bym ich systematycznie nie otrzymywał. Salowa rugała mnie nieraz za to, że nakruszyłem przy łóżku, jedząc w pozycji leżącej śniadanie czy obiad.

Wcale nie potrzeba specjalnych talentów obserwacyjnych, żeby zauważyć ogromne różnice w traktowaniu poszczególnych chorych przez personel pomocniczy. Oczywiście nie trzeba w każdym przypadku podejrzewać łapówek, które co prawda — to nie jest żadną tajemnicą, o tym wszyscy wiedzą, choć nikt nie chce zeznawać, żeby nie palić za sobą mostów — stosowane są bardzo często, na każdym kroku. Nie wiem, bo sam nie próbowałem dawać, po prostu wstydzę się i nie potrafię. Istnieje jeszcze cały arsenał podlizywań, przyśmieszków, obłudnej wazeliny — „złociutka", „kochaneczku", „nasza droga siostrzyczka dziś zmęczona". No i istnieje niewątpliwy wdzięk u pacjentów młodych, dowcipnych i o tyle bardziej sprawnych.

Czasem — niestety, niezbyt często — spotyka się pielęgniarkę z prawdziwego zdarzenia. Taką, która nawet potrafi, nawet jej się chce udawać współczucie dla chorego, która poda każdy drobiazg z minutową dokładnością, a w nocy, nie proszona, przyjdzie zapytać „jak się pan czuje". Jeśli takie są — to widocznie nie jest to niemożliwe i nie „warunki pracy" winne są wszystkiemu. Byłoby dobrze, gdyby panie, podpisane w liczbie 78 pod bardzo energicznym protestem przeciw krytyce nieskazitelnego zawodu, zechciały napisać nam, co robią, żeby stan rzeczy poprawić, zamiast tracić czas na święte oburzenie.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI ■

3 Być kobietą przez cały rok

Albo się jest kobietą — albo nie, co na ogół łatwo ustalić. Przy czym nie chodzi mi wcale o podstawowe, biologiczne różnice, ale także o szereg czynników psychicznych, kulturowych i społecznych, decydujących o tym, że dana osoba uważana jest właśnie za przedstawicielkę płci żeńskiej. Trzeciego wyjścia z pewnością nie ma — czyli kobietą nie można bywać. Niekiedy jednak podejrzewam, że właśnie taką nieprawdopodobną możliwość brali pod uwagę ludzie którzy zadecydowali o powiększeniu kalendarza rozmaitych świąt o Międzynarodowy Dzień Kobiet.

I teraz mamy za swoje! Scenariusze obchodów Dnia Kobiet w rodzinach są dwa: oboje pracują i wtedy 8 marca mąż zabawia cudze żony, żona natomiast przyjmuje kwiaty i komplementy od cudzych mężów — w czym zresztą nic dwuznacznego moralnie ani grożącego rozpadem związku. Wszystko odbywa się przy „tradycyjnej lampce wina", praktycznie oznaczającej (mimo kryzysu) pół litra na głowę, także damską. Spotykają się w domu późnym wieczorem, gdy oboje marzą już tylko o spaniu — i jakoś święto mija. Wersja druga jest bardziej uroczysta. On wstaje wcześniej, ustawia kwiaty przy łóżku i dźwiga tacę z własnoręcznie przyrządzonym śniadaniem, które nie zawsze nadaje się do zjedzenia, a potem, dla podkreślenia kobiecości swej partnerki, sprząta, pierze, gotuje obiad i wykonuje inne pożyteczne prace w sposób, który zapewni biednej babie kilka dni ciężkiej pracy przy doprowadzaniu mieszkania do porządku.

Obie wersje obchodów są — jeśli się nad tym zastanowić — nie do zaakceptowania. Cudzymi żonami i mężami warto bowiem zajmować się — z umiarkowanym zapałem — przez cały rok choćby po to, aby za szybko nie znudzić się własnej „drugiej połowie", a za domowe porządki także nie warto się brać, bo po pierwsze — żona zrobi to lepiej, a po drugie — jest to tylko żałosna próba udowodnienia, że i mężczyzna stara się być kobietą. Tylko po co dwie panie w jednym domu? Nie na tym zresztą polega pomoc i partnerstwo, żeby oboje robili na zmianę to samo.

Obok prywatnej jest jeszcze oficjalna strona obchodów Dnia Kobiet. Uaktywniają się w tym czasie wszelkie organizacje kobiece, pokrzykując na zebraniach bądź też za pośrednictwem środków masowego przekazu o ciężkim życiu współczesnych kobiet, które „muszą pracować na dwóch etatach" żądając zwiększenia produkcji pralek automatycznych i podjęcia odpowiednich działań, które zmniejszyłyby kolejki w sklepach, wybudowania nowych przedszkoli — a wszystko po to, aby choć trochę pomóc swym uciemiężonym członkiniom i nie zrzeszonym przedstawicielkom tej samej płci. Tymczasem — pralka to wcale nie jest świetny prezent dla kobiety, tylko po prostu sprzęt do prania, kolejki zabierają czas i irytują także mężczyzn, a przedszkola potrzebne są dzieciom, które przyszły na świat dzięki współpracy obojga rodziców.

Po kilku dniach świąteczny nastrój mija i życie wraca do normy, do następnego 8 marca, kiedy to znowu kobiety podejmują kolejną próbę przypomnienia wszystkim, że... są kobietami. A przecież o sprawach tak oczywistych przypominać nie trzeba. Wystarczy być — i konsekwentnie egzekwować wynikające z tego faktu przywileje. Nieprawdą jest bowiem, że obecnie, w dobie równouprawnienia, utraciłyśmy je, nabywając w zamian mnóstwo dodatkowych obowiązków. Jeśli w niektórych rodzinach tak bywa, to tylko wina tych kobiet, które z radością przyjmują okolicznościowe, marcowe kwiaty i życzenia, ciesząc się ze smutnego faktu, że raz do roku otoczenie dostrzega ich kobiecość. Śniadanie do łóżka mamy dostawać wtedy, kiedy boli nas głowa i chcemy dłużej poleżeć, a kwiaty — nie dlatego że jest święto, ale dlatego, że akurat pojawiły się pierwsze konwalie czy ostatnie chryzantemy. I to da się załatwić. Potrafimy. Pokazałyśmy przecież, że stać nas na wiele, skoro potrafiłyśmy załatwić sobie równouprawnienie i międzynarodowe święto.

AGATA ■

4 Sport

Delikatna sprawa

Do spraw delikatnych należą u nas pieniądze. O pieniądzach się nie mówi — jest takie powiedzenie. O pieniądzach się myśli i... plotkuje. Ludzie zastanawiają się często nad życiem swoich bliźnich i zadają sobie i innym pytanie, skąd on na to wszystko ma? Takie pytanie zaczynają zadawać władze podatkowe i sytuacja staje się drażliwa. Nikt nie lubi, jak mu się zagląda do kieszeni, bo w kieszeni mogą być jakieś grube zaskórniaki, o których lepiej, żeby bliźni nie wiedzieli. Zajrzały więc władze podatkowe do kieszeni rzemieślników, drobnych kupców, a przede wszystkim dużych kombinatorów. Boję się, żeby na tym nie ucierpieli ci pierwsi i drudzy, którzy są potrzebni, bo kombinatorzy są już przyzwyczajeni do oszukiwania wszelkich władz i omijania wszelkich przepisów. Ale o to niech się martwią władze podatkowe.

A co to ma wspólnego ze sportem?

Otóż ma. Skoro zaczyna się wprowadzać zasadę, że nasze dochody mają być ewidencjonowane i opodatkowane — i to, jak powiedziano: od robotnika po premiera, bez wyjątków, to wówczas rodzi się pytanie: a co ze sportowcami? Jak do tej pory bowiem „zarobki" sportowców opierają się na takich zasadach, że trudno się w tym połapać. Można powiedzieć, że przy opłacaniu sportowców zasadą jest brak zasad.

Głośny stał się ostatnio przypadek z tarnowskiego klubu Metal, gdzie bokserzy, ledwo utrzymujący się w II lidze, wystąpili z żądaniami podniesienia im płacy do 12—15 tysięcy złotych. Żądanie może wydać się słuszne, jako że mamy inflację i rosną koszty utrzymania. A bokser musi dobrze zjeść, wypocząć i o przyszłości pomyśleć. Klub zgodził się na takie żądania, ale też postawił warunki. Każdy stoczy po 6 walk mistrzowskich w 1983 roku, zespół nie spadnie z II ligi i pod koniec roku chłopaki otrzymają swoją forsę. Do końca roku daleko, a na ringu trzeba się bić. Przeciwnicy też zechcą utrzymać się w II lidze, więc chłopaki warunki takie odrzucili. Oświadczyli, że nie będą boksować w ogóle. I wtedy wyszło szydło ze sportowego worka, czyli potwierdziła się zasada, że płacenie w sporcie opiera się na braku zasad lub ich łamaniu. Otóż bokserzy, aby była podstawa do oficjalnego ich opłacania, muszą mieć najmniej pierwszą klasę. Chłopcy z tarnowskiego Metalu tego nie mieli.

Inny przykład. We wszystkich dziedzinach życia zawodowiec to ktoś, kto ma znakomicie opanowane umiejętności pozwalające wykonywać mu zawód. Amator — to pojęcie negatywne. W sporcie olimpijskim jest odwrotnie. Zwraca na to uwagę w „Rzeczypospolitej" Michał Tomczak. O olimpijczykach na całym świecie, nie tylko w Polsce, pisze on tak: „Wszyscy biorą pieniądze, wszyscy wiedzą, że się bierze, a mimo to każdy, kto uczciwie wyzna, że brał i ile brał — ma duże szanse na dyskwalifikację dożywotnią". No i proszę mi teraz zewidencjonować zarobki olimpijczyków. Wprawdzie olimpiady odbywają się co 4 lata, pieniądz więc to niby nie napływający regularnie, ale mityngi, zawody, turnieje krajowe i zagraniczne odbywają się częściej, a tam płacą. Jak to ewidencjonować, skoro są to pieniądze nie notowane nigdzie, często nie księgowane już u wypłacających?

Andrzej Łozowski w tejże „Rzeczypospolitej" przypomina, że Ivan Lendl — czechosłowacki tenisista — dziś milioner wpłacił w 1982 roku na konto tenisowego związku CSRS 200 tysięcy dolarów, bo zobowiązywały go do tego przepisy państwowe. W związku z tym pyta: „jaką kwotę przekazał Polskiemu Związkowi Tenisowemu Wojciech Fibak?". Okazuje się bowiem, że polscy sportowcy zarabiający za granicą zobowiązani są również wpłacać do kasy Centralnego Ośrodka Sportu pewne kwoty, będące częścią tego, co otrzymują za granicą.

Wojciech Fibak umówił się z PZT, że będzie wpłacał na jego konto 10 tysięcy dolarów, a następnie kupował sprzęt za taką sumę. ..... od jakiegoś czasu — pisze A. Łozowski — nie wywiązuje się ze zobowiązań, nie ponosząc za to żadnej odpowiedzialności..." Ale nie tylko z Wojciechem Fibakiem jest taka sytuacja. „Nie jest więc przypadkiem — pisze dalej ten sam autor — że w kasie Centralnego Ośrodka Sportu pojawiają się kierownicy lekkoatletycznych ekip polskich bardzo rzadko, a konkretnie tylko wtedy, kiedy nie mają wyjścia". To w przypadkach zarabiania za granicą, co dotyczy stosunkowo wąskiej grupy sportowców. A w kraju?

No i mamy delikatną sprawę. Już im zazdroszczą — rozlegną się głosy. Otóż, nie. Nie o zazdrość i zawiść — moim zdaniem — tu chodzi. Po prostu o konsekwencję. Wiele mówiło się i pisało o tym, że sport trzeba uzdrowić, oprzeć na zdrowych zasadach, że wiele tam fikcji, lewych kas i różnego innego bałaganu. Jest po temu okazja. Jak już porządkujemy różne inne dziedziny życia — to czas wziąć się solidnie również za sport. Ot, i wszystko.

A przy okazji nie zapomnieć o starych mistrzach. „Sportowiec" doniósł bowiem niedawno, że Stanisław Marusarz — legenda polskiego narciarstwa otrzymuje wraz z żoną 8 360 złotych emerytury „wraz z dodatkiem kombatanckim za Krzyż Virtuti Militari". To też delikatna sprawa.

BOGDA MADEJ ■

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji) Jerzy Kwieciński Bogda Madej Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji) Igor Sikirycki (kier. działu literackiego) Karol J. Stryjski, Janusz Szymański Glanc (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44 sekretarz redakcji 680-69 publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca zastrzega sobie również prawo do skrótów informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe Cena prenumeraty rocznej 1040 zł Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201043 139 Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. Na zleceniodawców indywidualnych o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe Adres ul. Piotrkowska 96 kod 90-103 Łódź. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam.: 484. L-2.

„Karzeł"

Kumple mówili o nim: **„Podrywacz. Babki na niego lecą, bo potrafi im wstawić taki bajer, że żadna mu się nie oprze. Elegancki, zachowuje się czasem jak hrabia. Tu uśmieszek, tam żarcik, gdzie indziej czułe słówko i już dziewczyna biegnie za nim na metę. Jak ten Casanova — zaliczał jedną po drugiej. I szmal miał zawsze. Drogie lokale, drinki przy barze, dansingi. Lubił się bawić i dziewczyny lubił. Nie to, żeby był specjalnie przystojny. Takie tam metr pięćdziesiąt w kapeluszu. Po prostu: „KARZEŁ".**

W rzeczywistości Grzegorz Z. od dłuższego już czasu balansował na pograniczu degeneracji. Siedział dwa razy. W 1974 r. dostał trzy lata za udział w kradzieży bluzek z „Olimpii". Połowę kary darowała mu amnestia. Nie wytrwał jednak długo; w 1977 został skazany z paragrafu 208 — za rozbój. Wyszedł po dwóch latach, w styczniu 1980. Złapał jakąś pracę, ale po kilku miesiącach rzucił ją i zaczął pić.

W domu nie układało się. Rozszedł się z żoną i zostawił ją z dwojgiem dzieci. Niechętnie płacił alimenty. Żył — jak to się mówi — na luzie. Wieczorami odwiedzał drogie knajpy w Łodzi. „Casanova", „Tivoli", „Kaskada", „Światowit", „Centrum" — tam był stałym gościem. Często wyjeżdżał, ale nikt nie wiedział dokąd. Był towarzyski, lecz swoje sprawy załatwiał sam.

Grzegorz Z., znany w swoim środowisku jako „Karzeł", łatwo zdobywał względy kobiet. Na zdjęciu, jakie uzupełniało prasowy komunikat MO, prezentował się nad wyraz sympatycznie. Ładny chłopak. Inteligentna, szczupła twarz, okulary, modna fryzura. Jeszcze lepsze wrażenie sprawiał przy bezpośrednim kontakcie. Elokwentny, bystry, dowcipny. W istocie — typ przeciętny. W listopadzie tego roku ukończył 29 lat. Poprzestał na szkole podstawowej i choć potem zdobył zawód stolarza, nigdy poważnie nie myślał o swoim fachu.

Wpadł na włamaniu. To zresztą nie była specjalność „Karła", ale stało się. W lutym ubiegłego roku — dokładnie 17 — Alfreda i Hieronim S. powiadomili Komendę Milicji na Widzewie, że do ich domu dostał się złodziej. Klasyczna metoda: wybita szyba w lufciku nad drzwiami. Państwo S. sporządzili długą listę skradzionych przedmiotów: dwa radia, magnetofon, sporo odzieży, biżuteria. Razem — ponad 150 tysięcy (po starych cenach).

W trzy dni później zatrzymano Grzegorza Z. **„Zgadza się — stwierdził — to moja robota, ale z tymi rzeczami to przesadzili. Po co mi dwa radia? Spodnie ze sztruksu też na mnie nie pasowały. A budzik? Ja mam czujny sen"** Przesłuchiwania dały efekty. Podejrzany przyznał się i dokładnie opisał przebieg przestępstwa. Ale w czasie jednej z takich protokołowanych rozmów „Karzeł" (prowadzący postępowanie wtedy jeszcze nie wiedzieli z kim mają do czynienia) napomknął o innych swoich sprawkach.

Sprawdzono, przejrzano listy gończe, porównano twarz zatrzymanego z portretami pamięciowymi i okazało się, że za tym ptaszkiem ugania się już milicja ze Śródmieścia i z Polesia. Zaczął się kleić dość ciekawy obrazek życia Grzegorza Z. zwanego „Karłem"

Było to 7 października 1980 r. Grzegorz Z. zaliczał tego wieczoru „Casanovę". **„Pamiętam — opowiada — że piłem wtedy dużo. Przy barze, obok, siedziały dwie kobiety i mężczyzna. Wszyscy byli na dużej fali. Jak to w „Kasańcu". Tam się za kołnierz nie wylewa. Sprzeczali się. Damy nie chciały żeby pan całkiem się zsiał i nawet zabrały mu portfel. Wtedy podszedłem i zaproponowałem kolejkę. Nie protestowali. Potem ten facet zabrał całe towarzystwo do swego domu, gdzieś na peryferiach. Obiecywał alkohol i dobrą zabawę. Podobało mi się to".**

We czwórkę pojechali taksówką na Retkinię. Tam Grzegorz Z. odłączył się z Joanną A. Szli przez jakiś skwerek czy zagajnik i wtedy obudził się prawdziwy „Karzeł". Silny cios pięścią w twarz i dziewczyna upadła. Jej szok i strach pozwolił mu bez trudu zaspokoić żądzę. Ale nie tylko o to chodziło. Wykręcił przerażonej kobiecie ręce i brutalnie ściągnął dwa pierścionki. Szybko ocenił, że to złoto. Zdarł z leżącej skórzaną kutkę, w torebce szukał pieniędzy.

„Te pierścionki — przypomina sobie — widziałem jeszcze w restauracji. Postanowiłem je zabrać. Uderzyłem dziewczynę w jakichś zaroślach, ale to nieprawda, że ją zgwałciłem. Nie wiem czemu tak twierdzi. Widziałem potem, że leży i nie rusza się, to uciekłem. Wsiadłem do autobusu i dojechałem do Nowych Sadów. Pierścionki sprzedałem w Katowicach za sześnaście i pół tysiąca, na tyłach hotelu „Silesia". Były chyba więcej warte, ale potrzebowałem forsy".

W ten sposób zdobyte fundusze Grzegorz Z. wydawał, jak sam twierdzi, na własne potrzeby. Gdy je przehulał — znowu potrzebował gotówki.

Potem była „Kaskada" — 31 października. „Karzeł" pił najpierw w restauracji hotelu „Centrum" i dopiero po północy zmienił lokal. Po drodze spotkał dziewczynę. Zaproponował jej kawę. Zgodziła się. W „Kaskadzie" zamówił dwa obiady i pół litra wódki. Ukradkiem obserwował co dzieje się przy sąsiednich stolikach.

„Wyszedłem do ubikacji — relacjonuje — i tam przy umywalce zobaczyłem kobietę. Miała może 40—45 lat i była pijana. Myła ręce. Na umywalce leżały zdjęte pierścionki. Wziąłem je. A może sam zdjąłem jej z palca — dokładnie nie pamiętam. Potem wróciłem do stolika. Po kilku chwilach wróciła i ona. Coś tłumaczyła facetowi, który z nią siedział".

Krystyna M. spędzała rzeczywiście dość upojny wieczór ze swym znajomym — Aleksandrem E. Wyszła na chwilę do toalety i wtedy Grzegorz Z. wyłudził od niej złoty pierścionek, twierdząc, że partnerowi oczekującemu na sali nie starczy pieniędzy na zapłacenie rachunku. Trudno się dziwić, że po wyjaśnieniu całego kamuflażu Krystyna M. zrobiła szum. Pewien znajomy — zwracano się do niego per „Toniek" — poradził Grzegorzowi Z. by oddał to co zabrał zanim zjawi się milicja.

„Podszedłem grzecznie do stolika — mówi „Karzeł" — i oddałem pierścionek. Dansing się skończył, więc wyszliśmy z moją znajomą. W tym samym czasie wyszła i tamta kobieta. Nawiązałem z nią rozmowę. Oświadczyła, że czeka na taksówkę. Była jeszcze bardziej pijana. Zapytałem czy to właśnie ją ktoś chciał okraść w „Kaskadzie". Potwierdziła. Wtedy wziąłem ją za rękę i delikatnie zdjąłem dwa pierścionki. Bez szarpania, bicia, wykręcania rąk. A ona nawet nie krzyczała. Spokojnie odszedłem. Nikt mnie nie gonił".

W kilka dni później w „Bałatonie" Grzegorz Z. dowiedział się od „Tońka" że milicja szuka złodzieja pierścionków spod „Kaskady" Ale precioza były już sprzedane W Poznaniu na rynku. Nowe 20 tysięcy starczyło prawie na miesiąc dobrej zabawy. Wieczorem 29 listopada „Karzeł" pojawia się w „Światowicie". Spotyka tam przy barze trzy dziewczyny, które samotnie odważyły się na nocną zabawę.

„Zaproponowałem im swoje towarzystwo — oświadcza. — Mogła być pierwsza, może druga w nocy. Rozmawialiśmy. O czym? Tego z pamięci powiedzieć nie mogę, ale chyba o dobrej zabawie. Dziewczyny prawdopodobnie mieszkały w „Światowicie". Przyjechały bodajże z Poznania. Zaprosiłem pewnego Araba, żeby do nas dołączył. Panie nie protestowały, a Arab odniósł się do mojej propozycji z dużym entuzjazmem. Poszliśmy na górę do pokoju. To nieprawda co one mówią, że widziały w mojej saszetce nóż. Nigdy nie nosiłem przy sobie noża, nawet kuchennego. One kłamią".

Po wyjściu z hotelu pojechali taksówką do restauracji „Tip-Top". Po drodze „Karzeł" zaproponował, że wejdzie do mieszkania przy ul. Kilińskiego po butelkę wódki. Po co przepłacać w lokalu? Poszedł razem z Mariolą J. W bramie grzecznie poprosił ją o zdjęcie pierścionka. Chciał niby to ocenić wartość klejnotu i zobaczyć co warta jest robota jubilera. Odmówiła. Wyjął więc nóż, przystawił jej do gardła i zażądał ostro. Ściągnęła z palców oba. „Karzeł" zerwał jej jeszcze z szyi złoty łańcuszek z medalikiem i jak zwykle — uciekł.

„To były dziewczyny koło trzydziestki. Ta, którą przyuważyłem, miała 165—170 cm wzrostu, ciemnoblond włosy, okrągłą twarz. Miała na sobie brązowy skórzany płaszcz z białym lisem i chyba lisią czapkę. No i te dwa pierścionki na palcach. Początkowo chciałem iść z nią do mieszkania brata, ale ktoś u niego był. Na schodach doszło między nami do zbliżenia., a potem zabrałem jej pierścionki. Dała mi je sama. Nie było żadnego noża. Wsiadłem spokojnie do taksówki i odjechałem. Do rana włóczyłem się po mieście, a potem pojechałem do Bydgoszczy, a może do Poznania, i sprzedałem biżuterię".

Była jeszcze 30 grudnia restauracja „Klubowa" i Patrycja M. Poznali się, rozmawiali, pili trochę, a po wyjściu „Karzeł" wyrwał jej torebkę. Gdy próbowała się bronić, silnym ciosem powalił na chodnik i uciekł. Do tego incydentu Grzegorz Z. nie przyznaje się. Nie mógł jednak zaprzeczyć wydarzeniom, które swój początek miały później wieczorem 6 lutego 1981 r. przed kawiarnią „Łodzianka".

„Nie pamiętam tej daty dokładnie — stwierdza. — Chodziłem po mieście bez celu i dużo piłem. Jak doszedłem do Moniuszki, byłem już mocno zalany. Wszedłem jeszcze na piwo do „Jontka" i poprawiłem setką. Na ulicy, przed „Halką", stał mężczyzna i cztery kobiety. Nie chcieli ich wpuścić. Słyszałem, że wybierają się do „Tivoli". Przyłączyłem się. Nie protestowali. Facet ostro ruszył, a z nim trzy dziewczyny. Jedna została z tyłu: 25, może 30 lat, 160—165 cm wzrostu (co to jednak znaczy mieć kompleksy), włosy ciemne, szczupła. Ubrana była w długą spódnicę, kozaczki, kożuch (tu następuje dokładny opis tej części garderoby — z obszyciami i guzikami łącznie) i czapkę z lisa. W ręku torebka w ciemnym kolorze. Była podpita. Zaczęliśmy rozmawiać, a tamci gdzieś nam się zgubili".

Dziewczyna chciała już iść do domu, a Grzegorz Z. usłużnie zaproponował, że ją odwiezie taksówką. Za kurs jednak zapłaciła dama. Umawiał się z nią na spotkanie i tak dotarli do klatki schodowej domu przy ul. Ogrodowej. Tam uderzył dziewczynę w twarz i okradł z kożucha, pierścionka, naszyjnika i torebki.

„Miałem uczciwe zamiary — oświadcza — bo dziewczyna mi się podobała. Dopiero całując ją w rękę na pożegnanie zauważyłem pierścionek z niebieskim oczkiem. Wtedy postanowiłem ją okraść. To, co wziąłem, zawiozłem taksówką do mieszkania brata. Potem wszystko sprzedałem Cyganom w Poznaniu".

Nie jest to cały rejestr wyczynów „Karła". Od sierpnia 1980 r. do momentu zatrzymania — 20 lutego 1981 r. — okradł on przynajmniej 10 pijanych mężczyzn. Atakował ich w bramach i ciemnych uliczkach. Zabierał obrączki, zegarki, portfele. To, co ukradł, wywoził do Poznania lub Bydgoszczy i sprzedawał przygodnym nabywcom.

„W połowie stycznia — opowiada — spotkałem w „Smakoszu" faceta na delegacji. Przyjechał znad morza: z Gdańska, albo ze Szczecina. Napiliśmy się wódki, a potem powiedziałem, że odprowadzę go do „Savoyu". Tam mieszkał i tam były zawsze fajne dziewczyny. Na rogu Sienkiewicza i Moniuszki wyciągnąłem mu portfel i uciekłem. Co on tam miał — dwa tysiące i 23 dolary. Portfel wrzuciłem do skrzynki pocztowej przy ŁDK, a może przy „Centrum". Nie pamiętam, byłem pijany".

Tą ostatnią formułkę była w czasie śledztwa specjalnością „Karła". Zawsze był pijany i nic nie pamiętał. Powiedział nawet w czasie któregoś przesłuchania: **„Wy mi mówcie co robiłem, a ja będę potwierdzał, albo zaprzeczał".** Wydaje się jednak, że chociaż pił wiele, to jednak gdy planował „robotę" — był trzeźwy jak niemowlę. Sypie przecież szczegółami jak z rękawa. Nie pamięta natomiast tego, co mogłoby mu bardziej zaszkodzić w sprawie. To jest inteligentna taktyka. Postępował przecież zawsze z wyrachowaniem.

„Jestem mężczyzną — stwierdza — i mając przewagę fizyczną nad każdą kobietą nie muszę używać niebezpiecznych narzędzi, takich choćby jak nóż. Przecież zdaję sobie sprawę, że za rozbój z niebezpiecznym narzędziem otrzymałbym wyższy wyrok, a na tym mi naprawdę nie zależy".

Wiemy już jakie wybierał partnerki. Zawsze były to młode kobiety, którym coś tam nie wychodziło z chłopcem lub mężem, i wypuszczały się na noc do knajp, aby się napić i poszaleć. Z tych chwil słabości kobiecej korzystał sprytny „Karzeł" i wykazywał się swoją męską przewagą. A kradł po to, żeby pić, bawić się, a po jakimś czasie znowu rabował — i tak w kółko.

W akcie oskarżenia skierowanym do III Wydziału Karnego Sądu Wojewódzkiego w Łodzi zebrano przeciwko Grzegorzowi Z. 8 poważnych zarzutów. Dane wiarę zeznaniom 22 świadków, wśród których były poszkodowane, oraz wzięto pod uwagę warunki recydywy. Wyrok: 12 lat pozbawienia wolności, 100 tys. zł grzywny i pozbawienie praw publicznych na okres 5 lat. Surowo, ale sprawiedliwie.

Jedno jest pewne: w istocie był to karzeł i trudno w tej osobowości doszukać się jakichkolwiek cech słynnego zdobywcy serc i ciał niewieścich — hrabiego Casanovy.

PISK

PS. Imiona i inicjały osób mających związek ze sprawą Grzegorza Z. zostały zmienione.

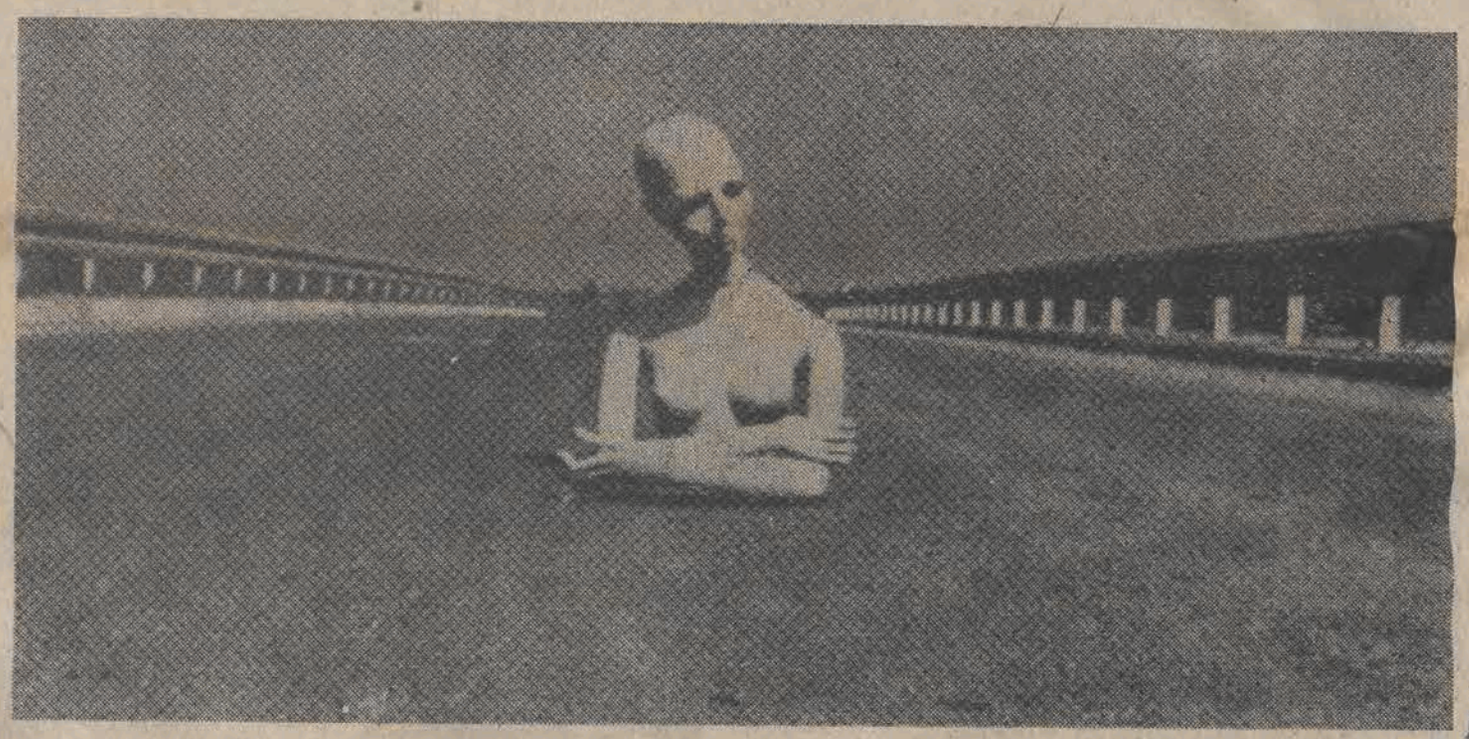

Uwaga! To nie instrukcja! Tylko ciekawostka obyczajowa

Jak kradną w londyńskich supersamach?

Tom Exe jest właścicielem supersamu. Tom i jego rodzina przywykli do jedzenia artykułów, których termin spożycia upłynął. Tom Exe mówi:

— *Jeżeli 1 stycznia postawisz na półkach świeży towar, na którym pisze: „najlepiej spożyć przed 15 stycznia", i jeśli zostały Ci jeszcze trzy opakowania czegoś, na czym taką datą jest 3 stycznia, to nikt nie zechce kupić tego wcześniejszego towaru. Chociaż jest to jeszcze dobre i chociaż, gdyby kupił, zjadłby i tak w ciągu najbliższych 2 godzin. A jeśli nie weźmiesz nowego towaru, a zostawisz na półce, no te np. 3 opakowania bekonu, których jeszcze nie sprzedałeś, to wyglądają one tak żałośnie, że nikt ich nie zechce.*

Według ocen szacunkowych co najmniej 2,5 proc. towarów w supersamach rozkradają ludzie, z tego w trzech czwartych personel.

Tom mówi:

— *Są 3 sposoby dokonywania kradzieży przez personel. Pierwszy można łatwo wykryć. Polega na tym, że podpisuje się odbiór towaru, którego się nie przyjęło lub który sprzedało się kierowcy wozu dostawczego. To łatwo zauważyć i łatwo temu położyć kres. Inne sposoby nie są takie proste. Istnieje np. niewybijanie właściwej ceny przez kasjerkę polegające na tym, że wybija ona kwotę niższą niż właściwy koszt jakiegoś produktu lub wybija słowa: „nie było zakupu", ale pieniądze od klienta bierze. Bywają też gigantyczne zmowy personelu z klientami i kasjerka wybija zaniżoną kwotę, np. 4 pensy za puszkę fasoli, zamiast 24 pensów; 6 pensów za słoik kawy, zamiast 96 pensów. Wielkie wielobranżowe supersamy robią inwentaryzację chyba raz na sześć tygodni, mniejsze może raz na kwartał, a zatem trzeba nieco czasu, by aferę wykryć.*

Jeśli podejrzewasz, że coś takiego się dzieje, to posyłasz kogoś, żeby zakupił jakąś jedną jedyną rzecz. Taki człowiek udaje przy wyjściu, że się bardzo śpieszy. Rzuca przy kasie pieniądze i odchodzi. Ale zdąży zapamiętać, jaki był cały dotychczasowy utarg, który wykazywała kasa. I ten człowiek potem od razu telefonuje powiadamiając, jaką cyfrę widział. Wtedy można sprawdzić, czy kasjerka wybiła właściwą cenę za ów ostatni zakupiony przedmiot.

Niekiedy personel w ogóle nie zadaje sobie żadnego trudu, a po prostu zabiera towar. Wykryłem takie, które szły do domu, mając na sobie 4 pary majtek. Raz złapałem pracownika działu mięsnego; schował dla siebie na dachu sklepu udziec barani. Czekałem na faceta przed wejściem od pół do ósmej wieczorem, kiedy zamykają sklep. Ale ten człowiek postanowił spędzić wieczór w piwiarni i po udziec wrócił dopiero po jedenastej. Zmarzłem niemal na kość, ale w końcu go nakryłem.

Pracownicy wkładają towar do pojemników na śmieci, a potem zabierają go sobie, gdy pojemniki są już na dworze. Nie uwierzycie, ale raz złapałem jedną dziewczynę, jak kradła, ona wydała siedem innych, a nazajutrz rano następnych dziewiętnaście też nie przyszło do pracy. Zostało mi tylko 25 z 52. Ale jeszcze gorzej było pewnego razu, kiedy to podejrzewałem któregoś z kierowników działu, że kradnie, i spędziłem sobotnie popołudnie przed sklepem, czekając, żeby złapać faceta z towarem w samochodzie. Siedziałem tam w moim wozie trzy godziny, a gdy wyszedł, żeby jechać do domu, zajechałem drogę jego samochodowi. Za parę minut otoczyła mnie policja i aresztowała. Okazało się, że jakiś lokator widział mnie, jak czekałem i czekałem, i pomyślał, że zachowuję się podejrzanie. Kiedy zajechałem tamtemu samochodowi drogę, lokator, to była kobieta — zadzwoniła po policję. Dobrze się złożyło, że policja się akurat zjawiła. Wydobyłem od faceta przyznanie się do winy, ale tam byli jeszcze inni zamieszani i tych nigdy nie dostaliśmy w ręce.

Kiedyś byliśmy w kantorku i obserwowaliśmy jednego złodzieja przez takie lustro, co z drugiej strony jest przezroczyste. To był ogromny facet. Chodził sobie po sklepie z rękoma w kieszeniach. A tu nagle spod płaszcza wyskakiwało trzecie ramię z dłonią, która chwytała towar. A potem ramię, dłoń i towar znikały. Miał ten człowiek gdzieś około 1,90 m wzrostu i był zbudowany jak tur. Ale myślę, że większość jego tuszy to były rzeczy, jakie władował pod płaszcz. Kiedy wyszedłem, żeby go obszukać na dworze, miał pod płaszczem ubrań dziecięcych za 40 funtów szterlingów i sztuczną rękę w szynie. Do ludzi takich, jak on, nie ma sensu mówić: „Mamy podstawy przypuszczać... I proszę niech pan mi towarzyszy na zaplecze", itd., itp. Trzeba tylko pamiętać, żeby dać się pierwszemu uderzyć. Tamten typ kopał i gryzł mojego pomocnika, i ciągnął go po chodniku. Kiedy wróciłem do sklepu, po pomoc, on już tamtego znokautował i zbiegł. Policja go złapała. Jak się zdaje, znała go już dość dobrze.

Najsprytniejszy kant wymyśliła dwójka ludzi, która miała wykaz towarów do zakupienia. Jeden wchodził, kupował, całkiem legalnie i potem oddawał wykaz razem z paragonem drugiemu, który kradł taki sam zestaw towarów i przechodził obok kasjerki, powiewając tamtym paragonem, a sam płacąc za jakąś dodatkową drobną rzecz, np. za paczkę zapałek. Jak takiemu cokolwiek udowodnić? Musieliśmy wezwać policję kryminalną, żeby położyć temu kres.

Ale, kiedy się pomylę, to zawsze mam puszkę łososia. Raz mnie nauczono: miej w kieszeni puszkę łososia. Wtedy, jak kogoś zatrzymasz, a u niego nie ma w torbie nic i okazuje się, żeś się pomylił, to możesz mu zawsze podrzucić łososia i powiedzieć: „No, dobrze tym razem udzielam tylko ostrzeżenia".

CYNTHIA BATEMAN
(„The Guardian")